www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 45 (931)
6-12.11.2017
Cena 5,80 zł
(w tym 8% VAT)

Sylwia Spurek: Trzymamy stronę kobiet

Piotr Nowak: 500+ ożywiło lokalną Polskę

Bezdomni Polacy w Berlinie

GDYBY NIE BYŁO REWOLUCJI

2017

1917

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

prasa.pl 514e77f55c

NOWA STRONA JUŻ DZIAŁA!

www.pazdziernik56.pl

Pierwsza w Polsce strona internetowa poświęcona wydarzeniom z jesieni '56

Znajdziesz tam m.in. oryginalne dokumenty, teksty i opracowania naukowe, nagrania dźwiękowe, filmy i kalendarium 1956 r.

Zapraszamy do współpracy! Razem tworzymy tę stronę.

Czekamy na dokumenty, publikacje, wspomnienia, fotografie. Wyślij e-mail na adres: pazdziernik56@pazdziernik56.pl lub napisz: redakcja PRZEGLĄDU, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, z dopiskiem PAŹDZIERNIK '56

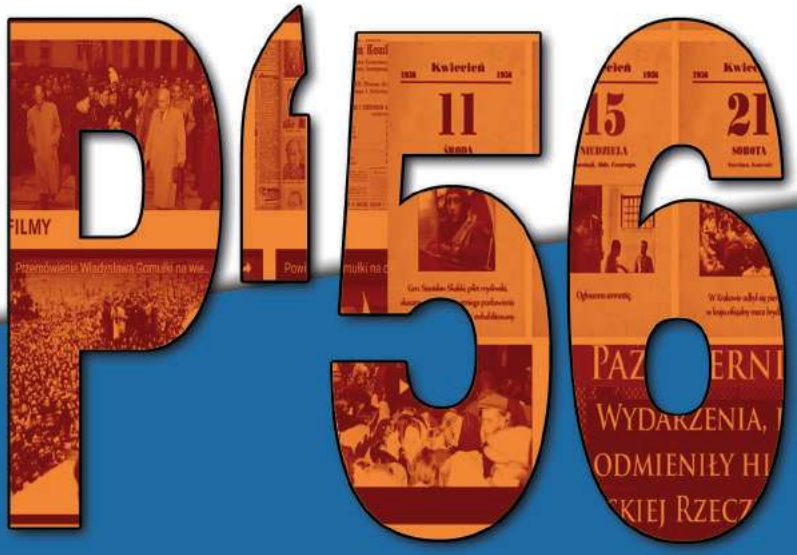

~~39,00~~
19,90

Bez tej książki nie zrozumie się czym była PRL

Książkę można kupić, wpłacając 19,90 zł na konto wydawcy PRZEGLĄDU: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, oraz podając dokładny adres (z numerem kodu), pod który ma trafić przesyłka polecona, lub przez sklep internetowy: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl. Więcej informacji: tel.: (22) 635 84 10 wew. 111, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 514e77f55c

CYTATY

O. GRZEGORZ KRAMER, JEZUITA
Panie Piotrze S., mam nadzieję, że w Nim znalazłeś to, o co tak walczyłeś. Dziękuję za odwagę.
Twitter

WOJCIECH KLICKI, EKSPERT FUNDACJI PANOPTYKON
„Ustawa o jawności życia publicznego" opiera się na założeniu: zaufajcie władzy, a wszystko będzie dobrze.
„Angora"

PROF. BOGDAN DE BARBARO, PSYCHIATRA
„Stara bieda" – to motto życiowe tego, kto czuje się wiecznie skrzywdzony.
„Wysokie Obcasy"

DR JERZY DUDA, WIELKI MISTRZ RYCERSKIEGO ZAKONU BIBLIOFILSKIEGO
E-booki się kończą. Nowoczesność to rzecz, która najszybciej się starzeje.
„Polska The Times"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Nie słyszą, nie widzą

Już nie anonimowy Piotr S. z Niepołomic, ale Piotr Szczęsny, 54-latek o poglądach demokratycznych, zrobił coś, o czym Piotr Bukartyk śpiewa, że „to się nie chce zmieścić w głowie, w środku miasta płonął człowiek". Ta śmierć nas zaskoczyła. Wszystkich. A tych z władzy dodatkowo tak zirytowała, że dorobili do niej motywację psychiatryczną. W sumie nic nowego. Tak rządzący, i to w różnych krajach i systemach, zwykle reagują na samobójcze podpalenia. Wszyscy jesteśmy wobec nich bezradni. A władza wie, że ten niemieszczący się w głowie akt desperacji jest wymierzony przeciwko niej. I że ma ona tę krew na rękach. Piotr Szczęsny napisał o tym wprost: „Chciałbym, żeby prezes PiS oraz cała PiS-owska nomenklatura przyjęli do wiadomości, że moja śmierć bezpośrednio ich obciąża i mają moją krew na rękach".

Pod słowami: „Wstydzę się, że mam prezydenta, który jest prezydentem tylko swojej partii i jej zwolenników i który łamie konstytucję" i „wstydzę się, że mam premier, która realizuje wydawane jej po linii partyjnej polecenia", podpisałoby się wielu Polaków. Dwa listy Szczęsnego skierowane do opinii publicznej są bardzo spójne i logiczne. Nie chciał siedzieć cicho. Bardzo serio traktował takie wartości jak wolność i demokracja. I jak wielu ludzi o takich poglądach był coraz bardziej bezradny wobec rozjeżdżającego te wartości politycznego walca. Uznał więc, że sytuacja jest tak dramatyczna, że trzeba ludzi obudzić. Potrząsnąć nimi. I że musi to zrobić właśnie on. Zwykły, szary człowiek. Taki jak my.

Podpalił się 19 października, a zmarł 29. Tych dziesięciu dni strasznych cierpień nie można wypełnić ciszą. Nie można, bo zginął człowiek, który chciał nam powiedzieć coś bardzo ważnego. Człowiek, który głęboko wierzył, że nasz kraj może być uczciwiej, mądrzej rządzony. Że na taką władzę Polacy zasługują.

Nie mam jednak złudzeń, że posłanie Szczęsnego dotarło do rządzących. Że wymienieni z funkcji politycy na chwilę przystaną i popatrzą na świat oczyma Szczęsnego. Pewnie będzie jak dotąd. I władza niczego nie zmieni w swoich planach. Choć to nie jest dobry scenariusz dla Polski.

Czas pokaże, czy i kogo ofiara Szczęsnego obudziła. I co z posłaniem zawartym w jego listach zrobią zwykli szarzy ludzie.

FAUL

Trybunałem w kobiety

Jak nie drzwiami, to oknem. Nie kijem, to pałką. Nie po to przecież spisiono Trybunał Konstytucyjny, by nie móc zaostrzyć prawa wymierzonego w kobiety. Mgr Przyłębska z panem Muszyńskim w imieniu TK rozstrzygną, na co konstytucja pozwala skrajnej prawicy. O wynik tego polowania na kobiety nie warto pytać.
Nie będzie wsparcia dla będących w rozpaczliwej sytuacji rodzin wychowujących chore lub niepełnosprawne dzieci. Zostaną im groszowe zasiłki i nędza zamiast godnego życia. Jedyne wsparcie, jakie te rodziny dostają od władzy, to dyrdymały głoszone przez prezydenta i prezesa partii.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 514e77f55c

W NUMERZE

KRAJ
8 **Równość ostatnią deską ratunku**
– rozmowa z dr Sylwią Spurek
15 **500+ ożywiło lokalną Polskę**
– rozmowa z dr. hab. Piotrem Nowakiem
40 **Biznes na bunkrach**
W cieniu Bursztynowej Komnaty

PUBLICYSTYKA
11 **Na prawo od PiS hula polityka**
Kogo boi się Kaczyński?

HISTORIA
18 **Gdyby nie było rewolucji**
Stulecie rewolucji październikowej

ZAGRANICA
24 **Koczownicy z dworca Zoo**
Korespondencja z Berlina
28 **Życie z kalifatem w CV**
Ochotnicy ISIS wracają do Europy
30 **Baskijski tygrys gospodarczy**
Korespondencja z Hiszpanii

KULTURA
34 **Odmawiam uczestnictwa w hejcie**
– rozmowa z Kingą Preis
38 **Qulturalia**
66 **Frida Kahlo & Diego Rivera**

OBSERWACJE
42 **Fatalne uczucie**
Romans Piłsudskiego
56 **Khomani – znaczy styl życia**
58 **O miłości i seksie, co gorzki mają smak**
Korespondencja z Ekwadoru

NAUKA
46 **Zmęczenie niebezpieczne jak alkohol**
Kierowco, wyśpij się przed jazdą

ZDROWIE
48 **Sześć godzin na wagę życia**
– rozmowa z dr. Adamem Kobayashim

SYLWETKI
50 **Spręż**
Agnieszka Bielecka: szkoła życia w górach

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Nie słyszą, nie widzą
26 **Bronisław Łagowski**
Nobel za lustrację
33 **Jan Widacki**
Szatan i zgniły Zachód
37 **Roman Kurkiewicz**
Jarek premierem – planszówka
45 **Tomasz Jastrun**
Oddać życie
47 **Edward Mikołajczyk**
Oj, zeby nie ta dziura w desce
55 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Noc w noc

8
KRAJ

RÓWNOŚĆ OSTATNIĄ DESKĄ RATUNKU
– rozmowa z dr Sylwią Spurek

34
KURTURA

ODMAWIAM UCZESTNICTWA W HEJCIE
– rozmowa z Kingą Preis

50
SYLWETKI

SPRĘŻ
Agnieszka Bielecka: szkoła życia w górach

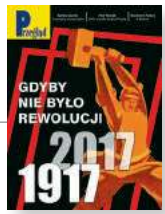

Projekt: Iza Mierzejewska
Fot. ARCHIWUM

eprasa.pl 514e77f55c

Jak okradało mnie państwo

Po raz pierwszy zostałem okradziony przez państwo w 2009 r., kiedy wbrew konstytucji i kilku fundamentalnym prawom odebrano mi bez wyroku sądowego poważną część emerytury. W 2017 r. państwo znowu mnie okradło, karząc po raz drugi odebraniem dwóch trzecich emerytury, rzekomo w imię sprawiedliwości dziejowej.

W imię tej „sprawiedliwości" państwo PiS oszukało i okradło funkcjonariuszy służb, którzy zostali pozytywnie zweryfikowani i wiernie mu przez lata służyli. I zarówno tym zweryfikowanym, jak i niezweryfikowanym naliczono emeryturę według przelicznika 0,00. Toż nawet pospolici przestępcy po wyjściu z więzienia mają przelicznik 0,7.

Szczególnie obrzydliwe jest zmniejszanie emerytur czy rent funkcjonariuszom poległym na służbie – fizycznie wdowom i sierotom po nich. Znów usłyszałem, że to w imię sprawiedliwości dziejowej, jak arogancko stwierdziła pani premier Beata Szydło.

Bardzo dobrze, że został powołany Komitet Inicjatywy Ustawodawczej Federacji Stowarzyszeń Służb Mundurowych. Tylko dlaczego wśród przedstawicieli różnych służb brakuje tam funkcjonariuszy, którzy służyli w wywiadzie, kontrwywiadzie, pionach gospodarczych itp.?

Myślę, że funkcjonariusze będą o tym pamiętali przy najbliższych wyborach.

M.M. (imię i nazwisko do wiadomości redakcji)

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

MAGDALENA TULLI, pisarka
Nasza ojczyzna jest wymagająca – żąda krwi

PRZEMYSŁAW SADURA, socjolog
Antyklerykalizm małych miasteczek

Wiesław Kot o Danie Brownie i thrillerach religijnych

Tombakowe myśli prezesa Kossa

Skoro pan Koss, prezes Zrzeszenia Właścicieli Nieruchomości, twierdzi, że jego środowisko prawo własności dostało od Stwórcy (PRZEGLĄD nr 44), to może warto temu od lat znanemu autorowi tombakowych myśli przypomnieć ważne przykazanie: „Nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno". Moim zdaniem prezes, były właściciel – zapatrzony w przyszłe profity związane z ewentualnie odzyskanymi nieruchomościami – gotów jest odwołać się nie tylko do Boga, uważając, że cel uświęca środki.

S. Gołębiowski

ZDJĘCIE TYGODNIA

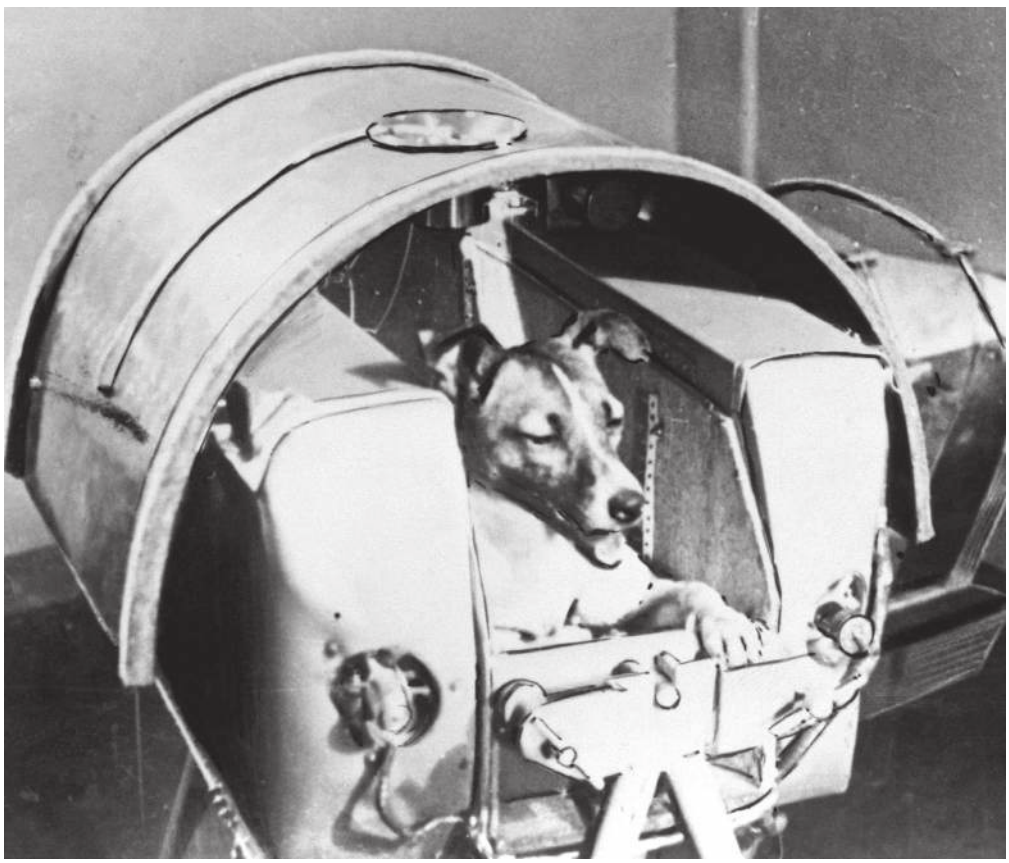

FOT. AP/EAST NEWS

Minęło 60 lat od wysłania na orbitę okołoziemską pierwszego żywego stworzenia. Łajka przeżyła siedem godzin na pokładzie Sputnika 2, który wystartował 3 listopada 1957 r.

eprasa.pl 514e77f55c

Lekarze rezydenci po 28 dniach głodówki zmienili formę protestu ze względu na arogancję rządu PiS, który zlekceważył ich postulaty. Młodzi lekarze przegrali protest, ale nie zostali pokonani. Problemy w służbie zdrowia są ogromne i nie da się ich zakopać.

Abp Wojciech Polak, prymas Polski, został laureatem **Nagrody „Pontifici – Budowniczemu Mostów",** przyznawanej przez warszawski Klub Inteligencji Katolickiej „za zasługi w szerzeniu dobra wspólnego, dialogu i poświęcenia na rzecz bliźnich".

Artur Andrus po 23 latach pracy **odszedł z radiowej Trójki.** Pisowski Zarząd Polskiego Radia postawił mu ultimatum: albo radio, albo TVN 24, gdzie jest stałym gościem „Szkła kontaktowego". Po tym zarządzie zostanie tylko smród. A prawdziwa Trójka jeszcze wróci.

Dr hab. Małgorzata Dragan została laureatką **Nagrody Teofrasta** przyznawanej przez miesięcznik „Charaktery" za najlepszą psychologiczną książkę naukową („Problemowe picie alkoholu przez młode kobiety. Rola niekorzystnych doświadczeń i samoregulacji emocji").

Honorata Martin otrzymała **nagrodę Spojrzenia,** prestiżowe wyróżnienie dla młodych artystów w Polsce, „za wrażliwość, odwagę, konsekwencję w budowaniu relacji opartych na afirmacji, a nie na antagonizmach".

Mirosław Kochalski w 2006 r. jako p.o. prezydent Warszawy i zaufany człowiek Lecha Kaczyńskiego podpisał **decyzję zwrotu kamienicy przy ul. Nabielaka 9** z lokatorami handlarzowi roszczeń Markowi M. W tej kamienicy mieszkała **Jolanta Brzeska,** której spalone ciało znaleziono w Lesie Kabackim. Kochalski jest obecnie wiceprezesem Orlenu z ramienia PiS.

Polska Agencja Prasowa ma tak duże kłopoty finansowe, że musiała zaciągnąć 2 mln zł kredytu na bieżące wydatki, w tym pensje i ZUS. W ciągu dwóch lat PiS doprowadziło więc na skraj bankructwa wszystkie media publiczne. Takie są skutki inwazji kadrowej PiS na TVP, Polskie Radio i PAP.

Andrzej Adamczyk (PiS), minister infrastruktury i budownictwa, przekazał warszawski plac Piłsudskiego w stały zarząd wojewody mazowieckiego (PiS). Nie wzięto pod uwagę tego, że zachodnia część placu i Grób Nieznanego Żołnierza należą do miasta.

Wojciech Lubawski, prezydent Kielc, **zablokował dofinansowanie in vitro** dla mieszkańców miasta. Uzasadnił to sprzeciwem hierarchów kościelnych. Skoro wiadomo, kto tam rządzi, to może za rok wybrać biskupa na prezydenta?

PRZEBŁYSKI

Prześcieradła dla robotników

Od zera (na koncie) do milionera. Taką drogę przebyli ultraliberałowie. Paczka kolegów z Wybrzeża z pewnością nie może narzekać na transformację. W przeciwieństwie do robotników, którzy im w 1980 r. wystrajkowali tłuste posady. Kryterium awansu było proste. Ja nie mam pojęcia o niczym, to zostanę premierem (Jan Krzysztof Bielecki). Ty też nie masz pojęcia, to będziesz u mnie dyrektorem generalnym (Jacek Siwicki). No i poszło. Zgodnie z opisem Siwickiego: „Czuliśmy się wtedy jak chirurdzy na polu bitwy. Pierwsza grupa pacjentów to ci, którym już nic nie pomoże i trzeba im dać prześcieradło, niech umierają. Druga wymaga operacji" itd. No i padały zakłady, instytuty, pegeery. Setkami. I setki tysięcy ludzi poszły na bruk. Wielu na zawsze. Ale Siwicki nie ma wyrzutów sumienia. I jakoś nas to nie dziwi.

ADRIAN w rajstopach

Czyste ręce, czysty biznes, czyste krzesło na Nowogrodzkiej? Nie wiemy, co ważniejsze. Komfort nóg w rajstopach marki ADRIAN? Albo niezwykle pomysłowa kampania reklamowa? Bo rajstopy ADRIAN zachwalały już: Anna Grodzka, kobieta niepełnosprawna i najmniejsza kobieta świata. A teraz do rajstop kupionych przez internet właścicielka fabryki dodaje naklejkę „Mam czyste ręce". Niby drobiazg, ale aż kusi, by ją nalepić komuś z Nowogrodzkiej.

Mniej gorzały, więcej pokuty

W organie sławnego ojca z Torunia przemówił abp Józef Górzyński, metropolita warmiński. Przemówił po polsku. A dlaczego zwracamy uwagę na ten dość oczywisty fakt? Bo mamy, podobnie jak ekscelencja, powody do dumy. A może nawet do głębszej zadumy nad cudami, które spłynęły na naszą ojczyznę. Abp Górzyński przemawiając po polsku, przypomniał, jak to w Gietrzwałdzie w 1877 r. (140 lat temu) niebo przemówiło po polsku. Ustami Matki Boskiej, która też przemówiła po polsku. Tym, którzy pomyśleli, że ktoś tu odleciał, mówimy: nie. Arcybiskup w tym samym wystąpieniu przytomnie zauważył, że dziś mamy w Polsce większe spożycie alkoholu niż w PRL. I zachęcił do pokuty.

Po polskiemu, czyli elity partii władzy

Patryk Jaki przesłuchując Mirosława Kochalskiego, parokrotnie pytał go: „Czy do świadka nie przyszła taka refleksja?". No cóż, do pisowskiego eksprezydenta Warszawy refleksja dopiero idzie. Idzie powoli, bo czeka jeszcze na refleksję z Nowogrodzkiej.
Za to Dominik Tarczyński, medialna twarz PiS, nie czekał i sam się podzielił własną refleksją. „Jestem polską elitą", oświadczył D.T. w Polsat News. Prowadząca przeżyła, ale studio po tej wizycie poddano egzorcyzmom.

FOT. FB.COM.NOWOCZESNYMAOIZM, YOUTUBE.COM

eprasa.pl 514e77f55c

www.mleczko.pl
www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Kto się w Polsce czuje jak u siebie?

KAJA PUTO,
kulturoznawczyni i reportażystka

Nie istnieje i być może nigdy nie istniała jedna Polska, w której można by się czuć jak u siebie. Historia Polski to historia głębokiego podziału, reprodukowanego przez kolejne pokolenia elit: najpierw na Polskę saską i stanisławowską, później białą i czerwoną, endecką i sanacyjną, a dziś – solidarną i liberalną lub smoleńską i europejską. Kompletnie różne wizje świata, które towarzyszą obu narracjom o Polsce, nie zazębiają się w najmniejszym stopniu. To dwie odrębne cywilizacje i dwa systemy wartości. Wyznawcy obu tych opowieści czują się jak u siebie wśród swoich, w swoich bańkach. Próby ich przebicia – czy to przez mieszkańców drugiej bańki, czy przez osoby, które nie mieszczą się w żadnej – budzą niepokój i niechęć. Czujemy się jak u siebie, kiedy jesteśmy sami.

DR HAB. JOANNA MIZIELIŃSKA,
Instytut Psychologii PAN

W badaniach zajmuję się głównie osobami, które w naszym kraju są traktowane jak obywatele drugiej kategorii. Są to osoby nieheteroseksualne, które nie mają możliwości zalegalizowania swoich związków i są narażone na dyskryminację. Sądzę więc, że łatwiej jest mi odpowiedzieć na pytanie, kto nie czuje się u siebie. Oprócz osób nieheteroseksualnych będą to osoby o innym kolorze skóry czy innym pochodzeniu etnicznym, kobiety, których prawa reprodukcyjne są zagrożone, osoby niewierzące itd. Są u siebie, ale ich poczucie bycia u siebie stoi w sprzeczności z ich systemowym wykluczaniem, brakiem rozpoznania ich praw czy też ignorowaniem przemocy wobec nich – symbolicznej lub strukturalnej. Często sprawcami przemocy są ci, którzy zawłaszczają owo poczucie bycia u siebie na własne potrzeby i dla wąsko zdefiniowanej grupy.

KLAUDIA IWICKA,
Centrum Wsparcia Imigrantów i Imigrantek

Dla migrantów, którzy zgłaszają się do nas z różnymi problemami, punktem wyjścia do myślenia o Polsce jako swoim miejscu na ziemi w danym momencie życia jest potrzeba stabilizacji. Do jej osiągnięcia niezbędnych jest kilka elementów. Po pierwsze, czas – nieraz nawet kilka lat. Po drugie, zaspokojenie podstawowych potrzeb, takich jak praca dla dorosłych i szkoła dla dzieci. Trzecim warunkiem jest szeroko rozumiana integracja. Składa się na nią m.in. poczucie, że rozumie się już polskie normy kulturowe i język wystarczająco dobrze, by samodzielnie poruszać się po kraju. I wreszcie świadomość, co może się Polsce i Polakom dać, wnieść od siebie. Spełnienie tych zasadniczych warunków daje szansę poczuć się jak u siebie albo prawie jak u siebie. Bo czasami wyjeżdżając z kraju pochodzenia, można już nigdzie nie poczuć się jak u siebie. To naturalne, dobrze jednak wówczas przynajmniej czuć się bezpiecznie i stabilnie.

PIOTR WIĘCKOWSKI,
czytelnik PRZEGLĄDU

Ja się nie czuję jak u siebie, ja się czuję u siebie.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 514e77f55c

RÓWNOŚĆ OSTATNIĄ DESKĄ RATUNKU

Chciałabym wykorzystać mężczyzn do walki z przemocą wobec kobiet

DR SYLWIA SPUREK

– zastępczyni rzecznika praw obywatelskich ds. równego traktowania, prawniczka, współautorka pierwszej ustawy o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie.

Rozmawia Kacper Leśniewicz

Akcja #Me too zatacza coraz szersze kręgi. To już nie tylko problem Hollywood. Na całym świecie, również w Polsce, tysiące kobiet opowiedziało o doświadczeniach molestowania. Dlaczego akurat teraz ruszyła lawina?

– Ja bym zapytała, dlaczego tak późno. Cała dyskusja wokół #Me too pokazuje, jak trudno mówić o tych doświadczeniach i dlaczego tak późno głosy ofiar zaczynają być słyszalne. Pamiętajmy, że wciąż duża część kobiet pewnie nigdy i nikomu nie opowiedziała o tym, co je spotkało.

I nie wiemy, czy to zrobią, bo ich koleżanki spotkały się nie tylko ze zrozumieniem. Pojawiało się sporo głosów krytycznych.

– Te, które się zdecydowały opowiedzieć, były bardzo odważne, jeśli popatrzymy, z jakimi komentarzami musiały się skonfrontować następnego dnia. A przecież wyznanie komuś i podzielenie się tym, że doświadczyło się przemocy, nie powinno wymagać odwagi. Ale mam wrażenie, że część mężczyzn lekceważy ten problem. Próbują ośmieszyć opowiedziane historie i obwinić same kobiety.

Spodziewała się pani innej reakcji?

– Wyobrażałam sobie inną reakcję mężczyzn. Oczekiwałam, że duża ich część zdaje sobie sprawę z tego problemu i go nie akceptuje. Ta akcja mogła być przecież lekcją, która pokazałaby im skalę zjawiska. Wyznania molestowanych kobiet powinny wywołać krytyczną refleksję na temat tego, dlaczego tak się dzieje i w jaki sposób możemy temu przeciwdziałać. Mężczyzna, który jest mężem czy ojcem, mógłby zadać sobie pytanie: Co mogę zrobić, aby coś takiego w przyszłości nie spotkało mojej żony czy córki? Każdy mężczyzna ma przyjaciółkę, matkę, kuzynkę, inną bliską kobietę. Czy ci, którzy wypowiadali krzywdzące opinie, nie pomyśleli o tym?

Mamy jako społeczeństwo problem z mężczyznami?

– Mamy problem przede wszystkim z tym, jak rozmawiać z ludźmi dorosłymi, ale też z dziećmi na temat równości. Nie rozmawiamy z nimi i nie uczymy ich o prawach człowieka ani o równym traktowaniu. Wszyscy tkwimy w jakichś stereotypach i nierzadko powielamy je w naszym codziennym życiu. W debacie publicznej widać to bardzo dobrze. Większość krzywdzących opinii na temat kobiet, które opowiedziały w internecie o własnych doświadczeniach molestowania, była zbudowana na stereotypach.

> Źródłem przemocy wobec kobiet jest ich podrzędna pozycja wobec mężczyzn.

Zamiast uznać te doświadczenia za dramat tych kobiet, często obserwowaliśmy reakcję defensywną, która przeradzała się w atak. Dlaczego historiom o przemocy wobec kobiet towarzyszy obrona męskości? Z czego to wynika?

– Trudno mi powiedzieć, ponieważ jestem prawniczką, a nie socjolożką czy psycholożką. Czytałam również budujące głosy ze strony mężczyzn, którzy pisali, że jest im wstyd za kolegów. Nie było ich zbyt wiele i na pewno warto się zastanowić, dlaczego tak jest.

Może część oczekuje sygnału do działania?

– Tak myślę, dlatego w najbliższym czasie chcę się do nich zwrócić z prośbą o wsparcie. Za miesiąc rozpoczyna się akcja „16 dni działań przeciw przemocy wobec kobiet". Ma ona na celu podkreślenie, że prawa człowieka to także prawa kobiet – do życia i wolności, do bezpieczeństwa i zdrowia. Chciałabym przy tej okazji zwrócić uwagę właśnie na te stereotypy, które uniemożliwiają skuteczne przeciwdziałanie przemocy wobec kobiet. Mówiąc operacyjnie, chciałabym wykorzystać mężczyzn do walki z przemocą wobec kobiet, bo oni są tutaj oczywistym sprzymierzeńcem. Wszyscy musimy wziąć odpowiedzialność za to, co widzimy na co dzień w miejscu pracy, na ulicy, w szkole. Przemoc nie dotyczy tylko stereotypowo patologicznych rodzin, nie jest związana z biedą i alkoholem, wynika z zupełnie innych mechanizmów. Musimy zareagować, trzymać stronę kobiet – ofiar przemocy.

Jednym z tych mechanizmów jest kultura męskiej dominacji. Myśli pani, że uda się przekonać wychowanych w niej mężczyzn do porzucenia dominacji i władzy na rzecz równości?

– Międzynarodowe akty prawne dotyczące przemocy wobec kobiet, także te ratyfikowane przez Polskę,

eprasa.pl 514e77f55c

podkreślają, że źródłem przemocy wobec kobiet jest ich podrzędna pozycja wobec mężczyzn. Z jednej strony, mamy zatem dyskryminację jako przyczynę przemocy, na którą narażone są najczęściej właśnie kobiety – chodzi tu o przemoc domową, molestowanie seksualne, gwałt, a w innych kręgach kulturowych także małżeństwo z przymusu, tzw. przestępstwa w imię honoru i okaleczanie narządów płciowych. Z drugiej strony, to właśnie przemoc stanowi barierę w osiągnięciu równouprawnienia kobiet i mężczyzn.

Bez wsparcia mężczyzn trudno będzie zrobić krok do przodu.

– Za rok będziemy obchodzić 100. rocznicę wywalczenia przez Polki praw wyborczych. Tymczasem nadal rozmawiamy o kwestiach elementarnych, takich jak wolność kobiet od przemocy i od poniżającego traktowania. To podstawowe prawa człowieka. Musimy zacząć przekonywać mężczyzn, że równe traktowanie leży także w ich interesie.

Kluczem jest równe traktowanie?

– Dzięki edukacji i mówieniu o fundamentalnych wartościach, wynikających z praw człowieka i równości, możemy próbować zapobiegać przemocy wobec kobiet. Ktoś, komu od dziecka wpajano, że jedni członkowie rodziny mają władzę nad drugimi, może uważać, że jako głowa rodziny ma prawo sprawować taką władzę nad pozostałymi, a w celu egzekwowania swojej władzy może stosować wszelkie narzędzia, również przemocowe.

Za rok będziemy obchodzić 100. rocznicę wywalczenia przez Polki praw wyborczych. Tymczasem rozmawiamy o kwestiach elementarnych.

Można wobec tego powiedzieć, że nasze życie jest związane z cyklami przemocy.

– Badania pokazują, że bici biją i ta przemoc jest takim trochę zaklętym kręgiem. Im szybciej to przerwiemy, tym lepiej. Musimy pamiętać, że nikt nie rodzi się przemocowcem, sprawca po prostu nauczył się w życiu stosowania przemocy. Dobra wiadomość jest taka, że skoro jej się nauczył, może się oduczyć jej stosowania.

Najlepiej przerywać przemoc w konkretnym momencie. Dajemy sobie z tym radę?

– Jeśli chodzi o działania wobec sprawców, mamy do dyspozycji konkretne narzędzia – programy korekcyjno-edukacyjne. Ich celem jest uznanie przez osobę stosującą przemoc w rodzinie swojej odpowiedzialności za tę przemoc, zdobycie przez tego kogoś wiedzy na temat mechanizmów powstawania przemocy w rodzinie, rozwijanie umiejętności samokontroli i komunikowania się bez stosowania przemocy. Bardzo ważne, aby sprawca otrzymał od państwa jasny komunikat – że jego zachowanie jest niedopuszczalne.

Potrzebujemy do tego sprawnie działających instytucji. Ostatni przykład molestowania pracownicy w mazowieckim oddziale Żandarmerii Wojskowej pokazuje, że przemoc to także, a może przede wszystkim, problem instytucji.

– Pracownicy socjalni, lekarze, nauczyciele, policjanci i prokuratorzy mają bardzo ważną rolę do odegrania w walce z przemocą wobec kobiet. Często właśnie oni są dla ofiar przemocy osobą pierwszego kontaktu. Od tego bardzo wiele zależy. Według badań osoby doświadczające przemocy nawet dziewięć razy próbują komuś opowiedzieć swoją historię, zanim zaczną podejmować środki prawne. Kluczowa jest reakcja na to, co mówią. Czy ktoś im uwierzy, czy je zlekceważy.

Wydaje się, że warunkiem powodzenia tego procesu jest głęboka zmiana instytucji.

– Myślę, że w świecie idealnym mielibyśmy do czynienia z dobrą edukacją na temat praw człowieka w szkołach i przedszkolach, z kampaniami spo-

Akcję #Me too poparły także europarlamentarzystki podczas obrad w Strasburgu 25 października.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, AFP PHOTO/PATRICK HERTZOG

eprasa.pl 514e77f55c

łecznymi adresowanymi do całego społeczeństwa, a także ze specjalistycznymi szkoleniami dla konkretnych grup zawodowych, których przedstawiciele mają kontakt z ofiarami przemocy. Nie żyjemy jednak w idealnym świecie. Oczywiście na działanie instytucji składa się system prawny. Od tego, czy mamy precyzyjne przepisy i czy ktoś monitoruje ich realizację, zależy skuteczność systemu.

Przemoc wobec kobiet w Polsce jest dzisiaj w jakieś mierze zakonserwowana przez słabe prawo?

– Polskie przepisy, np. te dotyczące przemocy w rodzinie, nie są idealne, ale tworzą określone gwarancje realizacji praw ofiar i dają możliwości pracy ze sprawcami. Pozwalają także analizować skalę zjawiska. Ma ona postać piramidy. Na samym dole są wszystkie, również nieujawnione, przypadki przemocy w rodzinie, wyżej jest liczba wszczętych procedur Niebieskiej Karty, wprowadzonej do ustawy w 2010 r. To ok. 100 tys. rocznie. Jeszcze wyżej w tej piramidzie są postępowania karne prowadzone przeciwko sprawcom przemocy oraz skazania tych sprawców. Bo przemoc w rodzinie jest ścigana, np. z art. 207 Kodeksu karnego penalizującego przestępstwo znęcania się nad członkiem rodziny. I przypadków skazań jest ok. 10 tys. rocznie.

Biuro Rzecznika Praw Obywatelskich od początku tej kadencji działa aktywnie w mniejszych miastach. Dr Adam Bodnar wykonuje ważną pracę w terenie. Czy przemoc wobec kobiet jakoś się różni w zależności od miejsca zamieszkania?

– Zakładam, że nawet nie wyobrażamy sobie, jak trudne jest położenie kobiet z mniejszych miast i miasteczek. Rozmawiamy o możliwościach, jakie daje prawo, ale często zapominamy, że odnosimy się do pewnych modelowych warunków. Nie uwzględniamy bardzo skomplikowanej sytuacji kobiet żyjących na wsi, które mieszkają np. z teściami. Nakaz opuszczenia przez sprawcę lokalu często nie wystarczy, żeby je chronić. Te kobiety nie mają dostępu do żadnej pomocy prawnej, psychologicznej ani materialnej. Specjalistyczny ośrodek wsparcia w małej wsi nie znajduje się tuż za rogiem.

Jeśli w ogóle jest, trzeba do niego dojechać kilkadziesiąt kilometrów.

– Wtedy taka kobieta musi kupić bilet, ale na bilet trzeba mieć pieniądze. Niezamożnych kobiet często nie stać na adwokata, który im pomoże. A nie zawsze ich sytuacja mieści się w kryteriach, które pozwalają na skorzystanie z bezpłatnej pomocy prawnej. Na pewno te kobiety mają o wiele trudniej. Zdarza się, że policjant jest kolegą sprawcy przemocy, a lekarz opiekujący się ofiarą – przyjacielem rodziny.

Podobnie to wygląda w miejscu pracy.

– Przemoc często bywa związana z sytuacją zależności, czyjąś słabszą pozycją. Dotyczyć to może także doświadczania przemocy w miejscu pracy: mobbingu, molestowania czy molestowania seksualnego. Taka kobieta się nie skarży, bo wie, że nie może tej pracy stracić.

Czyli ekonomia też ma ogromne znaczenie.

– Tak, czasami myślę, że niezależność finansowa mogłaby rozwiązać bardzo wiele problemów tego świata. Kiedy mamy pieniądze – to jest truizm – wszystko staje się łatwiejsze. Mamy większe możliwości dochodzenia swoich praw, bo np. stać nas na profesjonalnego pełnomocnika.

W pesymistycznym obrazie przemocy wobec kobiet klamrą jest postępowanie polityków, którzy publicznie bagatelizują problem.

– Powiem coś, co może nie jest popularne, ale uczciwie muszę to zauważyć. Mam żal do wszystkich rządów, z którymi pracowałam od 2002 r. Jeżeli chodzi o równe traktowanie i przemoc w rodzinie, to nawet lewicowy rząd nie podjął skutecznych i kompleksowych działań, które byłyby odpowiedzią na potrzeby ofiar.

Pracowała pani nad ustawą o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie.

– Pamiętam dyskusję wokół pierwszego projektu tej ustawy, którego inicjatorką była pełnomocniczka rządu ds. równego statusu kobiet i mężczyzn, pani minister Izabela Jaruga-Nowacka. Myślę, że gdybyśmy dzisiaj pokazali uwagi zgłoszone do projektu w toku uzgodnień międzyresortowych przez ówczesnych ministrów, ktoś mógłby pomyśleć, że to pomyłka.

Co się z nim wtedy stało?

– Został z niego ogryzek. Projekt przyjęto w 2005 r. w bardzo okrojonym kształcie. Dwie rzeczy wywołały największą dyskusję. Pierwsza to nakaz opuszczenia lokalu przez sprawcę przemocy w rodzinie. Czyli taka fundamentalna kwestia jak zapewnienie bezpieczeństwa ofierze. Ministrowie bardzo się niepokoili, dokąd sprawca pójdzie.

Symptomatyczne.

– Pani minister Jaruga-Nowacka odpowiadała im pytaniem: A dokąd teraz idzie ofiara, najczęściej z małymi dziećmi? Drugą kwestią był zakaz stosowania kar cielesnych wobec dzieci. W Sejmie politycy, odnosząc się do proponowanego zakazu, spłaszczali temat do klapsów i mówili, że też byli bici i wyrośli na człowieka albo sami dzisiaj lekko biją swoje dzieci. Odwoływano się również do Biblii.

Czyli mamy do czynienia z pewnym logicznym ciągiem sposobu myślenia i postrzegania, a dokładniej z lekceważeniem problemu przemocy wobec kobiet.

– Mamy teraz do czynienia z sytuacją, na którą sami przez lata zapracowaliśmy, a której podstawy zostały stworzone dużo wcześniej. Mówię tutaj także o edukacji w szkole. Poprzednich kilkanaście lat to okres, kiedy szkoła powinna była uczyć o prawach człowieka, o demokracji, równości, szacunku dla dobra wspólnego, mogła budować podstawy społeczeństwa obywatelskiego, zaangażowania ludzi, tak aby poczuli się współrządzącymi. Można było stworzyć skuteczny system prawny przeciwdziałania przemocy w rodzinie. Pracowałam z sześcioma premierami, obserwowałam proces tworzenia i stosowania prawa przez kilkanaście lat. W przypadku każdej zmiany najważniejsza jest wola polityczna. Nie wiem, dlaczego przez tyle lat nie było woli politycznej, żeby załatwić, a przynajmniej ograniczyć problem przemocy wobec kobiet w Polsce.

Kacper Leśniewicz

Bici biją i ta przemoc to taki zaklęty krąg. Im szybciej to przerwiemy, tym lepiej.

Osoby doświadczające przemocy nawet dziewięć razy próbują komuś opowiedzieć swoją historię, zanim zaczną podejmować środki prawne.

eprasa.pl 514e77f55c

Kaczyński wyznaczył Gowinowi zadanie przyciągania wolnościowców. I tych od Korwin-Mikkego, i tych od Kukiza.

NA PRAWO OD PiS HULA POLITYKA

Czy z tych dzikich pól może przyjść zagrożenie dla Kaczyńskiego?

Robert Walenciak

Jarosław Kaczyński nie ukrywa, że racją stanu PiS jest to, by nikt nie obszedł tej partii z prawej strony. I „od zawsze" pilnuje, by tak było. A ponieważ na prawo do PiS wciąż funkcjonują różne inicjatywy, nieraz bardzo żywotne, Kaczyński musi je osłabiać. Posługuje się różnymi metodami, czasami robi to poprzez wchłonięcie lub kompromitując ich liderów albo też przejmując ich hasła. Na razie wychodzi z tych gier zwycięsko. Pytanie tylko, jak długo będzie wygrywał.

Niepisowską prawicę możemy podzielić na dwie części. Pierwsza to grupy narodowo-katolickie, druga – wolnościowcy. Liczbowo nie są to jakieś wielkie siły, ale z punktu widzenia Jarosława Kaczyńskiego nie można ich lekceważyć. Raz, że tworzą je środowiska ideowe, a to w polityce duża wartość. Dwa – skupiają one potencjalnych liderów. Trzy – te środowiska traktują PiS jako establishment, jako partię zepsutą, która właśnie wskakuje w buty PO, wymieniając na kasę niedawne idee. Zawsze więc istnieje niebezpieczeństwo, że lekceważone grupy mogą rozkwitnąć i przejąć znaczną część elektoratu.

Dlatego zarówno wobec wolnościowców, jak i narodowców oraz grup fundamentalistów katolickich Kaczyński prowadzi różne polityczne działania.

Zacznijmy

od fundamentalistów katolickich.

To różne stowarzyszenia, które poparły PiS, ale nie bezwarunkowo, tylko za cenę realizacji konkretnych postulatów. Jednym z nich jest całkowity zakaz aborcji.

Kaczyński wie, że politycznych punktów mu to nie przyniesie, raczej straty, że taki zakaz może wywołać demonstracje, stać się iskrą wzmacniającą środowiska lewicy. Z drugiej strony ma wpływowe na prawicy grupy, których liderów nie kupi stanowiskami ani nie zastraszy. Już to trenował, lata musiały minąć, zanim udało mu się spacyfikować Marka Jurka i jego Prawicę Rzeczypospolitej. Różnymi zabiegami partia ta została wygaszona, sam Marek Jurek z listy PiS trafił do Parlamentu Europejskiego. Ale problem pozostał.

Po europośle walkę o całkowity zakaz aborcji przejęli inni, m.in. stowarzyszenie Ordo Iuris. Głośno zrobiło się o nim we wrześniu 2016 r., gdy zaproponowało projekt ustawy całkowicie zakazującej aborcji, który przewidywał kary więzienia (do lat pięciu) za dokonanie zabiegu nie tylko dla lekarzy, ale i dla samych matek.

Niepisowską prawicę możemy podzielić na dwie części. Pierwsza to grupy narodowo-katolickie, druga – wolnościowcy.

Projekt trafił do Sejmu, tam – w obliczu fali demonstracji, Czarnego Protestu – został wycofany. Ale przecież nie porzucony.

Teraz lobby antyaborcyjne wraca z nowym projektem. Zakazującym tzw. aborcji z powodów eugenicznych. Autorzy projektu chcą nowelizacji Ustawy z 1993 r. o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży. Ich projekt zakłada wykreślenie przepisu zezwalającego

eprasa.pl 514e77f55c

na aborcję, gdy dziecko może się urodzić niepełnosprawne lub chore.

I wydaje się, że osiągną swój cel. Polki będą musiały rodzić nieuleczalnie chore dzieci, trwale uszkodzone płody. I prezydent Duda, i premier Szydło już zapowiedzieli, że poprą zakaz aborcji „eugenicznej". Za jest również Jarosław Kaczyński. „Te dzieci, jeśli uda im się przeżyć i rodzice nie zdecydują się na, niestety, proponowaną obecnie aborcję, są bardzo szczęśliwe. Jest nie do przyjęcia, że dziś w Polsce można te dzieci zabijać. To są wspaniali ludzie, którzy swoim życiem mogą zrobić wiele dobrego", mówi Duda.

Inną drogą jest Trybunał Konstytucyjny. Ponad 100 posłów, głównie z PiS, złożyło w Trybunale wniosek o rozstrzygnięcie, czy konstytucja pozwala na przerywanie ciąży, gdy płód jest uszkodzony.

W ten sposób PiS tylnymi drzwiami wprowadza te zapisy, których nie udało się przeforsować 14 miesięcy temu. Z politycznego punktu widzenia to cena za rozbrojenie grup radykalnych katolików. Żeby nie szukali możliwości realizowania swoich celów poza PiS.

Podobnie

rozbrajani są wolnościowcy.

To grupa skupiona wokół Janusza Korwin-Mikkego. Teoretycznie niewielka, choć wystarczająco duża, by ocierać się o barierę 5%. W ostatnich wyborach do Sejmu zdobyła (pod nazwą KORWiN) 4,7% poparcia. Dziś ten wynik to abstrakcja. Kolejna partia Korwin-Mikkego, tym razem pod nazwą Wolność, uzyskuje w sondażach do 2% poparcia i targają nią wewnętrzne konflikty.

Pisał o nich w „Najwyższym Czasie!" redaktor naczelny pisma Tomasz Sommer: „Odchodzący działacze dają do zrozumienia, że zamiast transparentności finansowej i sprawności organizacyjnej wychodzącej na zewnątrz, partia wykształciła wewnętrzny układ, który broni swoich przywilejów finansowych przed resztą organizacji, stąd wszelka jej działalność, broniąca tego układu, skierowana jest do wewnątrz, a nie na zewnątrz. A konsekwencją są spadające notowania i brak udziału w życiu publicznym.

(…) Piszę to wszystko głównie dlatego, że obecny kryzys w ruchu wolnościowym jest chyba najpoważniejszym ze wszystkich dotychczasowych. A przecież przerabialiśmy już i pucze, i okupacje gabinetu, i wyrzucanie prezesów. Tyle że nigdy wcześniej nie wchodziły w grę duże pieniądze, wokół których trwa zamieszanie połączone z upublicznieniem dokumentów, którymi wolnościowcy będą bez wątpienia »grillowani«, a niektórzy z nich nawet szantażowani podczas kampanii wyborczych.

Środowisko wolnościowe ma jeszcze rok na otrzeźwienie i oczyszczenie. Tylko rok".

O co chodzi Sommerowi, wyjaśnia Robert Anacki, do niedawna wiceprzewodniczący partii. „Na pewno o partii Wolność będzie jeszcze głośno, jeśli chodzi o sprawy formalne i finansowe. Chodzi m.in. o sprawy, które przedstawiłem na ostatniej radzie krajowej – rozliczenia z europosłem Robertem Iwaszkiewiczem za jego wkład w partię, czy Przemysławem Wiplerem, który odszedł z niej dawno. Liczyłem na wyjaśnienia ze strony JKM, ale niczego takiego nie dostałem".

Chodzi więc o sprawy pieniędzy z europarlamentu, jakichś dokumentów, które mogą zostać upublicznione w czasie kampanii wyborczej. Teraz te pieniądze są jedną z przyczyn kłótni w łonie partii. „Po moim odejściu posypały się struktury w całej Polsce. W skali kraju z Wolności odeszła połowa ludzi. Niestety, przynależność do partii JKM to pewna stygmatyzacja", mówi Anacki. Który, dodajmy, przeszedł do partii Jarosława Gowina, trzeciego, najmniejszego członu Zjednoczonej Prawicy.

I nikt nie ukrywa, że ten transfer jest elementem większej gry,

gry Gowina

na zwiększenie stanu posiadania. I gry Kaczyńskiego – na rozszerzenie wpływów rządzącej koalicji. Te pojedyncze transfery Gowin szumnie określa mianem pozyskiwania nowych środowisk. Faktycznie, dla działaczy takich jak Anacki wejście do PiS byłoby niewygodne, a do partii Gowina – jak najbardziej możliwe.

O co bowiem chodzi? Wolnościowcy bardzo mocno krytykują politykę gospodarczą PiS, zwłaszcza transfery socjalne. Sam Anacki nazywał PiS „komunistami z krzyżem w zębach". Jak więc tłumaczy swój transfer? „Na pewno nie będę teraz chodził po radiach i mówił, że popieram socjalistyczne rozwiązania PiS – mówi w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej". – Na przykład 500+ jako pomoc dla rodzin wprowadziłbym w formach ulg podatkowych, żeby ludzi zachęcać jednocześnie do pracy i posiadania dzieci. Cóż, partie JKM od 20-30 lat toczą dyskusje o tym, jak powinno wyglądać państwo. W tej chwili dojrzałem do tego, żeby zawiązać kompromis, by móc zrealizować jakiekolwiek zmiany, chociaż część z nich. Tymczasem bezkompromisowe podejście JKM spowodowało, że Wolność w ostatnich sondażach miała poniżej 1% poparcia. Przy takim rozbiciu struktur nie widziałem szans, aby cokolwiek osiągnąć".

Uznał więc, że osiągnie coś z Gowinem. A jak? „Podpisaliśmy dokument o współpracy naszych środowisk na rzecz wolnego rynku. Chcemy dać Polakom jak najwięcej przestrzeni do działania. Im więcej nas będzie, tym mocniej będziemy mogli wpływać na rząd. Wierzę, że gdy w obozie zjednoczonej prawicy pojawi się skrzydło skupione na gospodarce, to będziemy mieli wpływ na politykę w tym zakresie".

Przekaz kierowany do wolnościowców jest zatem taki: jak będzie nas więcej, będziemy mieli wpływ. Czy w to uwierzą?

Środowiska prawicowe traktują PiS jako establishment, jako partię zepsutą, która wskakuje w buty PO, wymieniając na kasę niedawne idee.

Robert Anacki, do niedawna wiceprzewodniczący partii Wolność, nazywał PiS „komunistami z krzyżem w zębach".

eprasa.pl 514e77f55c

Ciekawa jest w tym wszystkim postawa Jarosława Gowina. Nie ukrywa on, że taką właśnie rolę wyznaczył mu prezes Kaczyński – ma pozyskiwać środowiska liberalne, wolnościowe. Zarówno tych od Korwin-Mikkego, jak i od Kukiza.

Gowin przyjął to zadanie z pocałowaniem ręki, zwłaszcza że wisi nad nim niebezpieczeństwo zostania generałem bez armii. Jego podwładni i sojusznicy wykruszają się. Wicemarszałek Senatu Adam Bielan, teoretycznie w jego partii, ma własne kontakty z Nowogrodzką. Konstanty Radziwiłł i Anna Streżyńska już chyba nawet nie pamiętają, że zostali ministrami z jego rekomendacji. Z dziewięciu posłów, których Gowin wprowadził do Sejmu, nie może być pewny żadnego. Dlatego musi przebudować swoje struktury, musi szukać spoiwa, które określiłoby jego ugrupowanie, uczyniło je na tyle innym od PiS, a równocześnie na tyle PiS bliskim, by zachować rację politycznego bytu.

Sobotni kongres (4 listopada) był pierwszym krokiem na tej drodze. Ale czy Gowinowi się powiedzie? Wiele zależy od tego, kogo uda mu się złowić. A z tym bywa różnie, bo z trzech posłanek, które odeszły z klubu Kukiz'15, do Gowina przeszła tylko jedna.

Omawiając niepisowską prawicę, w zasadzie

powinniśmy zacząć od Kukiza,

bo on jest z tych wszystkich grup najsilniejszy. Ma zresztą wciąż bardzo dobre sondaże, które pokazują, że bez problemu dostałby się do Sejmu. Że magia jego nazwiska wciąż działa.

O ile więc Gowin jest paprotką, o tyle Kukiz jest poważnym przeciwnikiem, z którym Kaczyński musi się liczyć.

Kukiz w wyborach w 2015 r. zorganizował swój ruch niejako z łapanki, łącząc trzy grupy. Pierwsza to środowiska „oburzonych", ludzi, których państwo w jakiś sposób skrzywdziło, czy to w wyniku procesów sądowych, czy decyzjami urzędników. Do tej grupy możemy też zaliczyć młodzież, kontestatorów III RP, których porwała kampania prezydencka. Druga grupa to wolnościowcy, którzy zagłosowaliby na Korwin-Mikkego, ale Kukiz miał dla nich więcej politycznego czaru. No i trzecia, zdecydowanie największa, to narodowcy. W roku 2015 zarysował się pewien *deal* – Kukiz wykorzystał struktury narodowców w kampanii, a oni wykorzystali jego szyld, by dostać się do Sejmu. Sądząc zresztą, że za parę miesięcy ograją go i przejmą wszystko.

Kornel Morawiecki chciał przybliżyć klub Kukiz'15 do PiS. To mu się nie udało.

Nic z tego nie wyszło. Kukiz okazał się sprawniejszy politycznie, niż narodowcy uważali. Przykładem jest los Roberta Winnickiego, którego Kukiz wypchnął z klubu. To zresztą nie jest jego jedyna ofiara – możemy do nich zaliczyć i Kornela Morawieckiego, który chciał przeciągnąć klub w stronę PiS, sprowadzić go do roli kolejnej przystawki, i Liroya-Marca, który z kolei postawił na postulaty wolnościowe.

W ten sposób Kukiz pokazał, że nie jest gapą, piosenkarzem idealistą, tylko człowiekiem twardo stąpającym po ziemi. Udowodnił też, że chce bronić swojej pozycji jako osoby niezależnej, spoza establishmentu – zarówno pisowskiego, jak i całej III RP. Mimo że nie ma dobrej prasy, niezmiennie ma dobre sondaże, lepsze niż Nowoczesna. Cieszy się też sporym poparciem wśród młodzieży. Dla niej jest prawdziwym kontestatorem, nieunurzanym w politycznym błocie, osobą autentyczną, a nie zepsutą jak Kaczyński.

Z tego punktu widzenia to Kukiz jest największym wrogiem PiS, zabiera bowiem partii Kaczyńskiego wyborców, którzy zapewniliby jej większość. I to z nim PiS prowadzi najtwardszą wojnę.

Po pierwsze, wyciągając z klubu Kukiz'15 kolejnych posłów. To zadanie Kornela Morawieckiego i Jarosława Gowina.

Po drugie, ośmieszając go – co starają się robić pisowskie media.

Po trzecie, niszcząc go. A to już rola innych organów. Jakich? Do tej pory nikt nikogo za rękę nie złapał. Ale warto odnotować, że 27 października 2017 r. z polecenia prokuratora okręgowego w Warszawie wszczęte zostało śledztwo w sprawie wykupu w 2010 r. przez Kukiza mieszkania kwaterunkowego z 90-procentową bonifikatą. Kukiz zapłacił za nie 25 tys. zł, a wartość oceniana jest na 226 tys. zł. Wprawdzie z aferą reprywatyzacyjną równać się to nie może, ale na pewno będzie dobrą okazją do strącenia korony.

Z upadku Kukiza (jeśli nastąpi) cieszono by się nie tylko w PiS,

O ile Gowin jest paprotką, o tyle Kukiz jest poważnym przeciwnikiem, z którym Kaczyński musi się liczyć.

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS, VIPHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 514e77f55c

uradowaliby się też narodowcy. Różne ugrupowania typu

ONR, Młodzież Wszechpolska.

Jest ich sporo, zdecydowanie rosną w siłę, ale brakuje tam lidera, który mógłby ich zagospodarować. Choć są coraz bardziej przekonani, że nadchodzi ich czas. „Zwarta, wyrazista, prawicowa alternatywa dla neosanacyjnego PiS jest dziś potrzebna jak powietrze, by ludzie mieli wybór, widzieli, że można być prawicowcem wolnorynkowym, demokratycznym, zwróconym w stronę narodu a nie państwa" – to jeden z charakterystycznych głosów wynotowany z sieci.

Ale jak budować tę „zwartą, wyrazistą, prawicową alternatywę"? Narodowców stać na jednorazowe wystąpienia, takie jak Marsz Niepodległości – za parę dni będziemy świadkami kolejnego. Czy stać ich także na zbudowanie czegoś na prawo do PiS? Dodajmy – w miejsce Kukiza?

„Oni mają kłopot – tłumaczy jeden z dziennikarzy prawicowych mediów – polegający na tym, że wszystkie postulaty, które mogliby ponieść, już dawno wyjęło im z ręki PiS. Uchodźcy? Kto przebije ministra Błaszczaka? Zakaz aborcji? Za chwilę będzie. Żołnierze wyklęci? PiS buduje im pomniki, Antoni Macierewicz uczynił ich patronami Wojsk Obrony Terytorialnej. Walka z komuną i z PO? To Kaczyński woła: mordy zdradzieckie".

Trudno z tą analizą się nie zgodzić. Najbliższy Marsz Niepodległości odbędzie się pod hasłem: „My chcemy Boga". I nawet prezes Stowarzyszenia Marsz Niepodległości Robert Bąkiewicz nie za bardzo potrafi wytłumaczyć, jaka jest w tym idea. „My, Polacy, chcemy odwołać się do wartości, które są fundamentem naszej tożsamości, naszego narodu, rdzeniem Europy i rdzeniem będącej w dalekiej destrukcji cywilizacji łacińskiej. Dzisiaj chcemy iść jak nasi przodkowie pod Wiedniem, jak w walce z nawałą bolszewicką w 1920 r. chcemy iść pod sztandarami Boga", mówi.

W ten sposób młodzi narodowcy zostali zepchnięci do roli rezerwy uderzeniowej PiS. Postrachu KOD i protestujących feministek. To marna rola.

Słabnie też impet innej grupy – Endecji. To stowarzyszenie, którego szefem był poseł Kukiz'15 Sylwester Chruszcz (właśnie opuścił klub kukizowców), a szefem Rady Patronackiej dziennikarz Rafał Ziemkiewicz. Miało nawiązywać do młodego Dmowskiego, tego z czasów pracy organicznej. Na prawicy krążyły nawet dwie teorie dotyczące stowarzyszenia. Pierwsza, że jest wrogie ONR, bo ONR sięga do lat 30. XX w., a Endecja do lat 20. i wcześniejszych. Gdy więc ONR się wykruszy, Endecja wkroczy do gry. Na razie wydarzenia tego nie potwierdzają. Druga teoria mówiła o ambicjach politycznych Rafała Ziemkiewicza, który chciałby być wice-Dmowskim i patronem tego, co narodowe po prawej stronie. Ale też jakoś nie widać, by te zapowiedzi się materializowały, Ziemkiewicz starannie pilnuje wizerunku prawicowego publicysty, w głębsze działania polityczne nie wchodzi. Jest więc bardziej Strońskim niż Dmowskim.

Narodowcy mają kłopot – wszystkie postulaty, które mogliby ponieść, już dawno wyjęło im z ręki PiS.

Być może ta ostrożność to efekt rachunku sił. Dzisiejsze PiS stać na zagospodarowanie (albo zniszczenie) i narodowych działaczy, i publicystów. Oni mogą być cenni, gdy przynoszą PiS korzyści, głosy poparcia, gdy walczą z liberałami, lewicą, Unią Europejską, ale gdy przekroczą pewną granicę, są wyciszani. Tak jak wyciszany jest inny lider prawej strony – Grzegorz Braun.

W sumie dla nich wszystkich wybór jest jeden. Muszą czekać.

Robert Walenciak

PRENUMERATA

Zapraszamy do prenumeraty PRZEGLĄDU za pośrednictwem Poczty Polskiej SA

Tylko do 25 listopada 2017 r.

Prenumeraty będą realizowane od stycznia 2018 r. po dokonaniu przedpłaty:

71,50 zł - I kwartał
137,50 zł - I półrocze
280,50 zł - cały rok

- drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl
- we wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju
- u listonoszy

Poczta Polska

Gomułka nigdy nie był w Chinach

Bardzo przepraszam Czytelników za przykry błąd. Władysław Gomułka oczywiście nigdy nie był w Chinach. Delegacją rządową w 1958 r. kierował premier Józef Cyrankiewicz. Jako starszy człowiek nie zawsze zawierzam swojej pamięci i sprawdzam szczegóły. Fałszywą informację o wizycie Gomułki podałem za dobrą chronologią amerykańską ChRL Petera Chenga, w pośpiechu nie sprawdzając tej budzącej moje wątpliwości informacji w chronologiach polskich. Wina pośpiechu. Biję się w piersi. *Mea culpa*!

Krzysztof Gawlikowski

eprasa.pl 514e77f55c

500+ OŻYWIŁO LOKALNĄ POLSKĘ

Na dzietność program 500+ raczej nie wpłynął, ale ułatwił życie rodzicom i zlikwidował ubóstwo wśród dzieci

Rozmawia Tomasz Borejza

Ilu Polaków mieszka na wsi?

– Mniej więcej 15 mln, 40% polskiego społeczeństwa.

A jeśli doliczymy miejscowości do 20 tys. mieszkańców?

– Wtedy możemy mówić, że około połowy Polaków. Warto jednak wspomnieć, że cały czas zachodzi tam proces odrolniczania. Gospodarstwa stają się coraz bardziej towarowe. Produkują więcej, ale zatrudnienie w nich znajduje coraz mniej ludzi. Dziś, patrząc realnie, jedynie 5% mieszkańców wsi utrzymuje się głównie z produkcji żywności.

To z czego się utrzymują?

– Z wszystkich prac, które mogą wykonywać w mieście, lub z migracji za granicę. Najczęściej chodzi o zatrudnienie w firmach budowlanych, często w transporcie, w lokalnych centrach handlowych.

Sklepy to nieliczni miejscowi pracodawcy. Do innej pracy trzeba dojechać.

– System komunikacji się polepsza, ale dotyczy to jedynie dróg. Sytuacja transportu publicznego jest dramatyczna. Część ludzi mieszkających na wsi jest wykluczona. Nawet z opieki zdrowotnej, bo nie mają jak dojechać do lekarza. Mówi się dziś, że posiadanie samochodu nie jest problemem, a statystycznie aut na jednego mieszkańca przypada więcej na wsi niż w mieście. Musimy jednak pamiętać, że jeżdżą nimi głównie ludzie młodzi, a nie starsi i schorowani. Oni często nie mogą lub nie chcą prowadzić auta, a nie mogą skorzystać z transportu publicznego, bo państwo całkowicie się z niego wycofało. Lukę wypełniają prywatni przewoźnicy, ale oni ograniczają się do rentownych połączeń. Jeżeli ludzie jeżdżą rano do miasteczka do pracy, to ktoś ich zawiezie i odbierze. Na godz. 12 do lekarza już nie, bo to się nie opłaca.

Dziś na wsi podstawową komórką społeczną jest niepełna rodzina.

System komunikacji rozpadał się stopniowo czy była to jedna polityczna decyzja?

– Stopniowo. Przełomem była jednak prywatyzacja PKS na początku lat 2000 i odebranie państwowych dotacji. Wtedy komunikacja publiczna w regionach w zasadzie przestała istnieć. To niebagatelna sprawa.

Skoro tak wiele środków popłynęło w ostatnich latach na obszary wiejskie, to dlaczego tę kluczową sprawę zostawiono samą sobie.

– W latach 90., kiedy przeprowadzano reformy samorządowe i obciążano gminy nowymi zadaniami, nie zapewniono im wystarczających środków na realizację tych obowiązków. Efekt jest m.in. taki, że dziś jedyny transport publiczny, którym gminy dysponują, to gimbusy. Innego nie ma, a one twierdzą, że jego zapewnienie nie jest ich obowiązkiem. To sytuacja raczej niespotykana w krajach bardziej rozwiniętych. Tam samorządy dotują transport zbiorowy.

ROZPADAJĄCE SIĘ SPOŁECZEŃSTWO

Czego jeszcze gminy nie uważają za swój obowiązek?

– Gminy są w bardzo trudnej sytuacji. Reforma z 1999 r. ubezwłasnowolniła je, dając im wiele zadań i nie zapewniając środków. Bogatsze jakoś sobie radzą, ale biedniejsze nie. Nie mają pieniędzy ani ludzi. Wycofują się więc z wielu sfer życia. Najważniejszą jest moim zdaniem oświata. Największą szkodą wyrządzoną na terenach wiejskich przez reformę samorządową było tworzenie kołchozów edukacyjnych, sytuacji, gdy w jednym bu-

Dr hab. PIOTR NOWAK – adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. W jego zainteresowaniach naukowych dominują dwa nurty: socjologia obszarów wiejskich i rolnictwa oraz socjologia turystyki i sportu. Prowadzi badania nad rozwojem obszarów wiejskich, polityką rolną, turystyką wiejską. Autor i kierownik projektów badawczych, międzynarodowych i krajowych, z zakresu wprowadzania wspólnej polityki rolnej w Polsce, rozwoju obszarów wiejskich oraz innowacji społecznych na wsi.

eprasa.pl 514e77f55c

dynku w gminie skupia się kilka szkół. Przemawiają za tym jedynie względy ekonomiczne, bo taniej dowozić dzieci gimbusami do jednego centrum, niż prowadzić kilka mniejszych jednostek. Nie służy to jednak procesowi edukacyjnemu ani wychowawczemu. Szkodzi też zdolnym dzieciom. Te na wsi często nie mają jak rozwijać talentów, bo nawet jeśli w szkole są kółka zainteresowań, to zajęcia odbywają się po lekcjach.

I nie ma jak dojechać.

– Rodzice pracują, gimbus jeździ o określonej godzinie. Nie będzie czekać na jedno dziecko. Ważne jest i to, że brak jednostek oświatowych na wsi pociąga za sobą brak czegoś, co w socjologii nazywamy centrami skupienia. To miejsca, w których ludzie mogą się spotkać. Obecnie często taką funkcję pełni jedynie kościół. Z ekonomicznego punktu widzenia łączenie szkół jest uzasadnione. Ze społecznego – powoduje to, że wiejskie wspólnoty się atomizują. Ubywa ważnych miejsc.

Rozpadające się relacje i wspólnoty na polskiej wsi widać gołym okiem. Przypisywałem to jednak emigracji zarobkowej, która polega np. na tym, że pół roku spędza się za granicą i człowiek nie mieszka ani tu, ani tam.

– W socjologii mówi się czasami, że rodzina jest podstawową komórką społeczną. Ja bym powiedział, że dziś na wsi podstawową komórką społeczną jest niepełna rodzina. Kiedy ludzie pracowali na miejscu, mieli wspólne potrzeby. Jeżeli ktoś pracuje w Szwajcarii, mało go interesuje to, co się dzieje we wsi. Zadba o swoje obejście, a resztę zepchnie na innych lub gminę, bo uznaje, że skoro płaci podatki, to jest jej obowiązek. Życie na wsi się dezintegruje.

Jak bardzo?

– Moim zdaniem sytuacja jest dramatyczna. To stan anomii społecznej – niepewność ludzi co do treści norm, systemu, w którym żyją, brak poczucia bezpieczeństwa. Wskazuje na to liczba samobójstw, na wsi znacznie większa niż w mieście. To czuły wskaźnik kondycji zbiorowości społecznej. Co istotne, znacznie częściej decydują się na taki krok mężczyźni. Im trudniej się odnaleźć w systemie, w którym żyją. Oczekiwania wobec nich są większe. Jesteś głową rodziny, to zarabiaj. Tak jak sąsiad, który był w Szwajcarii i kupił nowe auto, lub ten, który był w Norwegii i wybudował nowy dom. Problemy z pracą są dla nich trudniejsze.

Jak duża jest różnica w liczbie samobójstw między wsią a miastem?

– W 2014 r. Polaków, którzy odebrali sobie życie, było ponad 2 tys. więcej niż tych, którzy je stracili w wypadkach samochodowych. Samobójstwa są najpowszechniejsze wśród grup, które najbardziej ucierpiały w wyniku transformacji. Dziś najczęściej odbierają sobie życie bezrobotni i rolnicy. A im mniejsza miejscowość, tym więcej samobójstw. W PRL było bardzo mało samobójstw na wsi. Zaczęło się to zmieniać pod koniec lat 80. i dotyczy zarówno mężczyzn, jak i kobiet, choć w przypadku kobiet różnica jest niewielka. Obecnie, jeśli chodzi o mężczyzn, umieralność z powodu samobójstw jest na wsi wyższa o 50% niż w mieście. Polscy rolnicy uważają, że to oni powinni wziąć odpowiedzialność za rodzinę, a kiedy nie potrafią sobie z tym poradzić, niestety odbierają sobie życie.

Najczęściej odbierają sobie życie bezrobotni i rolnicy.

Na wsi rozmawia się nie o tym, żeby zrobić coś razem, tylko o tym, gdzie można zarobić.

Ile jest w tym problemów związanych z presją ekonomiczną?

– Ekonomia odgrywa dziś decydującą rolę w relacjach na wsi. Dawniej była to kultura. Teraz – pieniądze. Ludzie są nastawieni na dochód, co przekłada się na relacje między nimi, jest ich podstawą. Na wsi nie rozmawia się o jakości życia, o tym, żeby zrobić coś razem. Rozmawia się o tym, gdzie można zarobić. Jesteś dla mnie atrakcyjny, kiedy masz dla mnie zlecenie, dojście do kogoś, kto może mi coś załatwić. Ludzie myślą przede wszystkim o tym, skąd wziąć więcej.

Kiedy się nie ma, myśli się głównie o tym, gdzie zarobić.

– Owszem, ale tutaj pojawia się problem pewnej narracji. Narzucono nam neoliberalną opowieść, która mówi, że o twojej wartości jako człowieka decyduje to, ile jesteś wart ekonomicznie. O prestiżu społecznym decyduje to, co i jak człowiek konsumuje. Kazano nam wierzyć, że wszyscy mogą być milionerami, co jest totalną bzdurą – milionerami będzie 1%. Dlatego bardzo dużo czasu poświęcamy na pracę. Jako naród jesteśmy pracoholikami. Porównujemy się do Niemców, a nie myślimy o tym, jak zbudować sobie dobre życie w swoim środowisku. O to winię media.

ZNIKNĘŁY ZESZYTY

Co na obszarach wiejskich zmienił program Rodzina 500+?

– Bardzo dużo. Moim zdaniem jest nawet ważniejszy niż dopłaty bezpośrednie. Politycy mówią, że więcej pieniędzy z niego trafia na wieś niż do miast. Na dzietność raczej nie wpłynął, ale ułatwił życie rodzicom i zlikwidował ubóstwo wśród dzieci. Ożywił lokalne rynki. Transfery finansowe napędziły konsumpcję w lokalnej Polsce. Sprzedawcy mówią, że zniknęły tzw. zeszyty, mniej osób bierze zakupy na kredyt. Ludzie więcej kupują. Handlowcy lepiej zarabiają. Istotne jest i to, że wielu ludzi przestało czuć upokorzenie ekonomiczne. Dotyczy to szczególnie rodzin wielodzietnych, którym program pozwolił odzyskać godność.

Wcześniej nie mieli poczucia godności?

– Rodzice gryźli się tym, że dzieci donaszają rzeczy po sobie, są ubrane gorzej niż inni. Często słyszałem np., że dzieci z takich rodzin nie jeżdżą na wycieczki szkolne, bo ich nie stać. To się zmieniło. Oczywiście zdarzają się patologie, ale myślę, że tutaj można je pominąć.

Mówmy o przeciętnej. Na ile jest ważne, że to program skierowany do wszystkich, a nie do osób korzystających z pomocy społecznej?

– Po pierwsze, koszty obsługi i kontroli byłyby – tak przynajmniej twierdzą politycy – wyższe niż wypłaty. Ważniejsza sprawa jest taka, że dzięki temu unikamy stygmatyzacji. To bardzo istotne w lokalnych społecznościach. Nikt nikogo nie wytyka palcem z powodu tego, że pobiera 500+, bo sam bierze. Biorą biedni i bogaci. Nie widzę zresztą

FOT. TOMASZ BOREJZA, JUSTYNA ROJEK/EAST NEWS

eprasa.pl 514e77f55c

Program 500+ stał się nawet motywem ubiegłorocznych dożynek w gminie Aleksandrów Kujawski.

powodu, by ci ostatni z niego nie korzystali.

Płacą podatki, więc powinni mieć prawo do świadczeń. Mówiliśmy o pracy na wsi. O tym, że trzeba za nią jeździć. Cecha charakterystyczna takiej pracy to tymczasowość i brak pewności zarobku. Bez stałego dochodu trudno o poczucie bezpieczeństwa, będące fundamentalną ludzką potrzebą. Na ile program 500+ na to odpowiedział?

– Ja bym zwrócił uwagę na coś innego. Na konieczność zaspokajania potrzeb dzieci. Jeżeli człowiek nie może zapewnić dziecku warunków, które mają jego rówieśnicy, wpływa to na niego niezwykle depresyjnie. Obniża poczucie własnej wartości, deprecjonuje osobowość. Dzięki 500+ wiele osób mogło skrócić dystans między swoimi synami i córkami a dziećmi ludzi bogatszych. Zmieniły się relacje, także w szkołach. Poczucie stabilności zapewniane przez stały dochód też jest bardzo ważne. Program oczywiście nie rozwiązuje wszystkich problemów, ale pomaga.

Wypytuję głównie o dobre strony, bo z zafascynowaniem obserwuję wdrażanie programu i jego efekty. Przede wszystkim dlatego, że to eksperyment idący na przekór opowieści o gospodarce, którą serwowano nam od 1989 r. Coś takiego miało być niemożliwe. Tymczasem okazuje się, że rację miał John M. Keynes.

– Ja w ogóle jestem keynesistą z krwi i kości. Lubię rynek, ale uważam go za ułomny. Program jest wielkim eksperymentem społecznym. Moim zdaniem największym od naszego wejścia do Unii Europejskiej. Do tego ciekawym, bo jego wpływ widać na bardzo wielu poziomach – na poziomie makroekonomii, całego społeczeństwa, w lokalnych społecznościach, w rodzinach.

Program 500+ jest nawet ważniejszy niż dopłaty bezpośrednie.

Czy w statystykach da się już zauważyć efekty?

– Jest za wcześnie. Mówi się o wzroście konsumpcji, ożywieniu w handlu lokalnym, o tym, że lepiej sprzedają się artykuły dziecięce, ale trzeba jeszcze sprawdzić, czy to na pewno wynik programu, czy może po prostu lepszej koniunktury. Jednak trudno, żeby te miliardy po prostu zniknęły.

A jakie wnioski jako socjolog by pan z tego wyciągnął?

– Że 500+ wzmocniło poczucie wartości ludzi mających więcej niż jedno dziecko. To bardzo ważna rzecz. W wymiarze lokalnym, wiejskim, powiedziałbym, że w końcu ktoś pomyślał, kto jest naturalnym zapleczem tego państwa, pomyślał o ludziach, którzy żyją gdzieś daleko, w małych miejscowościach, i dał im środki pozwalające zaspokajać podstawowe potrzeby. Lokalne rynki musiały otrzymać zastrzyk kapitału, który pozwalałby się im rozwijać. Redystrybucja zapewniła ożywienie gospodarcze, a ożywienie gospodarcze – lepsze szanse życiowe ludziom.

Da się te wnioski przenieść gdzie indziej?

– Pomyślałbym o rynku żywnościowym i wsparciu małych gospodarstw rolnych. Jeżeli w nie nie zainwestujemy, możemy stracić bezpieczeństwo żywnościowe. Służba zdrowia też jest takim obszarem. Dostęp do świadczeń opieki zdrowotnej na wsi mamy o wiele gorszy niż w mieście. Bezpośredni transfer środków raczej nie jest rozwiązaniem, ale można tworzyć zachęty do tego, by np. zakładać apteki tam, gdzie nie opłaca się ich prowadzić. To także keynesowskie rozwiązanie.

DAŁO SIĘ ZROBIĆ COŚ DLA LUDZI

Ile w wynikach sondażowych Prawa i Sprawiedliwości jest efektu 500+?

– 500+ to realizacja zapowiedzi przedwyborczych, a dla mnie obecne wyniki sondażowe mają źródło przede wszystkim w realizacji obietnic. Przez poprzednie osiem lat wiele mówiono, ale nikt nie rozliczał z tego, co mówiono. Teraz możemy dyskutować, czy reformy i zmiany idą w dobrym kierunku, czy powinny przebiegać tak, jak przebiegają, ale trudno powiedzieć, że nie są wprowadzane konsekwentnie.

Można obserwować efekty, oddzielając je od oceny tego, co je powoduje.

– Według mnie 500+ przekłada się na poparcie także dlatego, że liberałowie mówili, że tego nie można zrobić. Twierdzono, że zrujnuje to gospodarkę, że zbankrutujemy. Dzisiaj mamy dowód, że nie tylko tak się nie stało, ale nawet w sensie ekonomicznym zadziałało dobrze. Przyniosło też korzystne efekty społeczne. Ludzie mają wrażenie, że jednak dało się coś zrobić. Wielu odczuło bezpośrednią korzyść, zyskało na tym. Patrzą więc, co się dzieje, i może myślą, że nie podoba im się jedno lub drugie, jakiś polityk, że może inaczej myślą o katastrofie smoleńskiej, ale później patrzą na swoje bezpośrednie otoczenie i widzą, że tutaj coś się zmieniło dla nich na lepsze.

Tomasz Borejza

eprasa.pl 514e77f55c

Krzysztof Pilawski

GDYBY NIE BYŁO REWOLUCJI

Rewolucja w Rosji okazała się niedocenianym obecnie sprzymierzeńcem sprawy polskiej

Czy świat bez rewolucji październikowej byłby lepszy? Z pewnością byłby inny, bo żadne wydarzenie nie zaważyło tak bardzo na dziejach ludzkości w XX stuleciu jak zdobycie władzy przez bolszewików w 1917 r.

Rewolucja październikowa nie była dziełem opłaconych przez niemiecki Sztab Generalny agentów, zapakowanych do zaplombowanego wagonu i przewiezionych do Piotrogrodu z zadaniem zniszczenia Rosji oraz jej siedmiomilionowej armii walczącej – w 1917 r. coraz częściej wiecującej – u boku ententy z państwami centralnymi. Lenin, podobnie jak szpica zawodowych bolszewików, był agentem światowej rewolucji proletariackiej. Był rewolucjonistą do szpiku kości, rewolucja stanowiła sens jego życia. Do zniszczenia Rosji nie musieli go namawiać niemieccy sponsorzy. Szczerze nienawidził panującego w niej porządku, drwił z wiary w świętą prawosławną Ruś, z przekonania o jej samoistności i rzekomym posłannictwie.

W 1887 r. na szubienicy zawisł jego starszy brat, 21-letni Aleksandr Uljanow, uczestnik nieudanego rosyjsko-polskiego zamachu na imperatora Aleksandra III. Bomby skonstruował Józef Łukaszewicz, w zdobyciu materiałów pomógł mu Bronisław Piłsudski, starszy brat Józefa, którego także oskarżono i skazano za udział w spisku. Kilka lat później Lenin odrzucił bliski bratu terror indywidualny narodników miotających bomby w carów, wynikający z ich przeświadczenia, że historię tworzą jednostki, wystarczy zatem zmieść ze sceny głównych aktorów, by zmienić bieg dziejów. Lenin uznał, że głównym aktorem historii są masy – jednak muszą być odpowiednio przygotowane do roli, świadome własnych interesów klasowych. Tej świadomości same nie są w stanie wypracować, to zadanie inteligencji, zawodowych rewolucjonistów nie tylko wnoszących świadomość do proletariatu, lecz także przygotowujących rewolucję i nią kierujących. Technologię rewolucji wyłożył w wydanej po raz pierwszy w 1902 r. w Stuttgarcie broszurze „Co robić?", obowiązkowej lekturze kolejnych pokoleń rewolucjonistów na całym świecie – także lewicowego skrzydła opozycji demokratycznej w Polsce Ludowej.

MANIFEST
DO LUDU POLSKIEGO.
Robotnicy, włościanie i żołnierze Polscy!
Niepodległej i Zjednoczonej Ludowej Rzeczypospolitej Polskiej.
Tymczasowy Rząd Ludowy Polski
Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej

Manifest na odzyskanie niepodległości w 1918 r. wydany przez Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej. Podpisali go m.in. Ignacy Daszyński, Jędrzej Moraczewski, Edward Rydz-Śmigły, Wincenty Witos.

POMYSŁ PRZYSZEDŁ Z ZACHODU

Prof. Bronisław Łagowski napisał 15 lat temu w PRZEGLĄDZIE: „W czasie rozpadania się komunizmu (…) Samuel Huntington wyraził zaniepokojenie, czy będzie można porozumieć się z nową Rosją. Panujący dotychczas marksizm był ideologią zachodnią – twierdził – i dobrze ją rozumieliśmy. Z prawosławnymi nacjonalistami porozumienie może być dużo trudniejsze". Choć na Zachodzie pisze się do dziś o rewolucji październikowej jako rewolucji rosyjskiej, w istocie była ona antyrosyjska – czerpała inspirację i siłę nie z historii Rosji, nie z myśli rosyjskiej, lecz z historii i myśli zachodnioeuropejskiej. O antyrosyjskim charakterze rewolucji październikowej jest przeświadczony Władimir Putin, który w styczniu 2016 r. oznajmił, że „rewolucja światowa nie była nam potrzebna", i zarzucił Leninowi zniszczenie historycznej Rosji. Stworzona niedawno z inspiracji Kremla teoria tzw. wielkiej rewolucji rosyjskiej celowo sprowadza przejęcie władzy przez bolszewików 7 listopada 1917 r. do epizodu nazwanego oficjalnie przewrotem październikowym.

Rewolucję w Rosji inspirowała zachodnioeuropejska praktyka i tradycja rewolucyjna. To na zachodzie kontynentu powstały pierwsze marksistowskie partie socjaldemokratyczne. Nawet działająca na terenie zaboru rosyjskiego Socjaldemokracja Królestwa Polskiego (późniejsza SDKPiL) – partia Róży Luksemburg, Leona Jogichesa, Juliana Marchlewskiego, Adolfa Warskiego, Jakuba Haneckiego i Feliksa Dzierżyńskiego – została utworzona pięć lat wcześniej niż Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza Rosji, która zjazdy organizowała nie w Rosji, lecz na Zachodzie – w czasie zjazdu w Londynie w 1903 r. doszło do rozłamu, z którego wyłonili się bolszewicy.

NAJSŁABSZE OGNIWO

Jako 19-latek Lenin przeczytał pierwszy tom „Kapitału" (po rosyjsku) i „Nędzę filozofii" (po fran-

eprasa.pl 514e77f55c

Lenin uznał, że głównym aktorem historii są masy, jednak muszą zostać odpowiednio przygotowane przez zawodowych rewolucjonistów.

cusku) Marksa. Marksizmu uczył się z tekstów emigranta politycznego Gieorgija Plechanowa, który w 1895 r. zaaranżował spotkanie początkującego rewolucyjnego socjaldemokraty z weteranem niemieckiej lewicy Wilhelmem Liebknechtem (ojcem Karla Liebknechta) i działaczem międzynarodowego ruchu robotniczego, zięciem Karola Marksa – Paulem Lafargiem. Przez większą część przedrewolucyjnej aktywności Lenin oddychał powietrzem Londynu, Paryża, Genewy i innych europejskich miejscowości, w tym Krakowa i Poronina. W Zurychu na jednym z domów wciąż wisi tablica: „Tutaj od 21 lutego 1916 do 2 kwietnia 1917 r. mieszkał Lenin – wódz rewolucji rosyjskiej". Znający niemiecki, francuski i angielski emigrant czytał europejską prasę i książki, przez lata brał udział w europejskiej debacie socjaldemokratów, namiętnie polemizując m.in. z Bernsteinem, Kautskim i Różą Luksemburg. W tym sporze wykuwał się i krzepł bolszewizm (leninizm) – radykalny, wręcz skrajny nurt marksizmu, który miał się stać teorią o zasięgu międzynarodowym.

Do tej pory wódz rewolucji znajduje się w pierwszej dziesiątce najczęściej tłumaczonych autorów świata na liście Index Translationum UNESCO, wyprzedzając m.in. wielkich rodaków: Dostojewskiego, Tołstoja i Czechowa. Lenin był też bohaterem ludowym, czego ślady można odnaleźć i dziś. W kwietniu br. prezydentem 16-milionowego Ekwadoru został kandydat lewicy Lenín Moreno; jego ojciec, który poświęcił się włączaniu rdzennych Indian do systemu edukacji publicznej, uczcił pamięć wodza rewolucji imieniem syna. Tak samo zrobił tata znanej meksykańskiej aktorki i modelki Ninel Conde. Jeśli przeczytamy jej imię wspak, wyjdzie Lenin. Bardzo wielu Rosjan – zgodnie z sondażami – sądzi, że Lenin kierował się interesami większości obywateli, wciąż utrzymuje się przewaga tych, którzy oceniają go dobrze. Pewnie z tego powodu Władimir Putin – mimo nacisków Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej – nie zdecydował się dotąd na wyniesienie jego ciała z mauzoleum i pochowanie na cmentarzu.

Lenin był rewolucjonistą do szpiku kości, rewolucja stanowiła sens jego życia.

Choć Lenin od początku działalności koncentrował się na przygotowaniu rewolucji w Rosji, był przekonany, że stanie się ona częścią rewolucji międzynarodowej, a ton jej nadadzą przemiany w najbardziej rozwiniętych państwach kapitalistycznych. Tę optykę zmieniła dopiero wielka wojna, nazwana potem I wojną światową, z niewyobrażalną wcześniej skalą działań militarnych, zniszczeń i ofiar – żołnierzy i ludności cywilnej. Pamiętając, że w czasie wojny niemiecko-pruskiej doszło do rewolucyjnego zrywu, który przeszedł do historii jako Komuna Paryska, a wojna rosyjsko-japońska sprowokowała rewolucyjną zawieruchę w Imperium Rosyjskim, Lenin ogłosił, że rewolucja proletariacka może się dokonać w jednym, nawet zacofanym kraju, będącym słabym ogniwem w łańcuchu państw imperialistycznych. Tym ogniwem miała być Rosja.

Rewolucja lutowa w Petersburgu zrzuciła z tronu panującą od 300 lat dynastię Romanowów, monarchię zastąpiła odwołująca się do demokracji republika. Jednak Rząd Tymczasowy szybko stracił popularność – m.in. dlatego, że wbrew coraz powszechniejszym nastrojom pacyfistycznym zdecydował się na dalszy udział w wojnie. Niemcy postanowiły wykorzystać agitujących za wycofaniem się z wojny bolszewików jako narzędzie osłabiania ententy. Lenin spełnił ich nadzieje. Po zorganizowanym przez Niemców przyjeździe do Piotrogrodu ogłosił swoje tezy kwietniowe. Już w pierwszej uznał wojnę za obcą proletariatowi, łupieżczą i imperialistyczną. Pierwszym aktem prawnym przyjętym po obaleniu Rządu Tymczasowego był Dekret o pokoju, który unieważniał wszystkie porozumienia wojskowe z państwami ententy. Lenin wezwał żołnierzy do prowadzenia rozmów z wrogami o wstrzymaniu ognia, wkrótce potem rozpoczęły się rokowania zakończone podpisaniem traktatu brzeskiego. Bolszewicy zrezygnowali m.in. z Królestwa Polskiego, Litwy, Łotwy, Estonii, Finlandii, Białorusi, Ukrainy i Krymu, jednak dzięki porozumieniu dziesiątki niemieckich dywizji zamiast na Moskwę i Piotrogród skierowano na front zachodni. Rewolucja została uratowana, a to było priorytetem Lenina.

PIŁSUDSKI RATOWAŁ REWOLUCJĘ

Zawarcie separatystycznego pokoju z Niemcami zmieniło układ sił

eprasa.pl 514e77f55c

w Europie. Wsparta przez USA ententa ostatecznie pokonała jednak państwa centralne. Paryż, który dotąd orientował się strategicznie na Petersburg, uznał Rosję bolszewicką za sojusznika państw pokonanych. Podobnie jak Niemcy Rosja została wykluczona z rokowań w Wersalu. Za to znalazło się tam miejsce dla Polski. Rewolucja w Rosji okazała się niedocenianym obecnie sprzymierzeńcem sprawy polskiej – gdyby jej nie było, trudno sądzić, by zgodzono się na odbudowę Polski kosztem sojuszniczej Rosji. Jako uczestnikowi zwycięskiej koalicji dano by jej prawo swobodnego wytyczenia zachodniej granicy, bo przecież takie prawo przyznano po II wojnie światowej ZSRR – państwu o zupełnie innym ustroju. Dzięki rewolucji w Rosji i jej następstwom rola odrodzonej Polski nagle wzrosła – nasz kraj stał się kluczowym elementem zaprojektowanego przez premiera Georges'a Clemenceau tzw. kordonu sanitarnego, który miał odgrodzić ogarniętą rewolucją Rosję i osłabiać wpływy Niemiec.

Podejmowane przez Francję, Wielką Brytanię, USA, Kanadę, Włochy i Japonię próby wojskowej interwencji w Rosji, pomocy białym generałom, zakończyły się niepowodzeniem. Przyczynił się do tego m.in. Józef Piłsudski, który oparł się naciskom Paryża i Londynu, by udzielić wsparcia armii gen. Denikina. Zdawał sobie sprawę, że jeśli biali pokonają bolszewików, Rosja stanie się ponownie sojusznikiem mocarstw zachodnich. Choć Anton Denikin we wspomnieniach twierdził, że bolszewicy utrzymali władzę dzięki postawie Piłsudskiego, ważniejszym czynnikiem był ograniczony charakter interwencji, jej skromny wymiar wojskowy. Mógł on wynikać z powojennej radykalizacji społeczeństw i obawy, że wysłani do Rosji żołnierze mający serdecznie dość działań wojennych złożą broń lub wręcz przejdą na stronę bolszewików.

RUSZYĆ Z POSAD BRYŁĘ ŚWIATA

Taki rozwój wydarzeń w tamtym czasie nie wyglądał na fantastyczny. Rewolucja październikowa posługiwała się hasłami i symbolami bliskimi i zrozumiałymi dla dużej części mieszkańców Europy. Jej flaga państwowa – czerwony sztandar – została przejęta z tradycji Komuny Paryskiej, podobnie jak hymn, „Międzynarodówka" z muzyką skomponowaną w 1888 r. przez Pierre'a Degeytera. Dopiero w czasie II wojny światowej pojawił się hymn ze stwierdzeniem, że Związek Radziecki „połączyła na wieki wielka Ruś".

Bolszewicy nie mieli symboli narodowych – skrzyżowane sierp i młot odwoływały się do klasowego sojuszu robotniczo-chłopskiego, a pięcioramienna czerwona gwiazda zwiastowała zwycięstwo komunizmu na pięciu kontynentach. Tę symbolikę przejął utworzony 30 grudnia 1922 r. Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich. Pojęcie radziecki odnosiło się nie do nazwy geograficznej, lecz do formy sprawowania władzy wyrażonej w haśle rewolucji październikowej „Cała władza w ręce rad!". Rosja była tylko jedną z republik radzieckich. Herb ZSRR – kula ziemska – wskazywał, że będzie to państwo ogólnoświatowe, globalny związek takich republik. Podkreślało to także umieszczone na herbie

Rewolucję w Rosji inspirowała zachodnioeuropejska praktyka i tradycja rewolucyjna.

Wietnam, w którym Amerykanie krwawo powstrzymywali komunizm, obchodzi 100. rocznicę rewolucji. Nz. plakat w Hanoi.

eprasa.pl 514e77f55c

Graffiti upamiętniające Lenina na ulicy w Wenezueli.

motto pochodzące z „Manifestu komunistycznego" Marksa i Engelsa: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!". ZSRR miał być ojczyzną nie jakiegoś narodu, lecz światowego proletariatu. W 1925 r. Rosyjska Partia Komunistyczna (bolszewików) usunęła z nazwy przymiotnik rosyjska i stała się Wszechzwiązkową Komunistyczną Partią (bolszewików).

Do tej pory wódz rewolucji jest w pierwszej dziesiątce najczęściej tłumaczonych autorów świata.

Odwołująca się do ponadnarodowych symboli rewolucja była rewolucją międzynarodową. Także polską. Wśród tysięcy polskich uczestników wydarzeń rewolucyjnych był Władysław Strzemiński, bohater „Powidoków" Andrzeja Wajdy. Bez jego kontaktów z rewolucyjną awangardą, doświadczenia wyniesionego m.in. ze Swomas – Pierwszych Państwowych Wolnych Pracowni w Moskwie – zapewne nie powstałoby łódzkie muzeum sztuki nowoczesnej.

Prof. Andrzej Werblan przypomniał niedawno w tygodniku „Nie": „W biurze politycznym partii bolszewików powołanym 12 grudnia 1917 r. w składzie Lenin, Swierdłow, Stalin, Trocki był tylko jeden etniczny Rosjanin. W 14-osobowym komitecie wybranym w marcu 1918 r. było sześciu etnicznych Rosjan". Nie realizowali oni jednak – jak twierdzi prof. Werblan – „rosyjskiej polityki centralistycznej", byli nie wielkorosyjskimi szowinistami, lecz przekonanymi o swojej dziejowej misji emisariuszami światowej rewolucji. Ich narzędziem stała się przemoc, której początek dała I wojna światowa, a która przybrała jeszcze bardziej barbarzyńskie formy w czasie wojny domowej. Terror stosowały wszystkie strony konfliktu, jednak przyświecały im różne cele. O odbudowanie wielkiej i niepodzielnej Rosji walczyli biali, a nie twórca Czeki Feliks Dzierżyński, który za sprzeciw wobec takiej Rosji spędził 11 lat w więzieniu, na zesłaniu i katordze – z moskiewskich Butyrek uwolniła go rewolucja lutowa.

Rewolucyjna Rosja – największe państwo na kuli ziemskiej, dysponujące najbogatszymi zasobami surowców – znalazła się poza systemem kapitalistycznym, rzuciła mu wyzwanie, wskazując, że inny świat, bez własności prywatnej, jest możliwy nie tylko na kartach ksiąg utopijnych socjalistów („Utopia" Thomasa More'a liczy sobie 500 lat). Dokładnie 100 lat po sformułowaniu przez utopijnego socjalistę Roberta Owena zasady „osiem godzin pracy, osiem godzin odpoczynku, osiem godzin snu" w bolszewickiej Rosji został wprowadzony ośmiogodzinny dzień pracy. To rozwiązanie szybko przeniesiono do innych państw chcących zatrzymać ekspansję komunizmu. Socjaliści, którzy przejęli odpowiedzialność za odradzające się państwo polskie, przeforsowali reformy społeczne. 7 listopada 1918 r. Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej Ignacego Daszyńskiego w manifeście „Do ludu polskiego" zapowiedział utworzenie Polskiej Republiki Ludowej, wywłaszczenie wielkiej i średniej własności ziemskiej oraz upaństwowienie znacznej części przemysłu. Józef Piłsudski jako naczelnik państwa podpisał dekrety rządu socjalisty Jędrzeja Moraczewskiego o ośmiogodzinnym dniu pracy (23 listopada 1918 r.), o obowiązkowym ubezpieczeniu na czas choroby (11 stycznia 1919 r.), o powołaniu Państwowej Inspekcji Pracy (3 stycznia 1919 r.) i o pracowniczych związkach zawodowych (8 lutego 1919 r.). W czasie bezpośredniego zagrożenia dla państwa polskiego, 15 lipca 1920 r., Sejm przyjął ustawę o wykonaniu reformy rolnej, która miała zachęcać chłopów do walki z czerwonogwardzistami.

WIELKI EKSPERYMENT

Zatrzymani pod Warszawą bolszewicy stracili nadzieję na przeniesienie

Plakat wystawy poświęconej rewolucji październikowej pt. „Rosyjska rewolucja – nadzieja, tragedia, mity" w British Library w Londynie.

eprasa.pl 514e77f55c

Krążownik „Aurora" 100 lat później. Petersburg, październik 2017 r.

płomienia rewolucji do Niemiec i całej Europy, dzięki czemu Rosja mogłaby liczyć na braterską pomoc w odbudowie i modernizacji. Władze zniszczonego, wykrwawionego wojnami i konfliktami wewnętrznymi, bardziej feudalnego niż kapitalistycznego kraju dokonały szybkiego skoku w nowoczesność, sięgając po najbardziej radykalne metody, m.in. masowy terror i niewolniczą pracę. Mimo to realizowana przez państwo radzieckie polityka industrializacji znalazła naśladowców w wielu krajach kapitalistycznych. Dr Adam Leszczyński, historyk gospodarki z Polskiej Akademii Nauk, w wywiadzie dla konserwatywnego portalu Jagielloński24.pl w lutym ub.r. tłumaczył: „Dzisiaj mało się już o tym mówi, jeszcze mniej się o tym pamięta, ale w latach 30. mieliśmy do czynienia ze szczerym podziwem świata Zachodu dla sowieckiego eksperymentu ekonomicznego, który zakładał całkowitą rezygnację z modelu rynkowego. Tempo wzrostu rosyjskiej gospodarki oraz brak bezrobocia wynikający z polityki pełnego zatrudnienia robiły wielkie wrażenie w państwach kapitalistycznych. I to pomimo świadomości opinii publicznej o przemocy oraz biedzie, jaka wiązała się z tym eksperymentem gospodarczym. Zakładano jednak, że w najbliższym czasie te mankamenty zostaną przezwyciężone: przemoc zniknie, a po okresie »zaciskania pasa« nakłady na konsumpcję wzrosną". W wierszu Władysława Broniewskiego „Magnitogorsk albo rozmowa z Janem" siedzący w warszawskiej celi niemłody, schorowany komunista jest przejęty nie swoim losem, lecz tym, że „w Magnitogorsku dziś ruszają dwa wielkie piece". Wpływ na decyzję o budowie Centralnego Okręgu Przemysłowego miały m.in. informacje o wielkich inwestycjach państwowych w ZSRR. „Sztafeta" Melchiora Wańkowicza – książkowy reportaż o powstawaniu COP – przypomina socrealistyczne produkcyjniaki. Powojenna socjalistyczna Polska – podobnie jak inne zacofane kraje – przejęła radziecki model rozwoju: elektryfikację, industrializację, urbanizację, upowszechnienie bezpłatnej publicznej opieki nad dzieckiem, oświaty i służby zdrowia, dostępnej kultury i wypoczynku.

Połowę ofiar II wojny światowej stanowili obywatele ZSRR. Dzięki decydującemu wkładowi w rozgromienie III Rzeszy Związek Radziecki stał się światowym supermocarstwem. Przesunął granicę swoich wpływów w Europie znad Świsłoczy nad Łabę. Układ sił w Azji zmieniły komunistyczne Chiny, a na kontynencie amerykańskim mnóstwo rewolucyjnego zamętu narobiła maleńka Kuba. Idolem światowego ruchu rewolucyjnego stał się Che Guevara.

Ekspansja socjalizmu, autorytet Związku Radzieckiego opromienionego chwałą zwycięstwa nad Hitlerem, rosnące wpływy tego państwa w świecie i spektakularne sukcesy – wystrzelenie pierwszego sztucznego satelity Ziemi, lot Jurija Gagarina, stworzenie potężnego arsenału nuklearnego – sprawiły, że komunizm zaczęto traktować także na Zachodzie jako poważną alternatywę dla kapitalizmu. Starano się go powstrzymywać różnymi metodami – groźbę przejęcia władzy przez komunistów w Indonezji usunięto, zabijając maczetami około pół miliona osób w latach 1965-1966. To ludobójstwo ukazał amerykański reżyser Joshua Oppenheimer w filmach dokumentalnych „Scena zbrodni" i „Scena ciszy". Zdjęcie *napalm girl* – biegnącej nagiej dziewięciolatki, która zdjęła palące się od napalmu ubranie, zbrodnia na ludności cywilnej w Mỹ Lai oraz bombardujące wioski superfortece B-52 stały się symbolami powstrzymywania przez Amerykanów komunizmu w Wietnamie. Waszyngton patronował puczowi gen. Augusta Pinocheta, w czasie którego zabito demokratycznie wybranego prezydenta Chile Salvadora Allende.

Areną zmagań dwóch systemów stały się kolonie. Przed wybuchem II wojny światowej kolonie państw europejskich wielokrotnie przekraczały powierzchnię Starego Kontynentu. Niewielka Belgia panowała nad Kongiem zajmującym przeszło 2 mln km kw. Przed Parlamentem Europejskim w Brukseli stoi pomnik króla Belgów Leopolda II, który odpowiada za śmierć kilku, a może nawet 10 mln mieszkańców tej kolonii – opis kolonialnego Konga zawarł Joseph Conrad w „Jądrze ciemności". W bliższej nam epoce, w 1961 r., z inspiracji Belgów został uwięziony Patrice Lumumba, kongijski działacz niepodległościowy. Torturowano go i wreszcie zamordowano. Jego ciało oprawcy poćwiartowali i rozpuścili w kwasie. Lumumba został patronem moskiewskiego uniwersytetu kształcącego elity nowych państw postkolonialnych. Studenci z krajów wybijających się na niepodległość kształcili się w wielu państwach socjalistycznych, w tym w Polsce.

Polska stała się kluczowym elementem tzw. kordonu sanitarnego, który miał odgrodzić ogarniętą rewolucją Rosję i osłabiać wpływy Niemiec.

TO NIE KONIEC MARZEŃ

„Od 1928 r. do 1970 r. Związek Radziecki był jednym z najszybciej rozwijających się państw na świecie. Większość ówczesnych zachodnich ekspertów uważała, że pod względem bogactwa ZSRR prześcignie

FOT. WIKIMEDIA, MAREK SKORUPSKI/FORUM, VENEZUELANALYSIS.COM, BRITISH LIBRARY, AFP/EAST NEWS, GREGORIJ LEPKACHOW

eprasa.pl 514e77f55c

wkrótce USA", napisał Aleksander Piński w „Uważam Rze", przypominając poglądy laureata Nagrody Nobla z ekonomii Paula Samuelsona: „W podręczniku »Ekonomia« (jeden z najpopularniejszych podręczników ekonomicznych w historii – sprzedał się w 4 mln egzemplarzy i przetłumaczono go na 41 języków) z 1961 r. Samuelson przewidywał, że ZSRR może prześcignąć USA pod względem PKB na obywatela między 1984 r. a 1997 r. W wydaniu z 1980 r. daty przesunięto na lata 2002-2012 r.".

Najwyższym wyrazem uznania komunizmu przez Zachód była teoria konwergencji – upodabniania się dwóch systemów poprzez przejmowanie od siebie pewnych elementów. Po 1956 r. państwa socjalistyczne „uspokoiły" rewolucję, odchodząc stopniowo od totalitaryzmu, rozszerzając zakres indywidualnej wolności, zezwalając na zaspokajanie aspiracji typowo mieszczańskich – ubieranie się w modną odzież, urządzanie mieszkania, kupno samochodu, weekendowy wypoczynek w domku letniskowym, kontakt z zachodnią muzyką, literaturą i filmem. Z kolei państwa zachodnie zadbały po wojnie o poprawę warunków pracy i życia pracowników najemnych, głównego adresata oferty radykalnej lewicy. Równocześnie podniosły podatek dochodowy dla najbogatszych.

W końcu lat 60. coraz wyraźniej wyczerpywały się rezerwy ekstensywnego wzrostu na Wschodzie, a bogate państwa Zachodu wrzuciły kolejny bieg, pokazując, jak wielkie rezerwy wciąż tkwią w kapitalizmie. Komunizm w wydaniu radzieckim okazał się niezdolny do dalszej rywalizacji z Zachodem – musiał albo gruntownie się zmienić, albo zrezygnować z pokojowego współistnienia, a w polityce wewnętrznej powrócić do praktyk totalitarnych. Michaił Gorbaczow oparł się naciskom kompleksu wojskowo-zbrojeniowego i KGB, które chciały polityki ostrej konfrontacji i zawrócenia z drogi demokratyzacji kraju. Z drugiej strony jednak nie potrafił znaleźć sposobu wyjścia z kryzysu. Dokonana na początku pierestrojki próba tzw. powrotu do źródeł (ćwiczono ją w Polsce Ludowej w latach 1980-1981) nie powiodła się, bo źródła dawno wyschły, a nowych nie odkryto. W grudniu 1991 r. zdjęto powiewającą nad Kremlem czerwoną flagę.

Lenin uznał wojnę za obcą proletariatowi, łupieżczą i imperialistyczną.

Gdy tylko zaczął słabnąć socjalizm, na Zachodzie pojawił się neoliberalizm z niewidzialną ręką mającego rzekomo zawsze rację rynku oraz żądaniem wycofania się państwa z aktywnej polityki gospodarczej i społecznej. Próżnię po socjalizmie i radykalnej lewicy społecznej próbuje obecnie wypełnić populistyczna prawica.

Rewolucja październikowa jest rozdziałem zamkniętym, podobnie jak zrodzony w jej konsekwencji system socjalistyczny. Mimo to zasługuje na wnikliwe i wszechstronne badanie, bo temat budowy bezklasowego, sprawiedliwego i wolnego społeczeństwa nigdy nie przestanie zaprzątać ludzkich głów.

Krzysztof Pilawski

eprasa.pl 514e77f55c

Koczownicy z dworca Zoo

Po zabójstwie 60-letniej Niemki w Tiergarten berlińskie władze chcą deportować bezdomnych Polaków

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

Elisa zakrywa dłonią twarz. – Proszę nie robić zdjęć! – krzyczy. Bezdomna Niemka jest rozmowna, choć do medialnej popularności zachowuje dystans. Elisa ma 57 lat i pochodzi z kolońskiej dzielnicy Auweiler. Najpierw straciła pracę, potem męża. Do Berlina przyjechała dwa lata temu. Wcześniej przez rok wędrowała po kraju. – W małych miastach nie ma szans na przeżycie. Tutaj jest doskonała infrastruktura dla bezdomnych. Poza tym do niedawna straż miejska nie zapuszczała się zbyt często w te rejony – uważa.

Przy dworcu Zoo bezdomni koczują od kilkudziesięciu lat.

INNY ŚWIAT

Elisa siedzi wśród równo poustawianych siatek, walizek i wózków. Lubi mieć spokój i wszystko przy sobie. Cierpliwie czeka na ciepły obiad, który zaraz będzie rozdawany przy przystanku Zoologischer Garten, uchodzącym za centrum bezdomnych w Niemczech. Działa tu tzw. misja dworcowa (*Bahnhofsmission*), która oprócz wydawania posiłków służy bezdomnym także darmową pomocą medyczną.

Namiot Elisy stoi w głębi stołecznego Tiergarten, w miejscu niewidocznym dla policyjnych patroli, których liczba ostatnio się zwiększyła. Taką decyzję podjęła na początku października stołeczna Izba Deputowanych (parlament i miasta, i kraju związkowego – przyp. red.), po tym jak 5 września zamordowano niedaleko dworca 60-letnią Susanne Fontaine. Ciało niemieckiej historyczki sztuki zostało znalezione nieopodal namiotów rozbitych na nasypie kolejowym przy berlińskim zoo. W tym miejscu koczują ludzie, którzy wypadli z życiowych torów. W 1978 r., po ukazaniu się poruszającej książki „My, dzieci z dworca Zoo", cały świat dowiedział się, że właśnie tu kręcą się bezdomni, uzależnieni, handlarze narkotyków i drobni przestępcy. W ostatnich 40 latach problem ten występował w różnym natężeniu, pogłębił się z napływem imigrantów.

Na pierwszy rzut oka ten „inny świat" nie wygląda przerażająco. Przy pastelowych namiotach nie widać butelek po alkoholu ani strzykawek. Dwaj biwakujący młodzi mężczyźni gotują kawę i nienaganną niemczyzną uprzejmie mnie proszą, abym przestał robić zdjęcia. Wśród czekających na gulasz węgierski przed dworcową misją Caritas jest wiele osób, którym powinęła się noga, ale też sporo włóczęgów i podróżników, którzy przed chwilą wysiedli z pociągu, podążając swoją tropą, jak pisał Mariusz Wilk. Wypełnione starą odzieżą i śmieciami wózki na zakupy co prawda zdradzają, że tutejsi koczownicy nie są zwykłymi turystami, jednak zdecydowanie nie wygladają na zdegenerowanych przestępców. W każdym razie w jasny dzień Tiergarten nie traci uroku. Jedynie znicze i kwiaty w miejscu, w którym zamordowano Susanne Fontaine, każą uśmiechniętym spacerowiczom spojrzeć uważniej.

ZIELONY TRUMP

Inne oblicze Tiergarten objawia nocą. Kiedy zapada zmierzch, zielona dzielnica ambasad jest jak wymarła. Właściciele dłużej otwartych kawiarni opowiadają o kłótliwych i pijanych bezdomnych. I o dotkliwie pobitych działaczach społecznych, którzy próbowali załagodzić konflikt. Są jednak i tacy, którzy twierdzą, że władze przesadzają i sieją panikę, a większość bezdomnych po prostu chce mieć święty spokój.

Po północy na łąkach przy lokalu Schleusenkrug, w którym przebywała do późnej pory Fontaine, tu i ówdzie błyskają w ciemności światła latarek, przemykają jakieś postacie. Z krzaków dobiegają wielojęzyczne szepty. Słychać niemiecki, arabski, angielski i... polski. Tak, bezdomni w śródmieściu to również polski problem.

– Sytuacja przy zoo wymknęła się spod kontroli, park został zdominowany przez bezdomnych z Europy

FOT. WOJCIECH OSIŃSKI

eprasa.pl 514e77f55c

Wschodniej, którzy zakłócają spokój spacerowiczom. Berlińczycy nie czują się bezpiecznie – oświadczył Stephan von Dassel, burmistrz dzielnicy Mitte, w wywiadzie dla dziennika „Berliner Morgenpost". Zdaniem polityka Zielonych obecnie przy stacji Zoo przebywa ok. 60 bezdomnych, głównie z Polski. Widocznie fakt, że sprawcą zabójstwa we wrześniu był czekający na azyl 18-letni Czeczen, który potem zbiegł do naszego kraju, wystarczył, by wrzucić wszystkich koczujących do jednego wschodnioeuropejskiego worka. – Deportacja bezdomnych do Polski nie powinna już być tematem tabu – ciągnął von Dassel, który za sprawą rządów silnej ręki zyskał przydomek zielonego Trumpa. Kiedy się okazało, że młody zabójca jest formalnie obywatelem Rosji, a Polaków – czyli obywateli kraju Unii – tak szybko wydalić nie sposób, burmistrz zmienił nieco ton. – Jeśli ktoś myśli, że zamierzam bez zapowiedzi wypędzić bezdomnych z parku, to się myli. Moi polskojęzyczni pracownicy nieustannie proponują pomoc, lecz oni reagują agresywnie. Wysiłki mojego zespołu już nie wystarczają, bo liczba bezdomnych w Tiergarten w ostatnich ośmiu latach się podwoiła. Uważam, że wydalenie tych osób do krajów ich pochodzenia jest humanitarne, bo tam przynajmniej wszyscy mówią w ich języku – twierdził Stephan von Dassel w połowie października.

Burmistrz śródmieścia, na terenie którego leży Tiergarten, nie jest pierwszym samorządowcem, który chce zrobić porządek z bezdomnymi. O deportacji już wcześniej mówili politycy Izby Deputowanych Berlina. Tylko w 2016 r. policja interweniowała 80 razy, przeganiając bezdomnych, rozbijanie namiotów w parkach jest bowiem wykroczeniem. Policyjny nakaz opuszczenia danego miejsca obowiązuje jednak tylko przez dobę, później namioty znów się pojawiają. Po wrześniowych wydarzeniach na deptaku przy zoo jest ich jednak coraz mniej. Wielu bezdomnych przeniosło się w inne miejsca parku Tiergarten, rozpościerającego się na obszarze 200 ha. Namioty pojawiły się na mniej widocznych, porośniętych krzakami polanach. – Ci bezdomni nie chcą zakłócać wolności przechodniów, ale nie chcą też zrezygnować ze swojej. Dlatego czasem reagują agresywnie – tłumaczy Andreas Abel, pracownik społeczny z ośrodka Gangway e.V.

Pracownicy ratusza Tiergarten szacują, że bezdomnych może być ok. 8 tys. Połowa pochodzi z Polski.

AGRESYWNI, ALE SOLIDARNI

Śródmiejscy urzednicy szacują, że na ich terenie bezdomnych może być ok. 8 tys., przy czym – jak utrzymuje von Dassel – połowa pochodzi znad Wisły.

Pozbawionych sensu życia rodaków możemy spotkać także w innych miejscach Berlina – przy dworcu głównym, na Alexanderplatz czy na Warschauer Strasse. W rozmowach zawsze pojawia się podobny motyw, mający usprawiedliwić ich sytuację: „Przyjechałem do pracy i się nie udało. Oszczędności przepiłem, a potem wstydziłem się wrócić do domu".

Bezdomni zwykle kojarzą się z osobami mało zadbanymi, zapitymi, bez wykształcenia i perspektyw. Takiemu obrazowi przeczy 22-letnia Mariola. Przyjechała z Zielonej Góry do Berlina w poszukiwaniu pracy i załapała się na legalny minijob w hotelu. Jednak 450 euro nie wystarcza na czynsz i utrzymanie. Wobec tego Beata rozbiła namiot w parku i oszczędza. Na co dzień korzysta z łazienki w misji dworcowej. Stroni od alkoholu i kontaktów z rodakami.

Na spokojnym Hansaplatz na Bartningallee (gdzie mieszkał niegdyś Witold Gombrowicz) można prawie codziennie spotkać Urszulę z Bydgoszczy. Jej dziecko zginęło w wypadku, kobieta wpadła w nałóg, aby stłumić poczucie winy. Straciła dach nad głową, ale w towarzystwie innych bezdomnych Polaków odnalazła nadzieję. – To moja rodzina – twierdzi. W parku spotykam też polskich biznesmenów, którzy szybko się dorobili, lecz jeszcze szybciej wszystko stracili. – Do bezdomności można się przyzwyczaić w ciągu kilku tygodni. Na pomoc z zewnątrz bezdomni reagują konfrontacyjnie, ale wobec swoich są niezwykle solidarni. Nową osobę bez problemu przygarną. A jeśli w obcym kraju spotkają rodaka, ta więź staje się jeszcze silniejsza – wyjaśnia Abel.

Przy torach kolejowych na Bahnhof Zoo rozmawiam z 28-letnim Andrzejem, homoseksualistą z Poznania. W swoim mieście ustawicznie go za to wyszydzano, rodzina się odwróciła, Polak uciekł w alkohol. – Szukałem schronienia, w Berlinie nie muszę się wstydzić swojej orientacji – przyznaje Andrzej.

Niedaleko zoo koczują od lat Tomasz i Krzysztof, obaj po pięćdzie-

Namioty przy torach kolejowych na Bahnhof Zoo.

eprasa.pl 514e77f55c

siątce. – W Krakowie bezdomnych jest dużo, to i konkurencja większa. Tutaj mamy więcej miejsca, nie depczemy sobie po piętach. A też ludzie szybciej wspomogą grosikiem – śmieje się Tomasz. Był kiedyś nauczycielem w Andrychowie. Wszystko się posypało, gdy zaczął brać narkotyki. Stracił pracę i żonę, wkrótce także mieszkanie. Wyjechał do Niemiec, pragnął zacząć życie od nowa. Nie wyszło. Dzisiaj pije tylko piwo, ale nie jest w stanie narzucić sobie dawnego rygoru. Obok namiotu obu Polaków jest wbity krzyż, a przed nim świeczka i mały bukiet zwiędłych kwiatów. – To dla Marka – mówi Krzysztof. Marek zmarł kilka tygodni temu. Zasnął i już się nie obudził. – Jeszcze wieczorem opowiadał nam kawały. Zwykła balanga jak co dzień – wspomina Tomasz.

Przy stacji Bahnhof Zoo przebywa obecnie ok. 60 bezdomnych, głównie Polaków.

NIEMIŁE URZĘDY

Jako obywatele UE Polacy mają w RFN prawo ubiegać się o pomoc społeczną, nawet jeśli tu nie pracowali. – Wszyscy mieszkańcy Unii są w Niemczech równouprawnieni, mogą więc pobierać świadczenia i mieć dach nad głową – wyjaśnia René Richter z berlińskiej spółdzielni Gesobau. Według niego zagubieni Polacy i Rumuni nie składają wniosków w urzędach, bo cały proceder uważają za zbyt mozolny lub nie mają wystarczających informacji na ten temat. – Do urzędu bezdomni często wybierają się sami i stwierdzają, że pracujące tam osoby nie są przychylne. W rezultacie szybko się zniechęcają – dodaje Richter, który pomaga Polakom w sprawach urzędowych.

Berlińczyków skorych do pomocy jest wielu. Misją dworcową przy przystanku Bahnhof Zoo zarządza 60-letni Dieter Puhl. Pomaga bezdomnym już od 25 lat. Za swoją działalność otrzymał w tym roku Federalny Krzyż Zasługi. – W Berlinie przebywają bezdomni z 80 państw, choć głównie z Polski i Rosji. Ale to, co czytam o nich ostatnio w gazetach, to nieprawda. Nie wszyscy są bezrobotni i agresywni, a policyjne nakazy przyjmują z pokorą – zapewnia Puhl.

Dotąd władze Berlina przekazywały instytucjom wspierającym bezdomnych ok. 4 mln euro rocznie. W 2018 r. ta suma ma wzrosnąć do 6 mln. Puhl żąda jednak 24 mln, czyli cztery razy tyle. – Musimy rozbudować sieć sanitariatów i schronisk, ale przede wszystkim pomoc psychoterapeutyczną. Ci ludzie są w większości chorzy psychicznie – tłumaczy. W Berlinie jest obecnie ok. 200 łóżek dla osób niemających gdzie się schronić zimą. Szef misji dworcowej domaga się 2 tys. miejsc, i to przez cały rok.

– Te żądania są nierealistyczne i nierozsądne. Tak duża liczba miejsc w schroniskach mogłaby być zachętą dla kolejnej fali bezdomnych z zagranicy – uważa z kolei von Dassel. Te słowa sprowokowały ostrą reakcję organizacji humanitarnych. – Bezdomni nie przyjeżdżają do Berlina z powodu smacznej zupy w misji dworcowej. Oni chcą pracować, uczestniczyć w tutejszym życiu – przekonuje Puhl.

O wiele większym kłopotem niż domniemana bierność koczowników z dworca Zoo jest problem prostytucji młodzieży z Bliskiego Wschodu. Niepełnoletni uchodźcy z Afganistanu prostytuują się w Tiergarten, aby zdobyć środki na narkotyki. A gdy nie mają co jeść, na zardzewiałych grillach lądują uduszone łabędzie z pobliskiego Landwehrkanal. – Te dzieci nie mają za co się utrzymać, a ponieważ przebywają tu nielegalnie, odrzucają wszelką pomoc. Niekiedy dają się wykorzystać za pięć euro – martwi się Andreas Abel. – Chłopcy czekają na klientów i potem zmykają z nimi za drzewo, pozostawiając tam po sobie obrzydliwe ślady. A kilka metrów dalej znajduje się plac zabaw.

Oprócz nakazów opuszczenia centralnych terenów, wzmożonych patroli w parku Tiergarten i ustalenia tożsamości koczujących tam bezdomnych władze stolicy nie przygotowały jeszcze żadnej strategii rozwiązania problemu. Tomasz i Krzysztof w ogóle nie wiedzieli, że w pobliżu ich „pola kempingowego" dzieją się podobne rzeczy. – Naprawdę? – pyta Tomek, który próbuje wyskubać tytoń z uzbieranych petów. I przytomnie dorzuca: – No cóż, wszyscy tu jesteśmy w jakimś stopniu uchodźcami.

Wojciech Osiński

Projekt ustawy o szkolnictwie wyższym autorstwa wicepremiera Jarosława Gowina spotkał się z nadspodziewanie dobrym przyjęciem w środowisku akademickim, któremu w dawniejszych czasach trudno było dogodzić. Gdy byłem profesorem i pełniłem jakieś urzędy uniwersyteckie, nasze życzenia i oczekiwania streszczały się w jednym haśle: więcej autonomii. Pod „groźnym" reżimem gen. Jaruzelskiego robiliśmy, cośmy chcieli, a najbardziej chcieliśmy przebywać za granicą, i nawet ja, zakuty i pryncypialny domator, półtora roku spędziłem za granicą na koszt krajów NATO, a moja żona co najmniej cztery lata. Słowo autonomia obejmowało wiele różnych rzeczy i gdy ministerstwo prosiło o jakieś sprawozdania, rektor Pelczar, matematyk, szybko liczył, ile to może uniwersytet kosztować, i gdy wypadało za dużo, to odmawiał. Gdy kończyłem karierę formalnie w warunkach rozpasanego liberalizmu, który nosił imię własne „Kudrycka", uczelnia już skwapliwie spełniała najbardziej bzdurne życzenia ministerstwa, których było co niemiara, i nikomu do głowy już nie przychodziło pytanie: ile to kosztuje, ani nawet sama myśl, że to może kosztować. Uwieńczeniem wieloletniej walki o autonomię stał się system oceniania przydatności pracownika naukowego według ilości zdobytych punktów i rozbudowana do nieprawdopodobnych rozmiarów biurokracja. Nie chcę się natrząsać z owej „punktozy", wystarczy powiedzieć, że za publikacje po angielsku otrzymuje się 10 razy więcej punktów niż za publikacje po polsku. Ten niemal przymus pisania po angielsku przełamuje odwieczną tabelę rang, będącą prawdziwą konstytucją polskich uniwersytetów, bo o ile rzetelny profesor w ciągu roku za publikacje po polsku może otrzymać, dajmy na to, 6 punktów, to jego obrotny doktorant, zakolegowany z takimi jak on sam w Ameryce lub Anglii, może przynieść uniwersytetowi 300 punktów. Opowiadano mi o jednym takim przypadku, który z pewnością należy do rzadkości, ale dobrze odsłania lo-

Naukowcom mniej się płaci niż tym, którzy badają ich życiorysy.

eprasa.pl 514e77f55c

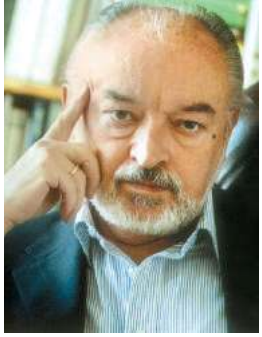

Bez uprzedzeń

Bronisław Łagowski

NOBEL ZA LUSTRACJĘ

gikę systemu. Celem tego systemu jest podsuwanie przed oczy Anglikom i Amerykanom polskich produktów naukowych, bo na pewno nie chodzi o rozwój polskiej nauki. Ktoś sobie wyobraża, że Anglicy, którzy zrobili brexit m.in. po to, żeby mieć mniej do czynienia z Polakami, rzucą się do czytania polskich artykułów pisanych po angielsku. To zupełnie oczywiste, że publikowanie treści z zakresu nauk ścisłych po angielsku jest najbardziej owocne pod względem międzynarodowej komunikatywności, ale postępowanie w naukach humanistycznych i społecznych w myśl zasady, że angielszczyzna jest językiem uniwersalnym, jak łacina w średniowieczu, oznacza wyłączanie uniwersytetów z kultury narodowej.

Nie dowierzam rankingom, które informują, że żadna polska wyższa uczelnia nie wyprzedza uniwersytetu mającego siedzibę w stolicy Ugandy Kampali. Więcej mówi mi nieustająca emigracja polskich naukowców za granicę i nie tylko na Zachód, bo i w Trzecim Świecie zdarza się, że znajdują lepsze warunki do pracy naukowej niż w Polsce. Niskie nakłady na naukę wszystkiego nie wyjaśniają. One też mają przyczynę, a jest nią niskie miejsce badań naukowych w polskiej hierarchii wartości. Patrioci mają powód do wstydu: nawet słowniki języka polskiego były układane przez uczonych obcego pochodzenia. Dziś mają patrioci dobrą w swoim mniemaniu wymówkę: atmosfera jest wojenna, trzeba nam się zbroić, a z wojną nie wygra żadna wartość.

Jaką hierarchię wartości ma reformator szkolnictwa wyższego i nauki, wicepremier i minister nauki Jarosław Gowin? Wprowadził on do swojej konstytucji dla nauki przymus lustracji. Kto między lipcem 1944 r. a lipcem roku 1990 pracował dla polskich organów bezpieczeństwa państwa, nie może zostać profesorem ani członkiem organu oceniającego poziom kształcenia na uczelniach. Gowin chwali się, że to jego osobisty wkład w ustawę, żeby kto nie pomyślał, że uległ żądaniu Prezesa. Tak oto we właściwym sobie stylu uzasadnia tę innowację: „Uczelnie to wspólnoty ludzi, którzy poświęcają się poszukiwaniu prawdy. Jeżeli tak jest, to wszyscy musimy stawić czoła prawdzie (…), chcielibyśmy, żeby wszyscy, którzy przykładają rękę do formowania elit, mogli z otwartą przyłbicą zmierzyć się z prawdą. Także prawdą o polskiej przeszłości i uwikłanych polskich losach" („Gazeta Wyborcza", Kraków, 20 września 2017). Świętoszek Moliera nie powiedziałby tego lepiej. Badania naukowe są tu postawione na jednym poziomie z przetrząsaniem kartotek pozostałych po służbach specjalnych PRL.

To zrównanie jest pozorne, w rzeczywistości naukowcom mniej się płaci niż tym, którzy badają ich życiorysy.

Amerykańskie uniwersytety z otwartymi ramionami przyjęły naukowców wykształconych w Moskwie, uczestniczących w radzieckich programach zbrojeniowych i z tego powodu powiązanych z GRU i innymi radzieckimi służbami specjalnymi. Jeśli to był problem, to dla FBI, nigdy dla uniwersytetów. Zaraz po wojnie Amerykanie bez skrupułów, a nawet z wielką i spełnioną nadzieją, przyjęli, a raczej zagarnęli niemieckich uczonych pracujących nad bombą atomową dla Hitlera, która miała uderzyć w miasta amerykańskie, a twórca rakiety V2, członek partii hitlerowskiej von Braun, stał się światowym celebrytą. Również Moskwa postępowała w ten sposób, lecz jej zdobycze były skromniejsze. Społeczeństwa na ogół mają to, co cenią, a czego nie cenią, tego nie mają.

KSIĄŻKI PROF. ŁAGOWSKIEGO

48 zł

47 zł

Kłamstwa zwane polityką historyczną

Książki można kupić, wpłacając odpowiednią kwotę na konto wydawcy PRZEGLĄDU: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, oraz podając dokładny adres (z numerem kodu), pod który ma trafić przesyłka polecona, lub przez sklep internetowy: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl.

Więcej informacji:
tel.: (22) 635 84 10 wew. 111,
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 514e77f55c

Życie z kalifatem w CV

Wyparci z Iraku i Syrii europejscy bojownicy opuszczają ISIS i wracają na kontynent

Mateusz Mazzini

Słowo weteran nie wydaje się w tym kontekście adekwatne. W końcu ludzie ci walczyli w szeregach organizacji, która elementy prawdziwej państwowości miała tylko w nazwie. W praktyce to niezwykle potężna organizacja terrorystyczna, odpowiedzialna za brutalną śmierć tysięcy cywilów i wywołanie jednego z największych współczesnych kryzysów uchodźczych. Niemniej jednak wielu z ponad 5 tys. zidentyfikowanych Europejczyków, którzy gotowi byli zginąć dla kalifatu, przez lata zachowało paszporty swoich krajów i prawa związane z posiadanym obywatelstwem.

Teraz, kiedy Mosul i Rakka, strategicznie najważniejsze twierdze islamistów na Bliskim Wschodzie, zostały odbite przez siły koalicji, a terytorium kontrolowane przez Państwo Islamskie radykalnie się skurczyło, synowie marnotrawni Starego Kontynentu zaczynają wracać do domu. Część zapewne jeszcze w drodze powrotnej zostanie przechwycona przez krajowe i europejskie służby wywiadowcze, ale będą też tacy, którym uda się spokojnie dołączyć do macierzystych społeczeństw.

TO JESZCZE NIE FALA

W sumie przez oddziały ISIS w ciągu ostatnich pięciu lat przetoczyło się ok. 40 tys. ochotników niepochodzących z terenów Bliskiego Wschodu (zgodnie z obliczeniami amerykańskiego centrum analitycznego The Soufan Center). Badaczom i służbom bezpieczeństwa udało się zidentyfikować narodowość niemal połowy z nich. Według ostrożnych szacunków pochodzili oni z ponad 90 krajów, choć „New York Times" podawał liczbę 120 państw. Oddziały kalifatu zasilało najwięcej ochotników z Rosji – doliczono się niemal 3,5 tys. terrorystów z tego kraju, spośród których prawie pół tysiąca wróciło już do ojczyzny. Kolejne miejsca w tym niechlubnym rankingu zajęły Francja (ok. 2 tys. ochotników w szeregach ISIS), Turcja (1,5 tys.), Wielka Brytania i Niemcy (nieco mniej niż 1 tys.) oraz Belgia (prawie 500 osób). Pomniejsze grupy narodowe tworzyli również Szwedzi, Duńczycy, Holendrzy, Albańczycy i Bośniacy. Znane są pojedyncze przypadki walczących w oddziałach Państwa Islamskiego Polaków, jednak według dostępnych dokumentów krajowych służb wywiadowczych i raportów organizacji pozarządowych żaden z nich nie zdecydował się na powrót do ojczyzny.

Ci, którzy wyruszyli w drogę powrotną, stanowią dla Europy niemały problem. Jak zauważa Peter Neumann, dyrektor centrum studiów nad radykalizacją na londyńskim King's College, nie można mówić o fali powrotów islamistów. Ale liczba radykałów walczących w szeregach kalifatu sprawia, że tej kwestii nie można zignorować. Neumann podkreśla, że nawet w obliczu upadku twierdz ISIS w Syrii i Iraku nie nastąpią masowe powroty. Europejscy islamiści będą wracać raczej powoli, pojedynczo, rzadko w grupach, aby nie ułatwiać kontynentalnym służbom ich identyfikacji.

Richard Barrett, ekspert wspomnianego Soufan Center i specjalista w dziedzinie terroryzmu na Bliskim Wschodzie, dodaje, że wielu byłych bojowników będzie próbowało wmieszać się w tłum uchodźców przebywających w obozach w Libanie, Turcji czy na południu Europy. Powszechne w tych miejscach posiadanie fałszywych dokumentów i chaos organizacyjny sprzyjają zachowaniu anonimowości. I choć europejscy dżihadyści, zwłaszcza ci, którzy utrzymywali kontakt z rodziną na kontynencie lub funkcjonowali jako łącznicy z zachodnioeuropejskimi komórkami ISIS, są cały czas dość dobrze monitorowani przez służby wywiadowcze, niemożliwe wydaje się zidentyfikowanie każdego z nich.

PRZYCZAJENI I ROZCZAROWANI

Co zatem zrobić z tymi, którym udało się wrócić? Pytanie jest ważne, bo to niemała grupa. Oficjalne dane mówią o przeszło 450 Brytyjczykach, 300 Niemcach, prawie takiej samej liczbie Francuzów i ponad 100 Belgach już obecnych na terytorium swoich krajów. Eksperci przestrzegają jednak przed traktowaniem ich jako jednorodnej grupy. Nie wszyscy bowiem wracają z tych samych powodów. Oczywiście wielu nadal wierzy w ideały ISIS i traktuje powrót jako przegrupowanie taktyczne przed kolejną ofensywą, ale są tacy, którzy osłabienie ISIS wykorzystali do uwolnienia się ze szponów organizacji, która ich rozczarowała.

Oddziały kalifatu zasilało najwięcej ochotników z Rosji, Francji i Turcji.

Kalifat niejednego przyciągał wizją „państwa bez zasad". Zabijanie bez konsekwencji, możliwość szybkiego i łatwego zarobku, luźna struktura, a przede wszystkim szansa walki z wrogiem, którego nienawidzą nie tylko islamiści. Wojna przeciwko „cywilizacji Zachodu" to termin bardzo pojemny, który mógł skusić ideologicznych radykałów, niejednokrotnie niemających (przynajmniej początkowo) wiele wspólnego z islamem. Można powiedzieć, że oddziały Państwa Islamskiego, tak jak prawie wszystkie pozapaństwowe struktury militarne w dziejach, miały w szeregach zarówno oddanych sprawie szaleńców, jak i zwykłych najemników.

Niezależnie od początkowych motywacji powracający do Europy

eprasa.pl 514e77f55c

islamiści stanowią teraz ogromne zagrożenie. Richard Barrett nie ma wątpliwości, że spora część nie porzuci ISIS, a jedynie zmieni charakter działalności. Jego zdaniem dla przywódców kalifatu to właśnie europejscy byli bojownicy mogą się okazać najważniejszym narzędziem utrzymywania Państwa Islamskiego przy życiu. W obliczu ogromnych strat terytorialnych na Bliskim Wschodzie, na razie nie do końca udanej ofensywy na Filipinach i wyschnięcia ważnych źródeł rekrutacyjnych w Afganistanie i Pakistanie właśnie europejskie komórki mogą być używane do przypominania światu, że ISIS wciąż istnieje i jest groźne. Peter Neumann dodaje, że utraciwszy sporo ze swojej siły w bezpośrednich starciach, kalifat może się skoncentrować na działaniach propagandowych i pojedynczych aktach terroru w Europie. Niekoniecznie muszą one być tak drastyczne jak chociażby zamach w czasie majowego koncertu Ariany Grande w Manchesterze, w wyniku którego zginęły 22 osoby. Niektórzy eksperci spekulują, że nowym celem ISIS w Europie może wcale nie być zabijanie na masową skalę, chodzić będzie raczej o działania propagandowe, takie jak radykalizacja nastrojów wobec uchodźców czy długofalowa destabilizacja sceny politycznej.

CEL: MUNDIAL

Jednak kłopoty Brytyjczyków czy Niemców z islamistami wracającymi do kraju mogą się okazać niczym w porównaniu z wyzwaniem, przed którym lada moment staną służby Federacji Rosyjskiej. Za kilka miesięcy, w czerwcu 2018 r., Rosja będzie areną piłkarskich mistrzostw świata, drugiej po letnich igrzyskach olimpijskich najczęściej odwiedzanej i oglądanej imprezy sportowej. Jednocześnie to do Rosji wróciło już najwięcej, bo przeszło 400 zidentyfikowanych żołnierzy kalifatu, a prawie drugie tyle ma się znajdować na terenach sąsiednich byłych republik. ISIS zresztą nie ukrywa, że mundial będzie celem ataków. W sieci wielokrotnie już umieszczano grafiki i przerobione komputerowo zdjęcia zakrwawionych czy torturowanych Leo Messiego, Cristiana Ronalda czy innych piłkarzy, którzy dla Państwa Islamskiego są ambasadorami zachodniej zgnilizny moralnej. Niedawno strach padł również na reprezentację Francji, której trener, Didier Deschamps, został wprost nazwany przez ISIS wrogiem islamu, co w propagandowej mowie ekstremistów tłumaczy się jako wyrok śmierci. Groźby pod adresem świata piłkarskiego nie są oczywiście niczym nowym. W czasie zamachów w Paryżu w listopadzie 2015 r. jeden z zamachowców zdetonował ładunek wybuchowy przed bramami Stade de France w czasie meczu Francja-Niemcy, wcześniej niemiecka drużyna została ewakuowana z hotelu z powodu innego alarmu bombowego. Nietrudno zatem wyobrazić sobie skalę wyzwania, przed jakim staną rosyjskie służby bezpieczeństwa, gdy w tak rozległym kraju odbywać się będą dwa, a czasem trzy mecze jednocześnie.

Spora część wracających nie porzuci ISIS, a jedynie zmieni charakter działalności.

Rekruterzy Państwa Islamskiego.

Wróćmy jednak do tych, którzy kalifatem się rozczarowali. Brytyjskie media donoszą, że tamtejszy wywiad obrał wobec nich strategię cichej inwigilacji, nie będą jednak ścigani za działalność terrorystyczną. Ta swoista amnestia będzie dotyczyć przede wszystkim nastolatków oraz osób, które zdecydowały się same zgłosić do władz z propozycją przekazania posiadanych informacji w zamian za niepostawienie ich w stan oskarżenia. Choć kryteria tej amnestii nie są do końca jasne ani znane, dość mocno już podzieliły brytyjską opinię publiczną. Nawet bardziej liberalna część społeczeństwa zadaje pytania, czy rozczarowani ISIS powinni otrzymywać jakiekolwiek wsparcie ze strony państwa, np. w postaci mieszkań socjalnych czy pomocy psychologicznej. Z kolei specjaliści i naukowcy powątpiewają w sukces ich ponownej socjalizacji. Zdaniem wielu ci, którzy raz się zradykalizowali, do końca życia mogą pozostać podatni na wpływy organizacji szerzących przemoc.

Wygląda na to, że ISIS jeszcze długo pozostanie stałym elementem europejskiego krajobrazu strategicznego, nawet jeśli upadną wszystkie jego twierdze. ■

FOT. YOUTUBE.COM

eprasa.pl 514e77f55c

Muzeum Guggenheima sprawiło, że Bilbao stało się światowym centrum sztuki współczesnej.

BASKIJSKI TYGRYS GOSPODARCZY

Tomasz Skowronek
Korespondencja z Hiszpanii

Sukces Kraju Basków udowadnia, że inna ekonomia jest możliwa

Po hiszpańsku País Vasco, a po baskijsku Euskadi. Kraj Basków. Ta piękna, górzysta kraina granicząca z Francją kojarzy się z separatyzmem, terroryzmem i bojownikami ETA. I choć skojarzenia te nie są bezpodstawne, warto też pamiętać, że to jeden z najbogatszych i najbardziej rozwiniętych regionów nie tylko w Hiszpanii, lecz w całej Europie. PKB na głowę mieszkańca wynosi tu ponad 40 tys. dol., podczas gdy w Hiszpanii ok. 26 tys. dol. Niższe jest bezrobocie (odpowiednio 11% i 17%) i zadłużenie (Kraj Basków – 14% PKB, cała Hiszpania aż 99%). Gdyby Baskowie mieli swoje państwo, zajęliby ósme miejsce wśród krajów o najwyższym poziomie życia, wyprzedzając m.in. Belgię, Francję, Japonię, Hiszpanię, Włochy czy Wielką Brytanię.

Udało im się przetrzymać lata wewnętrznego terroru, globalizacji i wymagań członkostwa politycznego, zarówno w państwie hiszpańskim, jak i w Unii Europejskiej. Stworzyli u siebie nowoczesną i w dużej mierze rodzinną gospodarkę.

EKOLOGIA RÓWNA SIĘ EKONOMIA

Po ciężkich latach, jakich Baskowie doświadczyli w czasie dyktatury Franco, gdy ich kultura była dławiona, oraz po fali terroru organizacji ETA, w 1980 r. podpisano umowę gospodarczą między regionem a rządem centralnym w Madrycie. Odnowiono ją i poprawiono w roku 2002. Baskowie uzyskali autonomię fiskalną, dzięki czemu ich podatki zostawały na miejscu. Postawili nie na budownictwo, lecz na przemysł, i podczas gdy w wielu miejscach Hiszpanii straszą niedokończone budowy, w Kraju Basków przemysł wytwarza ok. 26% PKB. To wskaźnik podobny do niemieckiego, co oznacza, że region jest jednym z najbardziej uprzemysłowionych w całej Unii Europejskiej. „Felipe González, wzorem polityki Thatcher, zdecydował się na najbardziej neoliberalny system gospodarczy w naszym kraju i pozwolił, aby większość przemysłu upadła (obecnie prawie nie ma przemysłu motoryzacyjnego). W Kraju Basków dawne piece szybowe, huty i przedsiębiorstwa z tamtego okresu zostały przekształcone w zaawansowaną infrastrukturę przemysłową, która obejmuje przemysł motoryzacyjny i aeronautykę, a także nowe energie", pisał swego czasu na hiszpańskim portalu internetowym The Corner Fernando Barciela, dziennikarz specjalizujący się w tematyce gospodarczej.

Pomimo niewielkiej liczby ludności (2,2 mln) region jest siedzibą gigantów przemysłowych, takich jak Iberdrola (przedsiębiorstwo produkujące energię elektryczną, zatrudnia ponad 27 tys. pracowników w 12 krajach na czterech kontynentach), Gamesa, Sidenor, Tubos Reunidos, Tubacex, Aernnova Aerospace, Arcelor, CIE Automotive, Irizar, Gestamp, Sener, ITP Aeronautica i wiele innych. Wymienione firmy to baskijskie koncerny o zasięgu międzynarodowym.

Tutejszy rząd stawia także na ekologię. Stolica Baskonii, Vitoria, w 2012 r. otrzymała tytuł Europejskiej Zielonej Stolicy. W ciągu ostatniej dekady sprowadziły się tutaj wielkie koncerny, m.in. Mercedes-Benz, Heineken czy Michelin, żeby udowodnić, że im również zależy na środowisku. W tym wypadku ekologia równa się ekonomia i inwestycje zagraniczne.

OD WIELKICH KLASTRÓW PO MAŁE SPÓŁDZIELNIE

Nigdzie w Hiszpanii nie wspiera się tak szczodrze badań i szeroko rozumianych innowacji jak w Kraju Basków. Na ten cel przeznacza się 2,12% PKB (dla porównania w Hiszpanii 1,24%, w Polsce – zaledwie 1%, a średnia unijna wynosi 2,06%). W każdej baskijskiej prowincji znajduje się park technologiczny, w którym jednostki naukowe dzielą się wiedzą i technologią z przedsiębiorcami. Przykładowo przedsięwzięcie IK4-Tek-

eprasa.pl 514e77f55c

niker obejmuje dziewięć prywatnych centrów *non profit* i 1,3 tys. pracowników, zajmujących się rozwojem technologii, które pomagają baskijskim firmom stawać się bardziej konkurencyjnymi.

Tak nowoczesna i innowacyjna gospodarka potrzebuje rzeszy specjalistów i wykształconych pracowników. Władze zadbały i o to – region ma trzy ważne uniwersytety. Największy, Uniwersytet Kraju Basków, jest finansowany ze środków publicznych. Główny kampus uczelni znajduje się w Bilbao, oprócz tego istnieją kampusy w Vitorii-Gasteiz oraz w San Sebastián. Uniwersytet jest znany m.in. z kursów w euskarze, czyli w języku baskijskim. Następne dwa to Universidad de Deusto oraz Uniwersytet Mondragon mający m.in. wydział inżynierii czy wydział nauk gastronomicznych.

– Nasze społeczeństwo jest dobrze wykształcone: 42% osób w wieku 30-34 lata ma kwalifikacje uniwersyteckie, a 1,3% ludności czynnej zawodowo to naukowcy, podczas gdy średnia w Europie wynosi 0,7% – przekonuje Miguel Ángel Lujua, przewodniczący Baskijskiej Konfederacji Biznesu.

Po innowacyjne technologie najczęściej sięgają klastry skupiające przedsiębiorstwa z tego samego lub pokrewnych sektorów. Mają one własne centra badawczo-rozwojowe i zawarte porozumienia z prywatnymi instytucjami oraz uniwersytetami. Niekwestionowany sukces klastry odniosły w przemyśle motoryzacyjnym. – W 1993 r. mieliśmy 40 tys. pracowników w tym sektorze, teraz mamy prawie 80 tys. Połowa z nich znajduje się poza Hiszpanią – mówi Inés Anitua, dyrektor zarządzająca w ACICAE (Automotive Cluster of the Basque Country), stowarzyszeniu biznesowym zajmującym się przemysłem samochodowym. Wiele klastrów skupia się na produkcji m.in. wysokiej jakości sprzętu AGD i obrabiarek. Działają też w przemyśle elektronicznym i technologii informacyjnej oraz lotniczym. Właśnie tutejsze klastry we współpracy z brytyjskim Rolls-Royce'em opracowały moduły do wszystkich silników turbowentylatorowych samolotów Airbusa i boeingów. Baskijskie firmy są również zaangażowane w inne komercyjne i wojskowe programy, w tym silniki Eurojet EJ200 i Europrop TP400 dla samolotów bojowych Eurofighter Typhoon i Airbusa Military A400M.

Baskowie stawiają jednak także na małe i średnie przedsiębiorstwa, tzw. *pymes* (*pequena y mediana empresa*), zatrudniające do 49 osób, a nawet na spółdzielczość, co jest ewenementem. W País Vasco z powodzeniem działa ponad 1 tys. spółdzielni.

To tutaj w latach 50. młody ksiądz José María Arizmendiarrieta utworzył Fundację Mondragon, która jest federacją spółdzielni. Dzisiaj to największa spółdzielnia na świecie, zatrudnia ok. 80 tys. osób, wytwarzając 12% PKB regionu. Spółdzielnia ma przedsiębiorstwa w 125 krajach na całym świecie. Model spółdzielni Mondragon ma swoje zasady. Na przykład dyrektor nie może zarobić więcej niż sześć najniższych wynagrodzeń w spółdzielni. 10% zysków przeznacza się na nowe inwestycje, w tym na badania i rozwój. Imponująca jest też różnorodność działalności firm powiązanych ze spółdzielnią. Działają w przemyśle, handlu, rolnictwie, budownictwie, usługach i wsparciu technicznym. Spółdzielnia ma własne centra szkoleniowe, własny bank, a nawet wewnętrzny system

Baskijska ekonomia łączy tradycję i nowoczesność, stawia na wsparcie małych przedsiębiorstw, ekologię, spółdzielnie i innowacyjność.

Baskowie w kontekście ostatnich wydarzeń w Katalonii uważają, że należy rozmawiać, by znaleźć wyjście z najtrudniejszej sytuacji. Nz. pikieta w Vitorii-Gasteiz.

FOT. AFP/EAST NEWS, AP/EAST NEWS

eprasa.pl 514e77f55c

emerytalny. Pracownicy wnoszą 6,5% wynagrodzenia do funduszu opiekuńczego, obejmującego emerytury i inne nieprzewidziane wydatki.

Gdy w 2008 r. do regionu dotarł światowy kryzys finansowy, największa firma zajmująca się urządzeniami elektrycznymi, AGD Fagor Electrodomésticos, znalazła się w tarapatach. W kryzysie ludzie rzadziej kupują lodówki czy pralki. Fagor jednak postanowił nie zwalniać zatrudnionych. Najpierw pracownicy spółdzielcy przegłosowali obniżkę pensji o 20% dla wszystkich, od dyrektorów po robotników. Następnie kilkadziesiąt osób przeniesiono tymczasowo do pracy w innych fabrykach. Solidarność okazali też pracownicy innych firm, przekazując 1% pensji na fundusz ratunkowy dla Fagoru. Gdyby Fagor był zwykłą firmą, ludzie najpewniej wylądowaliby na bruku. W spółdzielni ten problem rozwiązano inaczej.

DLA DUCHA BILBAO, DLA CIAŁA SAN SEBASTIÁN

Wizytówką nowoczesności, innowacyjności regionu jest Bilbao. W 1994 r., gdy austriacki Salzburg odrzucił możliwość zorganizowania nowego Muzeum Guggenheima, władze miejskie Bilbao, stolicy gospodarczej Kraju Basków, skorzystały z okazji i sfinansowały cały projekt. Dziś miasto jest siedzibą atrakcyjnego Muzeum Guggenheima, zaprojektowanego przez światowej sławy architekta Franka Gehry'ego. Muzeum, którego budowa kosztowała 80 mln dol., otworzyło podwoje w 1997 r. Cały koszt tego przedsięwzięcia zwrócił się już w roku 2000. Każdego roku muzeum gości ponad milion turystów.

Stało się ono poza tym katalizatorem wielu innych projektów. Poddano rewitalizacji podupadającą dzielnicę przemysłową, zadbano o zabytki starego miasta, usprawniono system transportu miejskiego (dwie linie metra) i system oczyszczania, powstały parki technologiczne. Ta niepozorna miejscowość zamieniła się w światowe centrum sztuki współczesnej. Odtąd zaczęła tętnić życiem. Wiele miast próbowało powtórzyć ten sukces, np. Abu Zabi. Dziś geografowie ekonomiczni mówią o „efekcie Guggenheima" bądź „efekcie Bilbao".

Dla amatorów dobrej kuchni magnesem jest z kolei San Sebastián, nazywane też perłą oceanu. To nadmorskie miasto ma najwięcej gwiazdek Michelina na jednego mieszkańca, a Baskijskie Centrum Kulinarne jest wiodącym uniwersytetem gastronomicznym przyciągającym kucharzy z całego świata.

Baskijski model gospodarczy może być inspiracją zwłaszcza dla tych, którzy są rozczarowani globalizacją i dzikim kapitalizmem. Tutejsza ekonomia łączy tradycję i nowoczesność, stawia na wsparcie małych przedsiębiorstw, ekologię, spółdzielnie i innowacyjność. Kraj Basków potrafił sobie poradzić ze światowym kryzysem, stając się „zieloną wyspą" na terenie Hiszpanii. Owszem, bezrobocie było i tu, ale o połowę niższe niż w innych jej częściach.

Bernie Sanders w czasie kampanii wyborczej w USA stawiał za wzór socjaldemokratyczną Danię. Zwolennicy niepodległej Szkocji chcieliby się stać drugą Norwegią. Donald Tusk w Polsce chciał zbudować drugą Irlandię. Tymczasem wzorem może być ten mały, autonomiczny region Hiszpanii.

Tomasz Skowronek

eprasa.pl 514e77f55c

Z Galicji

Jan Widacki

SZATAN I ZGNIŁY ZACHÓD

PiS ma kolejne dowody na to, że kultura zachodnia (czytaj: Unii Europejskiej) karleje, a karlejąc, przeradza się w tyranię. Krótko mówiąc, Zachód gnije. Na to gnicie Zachodu zwracała uwagę, jak widać nieskutecznie, propaganda komunistyczna. Ludzie jednak jej nie wierzyli i przy każdej okazji jeśli nie wiali na ten gnijący Zachód, to przynajmniej chcieli tam na jakiś czas pojechać. Argumentów przeciw Zachodowi (tak naprawdę przeciw UE) dostarczyła afera z pomnikiem Jana Pawła II w prowincjonalnym francuskim miasteczku. Otóż kompetentne władze sądowe prawomocnie uznały, że krzyż nad pomnikiem, stojącym w przestrzeni publicznej, ma zostać usunięty jako niezgodny z prawem francuskim, strzegącym rygorystycznie rozdziału Kościoła od państwa.

Wiadomość o tym rozbudziła nad Wisłą ogromne emocje. Paskudnym żabojadom (w dodatku jadającym żaby widelcem *made in Poland*) nie podoba się krzyż! I to krzyż nad św. Janem Pawłem II, polskim papieżem! Zatrzęsły się z oburzenia narodowo-katolickie media, oburzyli politycy, zabrała głos sama pani premier. Przy tej okazji zacytowała, ewidentnie jej nie rozumiejąc, wypowiedź Jana Pawła II, że „demokracja bez wartości przeradza się w tyranię". Z tego jazgotu wyłaniają się dwie kwestie. Pierwsza – my, Polacy, musimy ratować krzyż we Francji (szczególnie nad Janem Pawłem II). I druga – mamy oto jasne przesłanie: Unia Europejska zwalcza krzyż, odcina się od chrześcijańskich korzeni, degraduje moralnie i nas w to wciąga. Tu powstaje pewien trudny do wytłumaczenia paradoks. Jak to jest, że wielki św. Jan Paweł II tego wszystkiego nie widział, skoro nie tylko przed tą Unią nas nie przestrzegał, ale jeszcze zachęcał do wstąpienia do niej?

Z tą Unią to się jeszcze zobaczy. Na razie, jak się ją dobrze ludziom obrzydzi, jak się nią dobrze ich postraszy, to i jej zalecenia lekceważyć będzie łatwiej. A nawet wyjść z niej bez społecznego oporu będzie można w razie czego. Teraz trzeba ratować ten konkretny krzyż nad Janem Pawłem II. Militarnie tego nie rozwiążemy. Miasteczko ze spornym krzyżem gdzieś w Bretanii, blisko Atlantyku, minister wojny, choć niewątpliwy geniusz, bez marynarki wojennej nie poradzi. A jej stan fatalny. Jedne okręty przeciekają, drugie przeciwnie – płoną. Nie da rady. Pozostaje ofensywa polityczna. Pani premier strzela we Francję niezrozumiałymi dla niej (pani premier, nie Francji) cytatami z Jana Pawła, dyszy oburzeniem, chce odkupić od Francuzów pomnik. Nie wiem, czy z całą Bretanią, by tam wprowadzić polskie prawo, na krzyż w miejscu publicznym pozwalające.

Przeciętny Polak, nawet jeśli nie jest zwolennikiem PiS ani pani premier, też daje się ponieść emocjom. O co tym Francuzom chodzi? Co im przeszkadza krzyż, choćby w miejscu jak najbardziej publicznym? Co tam mają za prawo, że umieszczania krzyża w miejscu publicznym zabrania?

Spróbujmy spokojnie rozważyć, co naprawdę się stało. Otóż to niezrozumiałe dla nas prawo, zabraniające stawiania symboli religijnych w miejscach publicznych, nie jest wynalazkiem ostatnich lat, dowodem psucia cywilizacji zachodniej i walki z chrześcijaństwem. To prawo z roku 1905! Rygorystycznie oddziela Kościół od państwa, zapewniając temu drugiemu świeckość. Jak na nasz polski gust zbyt pod tym względem restrykcyjne, nie bardzo dla nas zrozumiałe. Ale to prawo francuskie, nie nasze. Gdyby Francuzi uznali je za zbyt restrykcyjne i nie pojmowali jego sensu, mieli ponad 100 lat, by je zmienić. Nie zrobili tego, widać, im odpowiada. Co nam do tego? Na mocy tego właśnie prawa zabronione jest we Francji noszenie muzułmańskich chust i burek w szkołach publicznych. W Polsce takiego prawa nikt by nie uchwalił, bo i tradycję mamy inną, i inną wrażliwość w sprawach światopoglądowych. Swoją drogą, jeśli Kościół w Polsce nie zmieni postępowania i nadal będzie mieszał się do polityki, domagał uznawania każdego grzechu za ścigane przez państwo przestępstwo, wspierał nacjonalizm i antychrześcijańską ksenofobię, nie do pogodzenia z miłością bliźniego, jedynie przyśpieszy laicyzację i uchwalenie ustaw co najmniej równie restrykcyjnych jak francuskie.

Czego więc domagamy się od Francji? Aby zmieniła obowiązujące od ponad 100 lat prawo? Czy może tego, by zlekceważyła prawomocny wyrok? Po prostu po raz kolejny wygłupiamy się.

Tak na marginesie: użyty przez panią premier cytat mówi o tym, że demokracja to nie tylko rządy większości – to takie rządy większości, które szanują prawa człowieka, w tym prawa mniejszości. Te słowa papieża Polaka powinny być szczególnie przemyślane w PiS, bo pasują jak ulał do opacznego pojmowania przez PiS demokracji.

Okazuje się, że szatan, który już zatruł cywilizację zachodnią, atakuje Polskę ze wszystkich stron. Nie dość, że ugodził w naszą dumę we Francji, to wdziera się do Polski bezpośrednio! W ostatnich dniach poprzez Halloween. Rzeczywiście, halloweenowe zwyczaje dotarły tu stosunkowo niedawno z Ameryki. To w naszej obrzędowości nowość. Halloween w Ameryce jest bardzo popularne, a dekoracje, nie tylko w postaci wydrążonej dyni, ale i otwartych trumienek z kościotrupami, dla nas są nieco szokujące. Nie ma jednak nakazu naśladowania. Sam zwyczaj? Co w nim szatańskiego? Oswaja ze śmiercią, od której tak bardzo chcemy się odsunąć, zostawiając ją szpitalom i szpitalnym kostnicom.

Jakiś młody człowiek przekonuje na Facebooku, że zamiast szatańsko-amerykańskiego Halloween mamy odwieczny obrzęd dziadów. *Apage satanas*! Młody człowieku, dziady to obrzęd pogański, oswojony przez prawosławną cerkiew, w dodatku białoruski!

Na razie nikt nie musi drążyć dyni na Halloween, wysyłać serduszka na walentynki ani stawiać na święta choinki (obcy zwyczaj, przyszła ona na ziemie polskie w XIX w. z Niemiec!). Nieszczęście będzie dopiero, gdy ktoś tego zakaże albo nakaże. Gdyby tak się stało, będzie to sygnał, że szatan zagościł u nas na dobre.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 514e77f55c

Rozmawia Tomasz Miłkowski

ODMAWIAM UCZESTNICTWA W HEJCIE

Dziś, niestety, trzeba być w kontrze albo bezkrytycznie popierać. A najlepiej nienawidzić

Widziała pani w internecie filmik, który przedstawia tort w kształcie Polski? Z offu dobiega głos Olgierda Łukaszewicza cytującego wyzwiska miotane przez polityków różnych opcji. Tymczasem tort gnije i na koniec się rozpada.

– Nie, nie widziałam.

Nie zagląda pani do internetu?

– Coraz rzadziej. Właściwie nie oglądam również telewizji, wystarczą mi książki. Mam wrażenie, że niewiele mogę zmienić wokół siebie. Nie uważam, że każdy musi publicznie wygłaszać swoje przekonania polityczne. Chciałabym, żeby ludzie się szanowali, a ilość wylewającego się zewsząd hejtu jest czasem nie do zniesienia.

Tak łatwiej żyć? Uprawiać swój ogródek jak Kandyd?

– Człowiek powinien mówić to, co myśli, i mieć swobodę wypowiedzi, ale nikogo nie może obrażać dlatego, że ma odmienne zdanie. A do czegoś takiego doszło. Po którejkolwiek stronie politycznego sporu byśmy byli, pojawia się coraz większa zajadłość, która wyklucza rozmowę.

Od polityki nie można uciec.

– Oczywiście, że można, tylko to trudne.

Bo i tak dopada, czego najlepszym przykładem jest to, co się stało w pani byłym teatrze, czyli Teatrze Polskim we Wrocławiu: kontestowana przez większość zespołu i publiczność nominacja Cezarego Morawskiego na dyrektora teatru, a w rezultacie rozpad zespołu. Jak pani to przyjęła?

– Przez kilkanaście lat byłam częścią zespołu, który budował pozycję tego teatru. To jest bardzo długi proces. Teatr Polski stał się marką rozpoznawalną nie tylko w Polsce, ale i na świecie, był zapraszany na najlepsze międzynarodowe festiwale. A na sukces teatru trzeba zapracować. Wtedy będą przychodzili ludzie, którzy chcą oglądać spektakle, i to nie dlatego, by demonstrować poparcie dla kogoś, ale żeby uczestniczyć w wydarzeniu artystycznym. A zepsuć tę pracę, tak jak się stało we wrocławskim Teatrze Polskim, można jednym posunięciem. Władze miasta, nowy dyrektor i niestety osoby, które w tym teatrze pracowały, ale chyba nie miały poczucia uczestnictwa w jego artystycznym sukcesie, teraz chcą zmienić w nim wszystko, paląc po drodze mosty. To są działania destrukcyjne. Mam wrażenie, że ten teatr nie odrodzi się na takim poziomie artystycznym, jaki wcześniej osiągnął, choć bardzo chciałabym się mylić. Mam wrażenie, że widzom też nie jest to obojętne.

Wraz z upływem lat coraz częściej jestem dla kogoś odkryciem.

A to był jeden z głównych zarzutów wobec dyrekcji, która podobno nie uwzględniała potrzeb widzów.

– Widzowie są różni, to był teatr niezależny w sposobie myślenia – tak jak Wrocław jest niezależnym miastem. Jestem przekonana, że nie było intencją tego teatru nikogo obrażać, chciał wywoływać dyskusję. A dyskusja nie powinna być niczym ograniczana, żadną cenzurą. Wtedy nie mieliśmy problemów z frekwencją, dziś widownia świeci pustkami, czyli potrzeby widzów też nie są uwzględniane.

Ma pani na myśli nagość na scenie?

– Jeżeli ktoś ma problem z nagością w teatrze, to znaczy, że ma problem ze sobą. Nagość nie powinna być obrazoburcza dla nikogo. Jeśli komuś nie podobają się jakieś spektakle, to albo nie przychodzi na nie, albo idzie do innego teatru na inną sztukę. Wywieranie nacisku na artystę pod hasłem, że to są publiczne pieniądze i społeczeństwo za to płaci, mnie nie przekonuje. Bo ja również jestem jego częścią i oprócz tego, że płacę abonament i podatki, rozumiem, że ktoś może ze mną się nie zgadzać, ale ja też mam prawo się z kimś nie zgadzać.

To normalne.

– To właśnie jest normalne i nie powinno wpływać na politykę teatru. Każdy teatr ma politykę, którą rozumiem jako pomysł na jego artystyczną drogę. Jacek Weksler, Paweł Miśkiewicz czy Krzysztof Mieszkowski, którzy prowadzili Teatr Polski, też mieli

CÓRKI DANCINGU

eprasa.pl 514e77f55c

KINGA PREIS

– aktorka

swoją politykę. I pewnie każdy z nich miał swoje ambicje i upodobania. Ale wierzę, że to była bardziej polityka kultury, a nie polityka państwa.

Ale pani, niczego nie wypominając, z tego teatru uciekła, zanim nastąpiło w nim teatralne trzęsienie ziemi.

– Odeszłam z tego teatru pięć lat temu, a więc zanim w ogóle cokolwiek zaczęło się zmieniać. Wiele osób w tym moim odejściu dopatruje się manifestu artystycznego. Nie. Odeszłam dlatego, że nie byłam w stanie połączyć pracy zawodowej poza teatrem, głównie w Warszawie, z pracą we Wrocławiu. I tyle. Ileś lat udawało mi się to godzić, potem było coraz trudniej. A nie czułam się gwiazdą, która uważa, że powinno się podporządkowywać repertuar teatru mojemu prywatnemu terminarzowi.

Przeniosła się pani z Wrocławia do stolicy?

– Nie, cały czas mieszkam we Wrocławiu. Z wyboru. Wrocław ma inne tempo życia. Mam teraz fantastyczną sytuację – kiedy jestem we Wrocławiu, w którym nie pracuję zawodowo, to po prostu jestem w domu.

Chyba że film jest akurat kręcony we Wrocławiu…

– To zdarzyło mi się raz, może dwa razy. Dwa lata temu z Arkiem Jakubikiem robiliśmy „Prostą historię o morderstwie", a rzecz się działa w okolicach Dzierżoniowa i Bielawy. To było najbliżej mojego domu. Czasem biorę udział we wrocławskim Przeglądzie Piosenki Aktorskiej, ale to zdarza się sporadycznie.

Czyli pani decyzja o wyjściu z teatru miała czysto praktyczne podłoże.

– Niestety, odległość. Wtedy przejazd pociągiem na trasie Wrocław-Warszawa wynosił sześć godzin.

Teraz trochę szybciej.

– Teraz trzy i pół godziny. Ale to nie zmienia faktu, że trzeba się skupić na jakiejś jednej rzeczy. Nie wyobrażam sobie grania w Warszawie do godz. 15.00, a potem gonitwy do teatru we Wrocławiu.

Odejście z teatru to pani wybór na życie czy decyzja przejściowa?

– Próbowałam sił w Warszawie. W Teatrze Studio zagrałam u Agnieszki Glińskiej w spektaklu „Jak zostałam wiedźmą". No właśnie, zmiany w teatrze nastąpiły nie tylko we Wrocławiu. Dotyczy to także Teatru Studio – Agnieszka Glińska nie jest już jego dyrektorką, część zespołu się zmieniła.

> Nie zaciskam szczęki, myśląc o tolerancji.

Przynależność do zespołu teatralnego to poważne zobowiązanie.

– Kiedy byłam w zespole Teatru Polskiego we Wrocławiu, zawsze się mówiło, że trzeba być wiernym temu teatrowi, że to świetny teatr, że robi dobre rzeczy i że jeśli ktoś już tu pracuje, to właściwie jego kariera zawodowa poza Wrocławiem jest niemożliwa. Wszyscy byli tak skupieni i wierni tej scenie, że nie szukali innych możliwości spełnienia. Kiedy odeszli z Polskiego, okazało się, że są świetnymi aktorami, którzy sprawdzają się również gdzie indziej. Zyskała na tym Warszawa, ale Wrocław stracił.

Tęskni pani do teatru?

– Tęsknię. W teatrze inny jest kontakt z widzem i z partnerem w pracy. Spektakl to nie jednorazowe wydarzenie, pracuje się nad nim dłużej, poświęca się mu więcej energii. Teatr wymaga od aktora również większych umiejętności. Ale decyzja o powrocie jest bardzo trudna.

Etatowa praca w teatrze wyklucza wiele możliwości, pozostaje wtedy jeden wolny dzień w tygodniu, poniedziałek. Uwolniłam się od takiej frustracji, że etat ma mi zapewnić poczucie bezpieczeństwa. I to jest plus, ale konfrontacji artystycznej czasem mi brakuje.

Gdybym podjęła pracę w teatrze w Warszawie, musiałabym wybierać: albo Warszawa, albo Wrocław. A ja nie chcę z Wrocławia rezygnować. Ale i tak nie byłoby łatwo się zdecydować, bo trudno byłoby mi powiedzieć, w którym, w tym jedynym, konkretnym teatrze chciałabym grać.

Duża część teatrów bardzo się liczy dzisiaj z pieniędzmi. Kiedyś tego problemu nie odczuwało się aż tak dotkliwie. Teraz teatr musi sprostać komercyjnym zapotrzebowaniom, a to moim zdaniem mu nie służy.

Bo to produkt.

– Bo sztuka jest produktem, oczywiście. Pewnie najbardziej widać to w filmie. Można zrobić dobry film, ale jeśli się nie umie go sprzedać, jego wartość nie ma znaczenia – i tak nikt go nie obejrzy. Film i teatr to różne światy, ale teatr swoją publiczność mieć musi.

A Teatr Telewizji? Też potrzebuje publiczności, a stracił jej sporo. Zrobiła pani w nim niemało, by przypomnieć Emmę Bovary, Joannę d'Arc czy Wnuczkę w „Kartotece rozrzuconej" Tadeusza Różewicza. Ostatnio widać panią rzadziej. Czy ten teatr ma szansę na odrodzenie?

– Myślę, że Teatr Telewizji się odrodzi, choć być może nie na taką skalę jak dawniej. Dostrzegam starania, żeby go ożywić. Chciałabym, żeby był różnorodny, wolny od polityki. Nie chciałabym, żeby był jednowymiarowy, powinien budzić kontrowersje.

eprasa.pl 514e77f55c

WSZYSTKO GRA

Takie, jakie zawsze mógł wzbudzać, i żeby to nie wywoływało sprzeciwu.

Może zagrożenie tkwi nie tyle w polityce, ile w tym, że Polska jest tak podzielona, że kultura się rozpada.

– Zawsze się mówiło, że są rzeczy ważne i ważniejsze. Czyli że prawo, zdrowie, ekonomia, edukacja zawsze będą ważniejsze od kultury i władza myśli o kulturze na samym końcu. Ja żyję z kultury. Nie mam natury polityka i nie mam potrzeby mówienia ludziom, co mają robić albo do której partii powinno być im bliżej. Jestem pełna podziwu dla Mai Ostaszewskiej czy Maćka Stuhra. Oni mówią otwarcie i z pasją o swoich przekonaniach. Walczą o wolność w różnych dziedzinach, mają odwagę, ale nie mówią nic przeciw ludziom. Dziwię się, że nastały takie czasy, że nie można tego z szacunkiem wysłuchać. Dziś, niestety, trzeba być w kontrze albo bezkrytycznie popierać. A najlepiej nienawidzić.

Śpiewa pani jeszcze od czasu do czasu „Ballady morderców" Nicka Cave'a?

– Ale chyba tylko, jak to mówią, przy goleniu (śmiech). Od wielu lat już nie gramy tego spektaklu z Mariuszem Drężkiem.

Piękny był.

– Był piękny, może trzeba przypomnieć ten repertuar? Ale może byłby zdjęty z afisza? Kto wie.

A myśli pani, że „Ballady morderców" okazały się prorocze?

– „Ballady morderców" mówiły o fascynacji zbrodnią. A teraz mamy pasjonatów hejtu. Nie chcę w tym uczestniczyć. Dlatego rzadko zaglądam do internetu. Nie słucham wynurzeń zajadłych ludzi, którzy są przeciw wszystkiemu, którzy mają grymas niechęci i agresji. Bardzo pięknie wystąpiły podczas rozdania Polskich Nagród Filmowych Agata Buzek, Agata Kulesza i Iza Kuna. To było żartobliwe wystąpienie, aktorki polskie są różne, grube, chude, jedne lubią spać do południa, inne wstają o świcie, jedne lubią jeść na potęgę, drugie w ogóle o tym nie myślą. Większość czyta, część jest bardzo inteligentna. Ale to, że każda z nas jest inna, nie przeszkadza nam się lubić, spotykać prywatnie, szanować, rozmawiać o wszystkim. Słowem, usiłowania, aby ludzi skłócić, tak naprawdę do niczego nie doprowadzą. W tym sensie, że my się nie damy, że się nie poddamy. Nie będę kogoś nienawidzić tylko dlatego, że on myśli inaczej niż ja. Odmawiam uczestnictwa w hejcie.

Jeżeli ktoś ma problem z nagością w teatrze, to znaczy, że ma problem ze sobą.

Innymi słowy, żywe jest zalecenie Norwida, żebyśmy potrafili pięknie się różnić.

– W tej chwili to są tylko słowa wieszcza. Niestety, coraz częściej odchodzą one w świat utopii. Nie zaciskam szczęki, myśląc o tolerancji.

Jak się pani czuje jako „odkrycie"?

– Jakie odkrycie?

Jak to jakie? W książce Łukasza Maciejewskiego, w trzecim już tomie portretów gwiazd. Tym razem zatytułowanym: „Aktorki. Odkrycia".

– No tak, okazuje się, że wraz z upływem lat coraz częściej jestem dla kogoś odkryciem.

Zaczęła pani karierę zawodową jako odkrycie. Tak okrzyknięto panią po debiucie aktorskim w spektaklu Jerzego Jarockiego „Kasia z Heilbronnu" we Wrocławiu (1994), była pani wtedy jeszcze studentką PWST. Potem stała się pani odkryciem telewizyjnym po emisji tego spektaklu zarejestrowanego dla TVP. Następnie znowu odkryciem – po „Balladach morderców" (1998) i po roli Mimi w filmie „Cisza" (2001). Wygląda na to, że robi pani za odkrycie.

– To jest urocze. Bardzo mnie cieszy, jeśli ktoś po 10, 15 czy 20 latach od mojego debiutu, a jak widać, to się wciąż zdarza, uznaje mnie za odkrycie. To mniej więcej takie uczucie jak wtedy, gdy ktoś mnie prosi o autograf i mówi: jest pani moim fanem.

Piotr Fronczewski mawia do mnie: jesteś moim ulubionym idolem. Jak widać, odkrycie ciągle na panią czeka.

– Jeszcze nie przeczytałam książki Łukasza, ale może i ja coś odkryję. Na razie zapoznałam się tylko ze swoim wątkiem. To niezwykłe, że ktoś z taką uwagą i pietyzmem przygląda się poszczególnym rolom, etapom życia, wyborom zawodowym i prywatnym i robi to z oddaniem. Cieszę się, że książkę o aktorkach napisał ktoś, kto kocha ten świat, pasjonuje się teatrem i filmem, a nie ktoś, kto chciał napisać o celebrytkach. Mam nadzieję, że wiele się dowiem o swoich koleżankach.

Panuje przekonanie, że ktoś, kto lubi teatr czy film, nie powinien być krytykiem. A ja uważam, że ktoś, kto nie lubi teatru czy filmu, niech lepiej o tym nie pisze.

– Wie pan, teraz stało się zasadą, że ktoś, kto się zajmuje działem mody czy sportem, przechodzi w gazecie do działu kultury i zostaje recenzentem teatralnym. Albo odwrotnie. To znaczy, że jest duże prawdopodobieństwo, że to jest dla niego niezjadliwy produkt i że najzwyczajniej na tym się nie zna. A ja mam takie poczucie, po wielu godzinach rozmów z Łukaszem, że jego się nie da oszukać, bo on się na tym zna i wie, o co pytać.

Tomasz Miłkowski

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 514e77f55c

Inne możliwe

Roman Kurkiewicz

JAREK PREMIEREM – PLANSZÓWKA

Przedstawiamy Państwu popularną, ale nie populistyczną, grę planszową, przeznaczoną dla całej rodziny (nie musimy chyba dodawać, że zbudowanej i trwającej wedle tradycyjnego, staropolskiego modelu: ociec, matka, dziatki, ewentualnie dziadki). W ostateczności można grać w ferie ze znajomymi, kiedy dziatek nie ma w domu. Jest idealna do grania w jesienno-zimowe wieczory. Po Nowym Roku nie wykluczamy aktualizacji, na życzenie dosłane zostaną dodatkowe zadania i wątki. Gra jest prosta, nie wymaga żadnego przygotowania ani doświadczeń. Można nawet powiedzieć, że niejakie kompetencje, zbyt rozległa wiedza i odbyte podróże, nie daj Panie Boże dłuższe pobyty poza Polską, mogą zaszkodzić i zawadzać. Plansza, jak Ziemia, jest płaska, bo jaka ma być? Czy ktoś widział kulistą planszę?

Na początku losujemy role w grze. Jest rola Jarkopremiera, są też role opozycji totalnej, opozycji innej, mediów, oraz – jeśli starczy graczy (łatwiej o nich w tradycyjnej polskiej rodzinie wielopokoleniowej w niewielu pokojach) – rodaków, inaczej ludu, suwerena, dawniej: społeczeństwa i obywateli. Zaletą gry jest nie tyle jej przewidywalność, ile nieuchronność. Daje ona poczucie stabilności, braku rozchwiania, głębię i moc oparcia w tym, co ma być. Jarek zawsze zostaje premierem, ponieważ to najlepsze dla Polski i zamieszkujących ją Polaków wraz z rodzinami (oraz rzecz jasna księży z ich duchowymi rodzinami). Opozycja totalna próbuje mu w tym nieskutecznie przeszkodzić, a opozycja pozostała – przeszkadza wszystkim. Co jest istotą aktywności każdej opozycji? Niekonstruktywne przeszkadzanie.

Do gry używamy dwóch kostek. Ta dla gracza Jarkopremiera na wszystkich sześciu bokach ma po sześć kropek, dzięki temu dobrze znamy kolejne kroki prowadzące do urzędu premiera. Dla pozostałych graczy jest kostka z trzema tylko powtarzającymi się liczbami: 1, 0, –1, co oddaje dynamikę sił politycznych będących w jakiejkolwiek opozycji. Jest i trzecia kostka, ale co tu dużo mówić – w formie planszy z dwoma napisami: „Hurra!" lub „Precz!". Społeczeństwo, czyli gracz, wznosi pierwszy napis po każdym ruchu Jarkopremiera, a drugi w pozostałych wypadkach.

Pierwszy rzuca Jarkopremier i trafia na pole: „Wrzucam temat – Jarek na premiera!"; media, niezależnie od wyrzuconej liczby oczek (nawet –1), trafiają na jedno ze swoich ulubionych pól: „Otwieramy debatę nad rekonstrukcją rządu", „Kto za kogo", „Nasza giełda", „Dobry ruch". Opozycja totalna i inna opuszczają kolejkę.

Jarkopremier posuwa się o następne pole i staje na tradycyjnym: „Seria zmian ustawodawczych w tygodniu przedwigilijnym", w kolejnym ruchu: „Zmiana czasu pracy parlamentu z dziennego na całodobowy". Opozycja totalna trafia na jedno z pól: „Zaśpiewajmy kolędę na pojednanie", „W tym roku Wigilia w domu", „To nie może mu się znowu udać". Rodacy szaleją. Media i opozycja inna opuszczają kolejkę. Jarkopremier trafia na pole: „Złóż im życzenia w orędziu w TVP 1, kiedy prezydent będzie w kablówkach". Opozycja totalna staje na polu „Składanie życzeń prezydentowi" i życzy głosu jego małżonce. Stąd ma drogę do dwóch pól: „Zapewnia, że jej krytyka rządu i rekonstrukcji rządu nie jest polityczna i że w ogóle brzydzi się polityką, chodzi o dobro i przyzwoitość" albo „Gdzie ja znajdę taką robotę?". Opozycja inna opuszcza kolejkę. Media lądują na polu: „Podzielmy się opłatkiem", „Co w minionym roku było do zapamiętania", „Czego oczekujemy od kolejnego roku?".

> Plansza, jak Ziemia, jest płaska, bo jaka ma być? Czy ktoś widział kulistą planszę?

Jarkopremier ląduje na trzech polach naraz: „Beata podaje się do dymisji. Jarek całuje Beatę w dłoń przy wszystkich", „Jarek wysuwa swoją kandydaturę, Sejm popiera, prezydent desygnuje", „Urlop w Juracie". Opozycja inna: „Gdyby nie ten pat i klincz, byłoby inaczej", opozycja totalna: „Nie poddajemy się", „Europa górą i wsparciem", „Populizm zawsze przegra". Społeczeństwo opuszcza kolejkę. Media: „Jesteśmy na nartach", „Najlepsze trasy zjazdowe w Europie i na świecie", „Siódmy bliźniak obnaża zakusy Jarka".

Jarek staje na polu końcowym: „Jarek premierem" oraz na polach bocznych: „Wprowadzamy program Masło+", „Auto+ na prąd", „Prąd+ na auta", „Pomniki zawsze i wszędzie".

Opozycja totalna nie może się zmieścić na polu: „To niemożliwe?! Jak to się stało?! Kolejna kadencja!", „Jak to, cholerka, przeleciało?", „Znowu te cholerne wybory?". Opozycja inna: „Teraz wam pokażemy!", „I wam też!", „I sobie też!". Media: „Wracamy z nart, a Polski nie ma", „Jaki będzie nowy rząd?", „Tylko u nas giełda nazwisk".

Przy złożeniu planszy na zakończenie gry wszystkie piony zsuwają się na pole w dole: „Msza za premiera i nowy rząd". Tego nie dało się przegrać. Zatem miłej gry! I do następnego!

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 514e77f55c

NA POWAŻNIE

FALSTAFF JAKO DON GIOVANNI

Dwie rzeczy zostaną w pamięci z bydgoskiej premiery „Falstaffa" Verdiego. Jedną jest iście diabelski pomysł, aby kosz z niefortunnym kochankiem wrzucić do kanału orkiestry w pobliże kontrabasów, drugą – poprowadzenie przez Macieja Prusa roli tytułowego bohatera. To już nie jest szekspirowski grubas i opój, na którym wzorował się Sienkiewicz, tworząc postać Onufrego Zagłoby, ale przystojny młody mężczyzna, którego równoczesne zaloty do dwóch mieszczek tylko przez przypadek wypadają pechowo. Mało tego, ów Falstaff w finale godzi rodzinne niesnaski i staje się liderem wspólnej zabawy. Przedstawienie zawdzięcza sukces doskonałym wykonawcom z Opery Nova. To przede wszystkim Łukasz Goliński, prawdziwa wschodząca gwiazda teatru muzycznego, a także otaczający go soliści, m.in. Magdalena Polkowska, Sławomir Kowalewski, Aleksandra Wiwała, Łukasz Załęski. Od strony wizualnej wrażenie robi reżyseria świateł Macieja Igielskiego. Trzeba też pamiętać, że to ostatnia, a więc najtrudniejsza muzycznie opera Verdiego – i tutaj oklaski należą się dyrygentowi.

Bronisław Tumiłowicz

Giuseppe Verdi, „Falstaff", kierownictwo muzyczne Piotr Wajrak, reżyseria Maciej Prus, Opera Nova w Bydgoszczy, premiera 21 października 2017

WIĘCEJ NIŻ „NORMA"

Ten hit operowy rzadko gości na scenie. Z prostej przyczyny – niewiele sopranistek jest w stanie udźwignąć arcytrudną rolę tytułową. Świadomość tego tak wpływa na sceniczne Normy, tak je paraliżuje, że wręcz ogranicza ich możliwości. Podobnie było zapewne z Katarzyną Oleś-Blachą, która długo nie mogła odpowiednio wyśpiewać roli, z najsłynniejszą, popisową arią „Casta diva" włącznie. Po niej było już znacznie, znacznie lepiej, co dało się słyszeć choćby w duetach z Moniką Korybalską (Adalgisa), której śpiew na każdym widzu musiał robić ogromne wrażenie. Role kobiece przyćmiły śpiewaków, szczególnie występującego w głównej roli męskiej Arnolda Rutkowskiego (Pollione). Też sprawiał wrażenie przytłoczonego odpowiedzialnością, oprócz lepszej intonacji przydałoby mu się też nieco więcej aktorstwa. Na słowa uznania w pełni zasługują chór i orkiestra poprowadzone przez Tomasza Tokarczyka, jedni i drudzy brzmieli dobitnie i wyraziście.

Krakowskie przedstawienie Laco Adamika ułatwia odbiór opery, dominują w niej muzyka i śpiew. Reżyser odszedł od *stricte* historycznego ujęcia opery, libretto potraktował jako punkt wyjścia do ukazania zwycięstwa miłości nad nakazem religijnym. Klasyczna scenografia Barbary Kędzierskiej nie przytłacza sceny. Na uwagę zasługują kostiumy Marii Balcerek, w których można znaleźć odniesienia do wielu epok, od starożytności do współczesności, a nawet fantasy – jak z „Mad Maksa" czy „Gwiezdnych wojen".

Paweł Dybicz

Vincenzo Bellini, „Norma", reżyseria Laco Adamik, kierownictwo muzyczne Tomasz Tokarczyk, Opera Krakowska, premiera 27 października 2017

KURTYNA W GÓRĘ

LALKA ODCHODZI

Scena wygląda po skandynawsku, obowiązuje północne wzornictwo i północny chłód. Ale pod tym lodem wrze. Emocje spalają przede wszystkim Norę, nawet jeśli na początku tego nie widać.

Między jednym a drugim rzędem oszklonych drzwi co pewien czas przeciskają się domownicy i goście. Zaglądają tu dzieci, lornetują – tak podgląda się wnętrze domu lalek. W środku przebywa Nora (Eliza Borowska). Chciała ratować chorego męża, a wpadła w niewyobrażalne kłopoty. Teraz szuka wyjścia. Ale to przecież nie jest sztuka o ryzykownie zawartej umowie pożyczkowej. Tu w ogóle nie o finanse chodzi, ale o pozycję kobiety, jej status społeczny. Kiedy przychodzi trudny czas i wierzyciel (Piotr Bajtlik) grozi ujawnieniem przestępstwa, a więc zniszczeniem całego świata Nory, mąż (Krystian Modzelewski) nie pośpieszy z pomocą. Jedyne, o co zabiega, to przygotowanie Nory do występu tanecznego na zbliżającym się balu.

Nora wie, że mąż nie zrobi niczego, co ją uratuje. Odtańczy więc przed nim na próbę swój taniec, aby odwlec nadciągającą katastrofę.

Prapremiera „Domu lalki" (1880) to był prawdziwy skandal. Kiedy Ibsen pozwolił bohaterce na odejście od męża i dzieci, przewrócił cały uświęcony porządek rzeczy. Niemcy tego nie znieśli i zażądali innego zakończenia – Ibsen napisał drugi finał, Nora zostawała z rodziną. Przedstawienie w Polskim nie jest jednak kartą z historii walk o wyzwolenie kobiet. To na wskroś współczesna opowieść. Reżyserka położyła nacisk na relacje Nory z otoczeniem. Eliza Borowska ukazuje narastający lęk, rozpacz samotnej kobiety, a potem bunt. Mąż ją rozczarowuje, a rolę lalki odrzuca. Nie chce żyć w takim świecie.

Helmer mówi na koniec: „Nie ma już Nory". Ale to znaczy tylko tyle, że Nora od niego odeszła. Wiele innych kobiet nadal zaznaje podobnego losu.

Tomasz Miłkowski

Henrik Ibsen, „Dom lalki", tłumaczenie Anna Marciniakówna, reżyseria Agnieszka Lipiec-Wróblewska, Scena Kameralna im. Sławomira Mrożka, Teatr Polski w Warszawie, premiera 6 października 2017

eprasa.pl 514e77f55c

NA EKRANACH

Borg/McEnroe. Między odwagą a szaleństwem

reż. Janus Metz, Dania/Finlandia/Szwecja, już w kinach

To nie tylko jeden z najlepszych filmów o sporcie, ale też jeden z najlepszych filmów tego roku. Twórcom udaje się wycisnąć z tenisowego pojedynku tytułowych bohaterów maksimum emocji, a z nich samych krew, pot i łzy. „Borg/McEnroe" ogląda się w takim napięciu, jakby od wyniku ich starcia zależało nie to, kto zostanie zwycięzcą Wimbledonu, tylko jak potoczą się dalsze losy świata. Reżyser zderza bohaterów charakterologicznie, co przekłada się na humor będący kontrapunktem dla traktowanego zupełnie serio meczu. Stonowany, emocjonalnie sterylny Borg i furiacki, zakochany w słowie *fuck* McEnroe nie mogą bardziej się różnić, ale ambicję mają tę samą. I dla niej skłonni będą poświęcić wszystko. To także istotna wypowiedź o sporcie w ogóle, jego uzależniającej mocy i kapryśności. Bo choć bohaterowie tak pięknie się różnią, otoczenie przechodzi podobne katusze z powodu ich nieposkromionych dążeń, dołków wywołanych potknięciami na korcie i stanów lękowych przed jak najbardziej możliwą porażką.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

43. BIENNALE MALARSTWA BIELSKA JESIEŃ 2017 Wystawa finałowa

Dzieła 69 artystów z całej Polski będą prezentowane na wystawie finałowej ogólnopolskiego konkursu malarstwa Bielska Jesień. „Zwiedzający będą mogli zobaczyć wszystkie wybrane obrazy, eksponowane po raz pierwszy od wielu lat w takiej liczbie: niemal 200 prac!", podkreśla Agata Smalcerz, dyrektor Galerii Bielskiej BWA i jurorka Bielskiej Jesieni 2017. Oficjalne ogłoszenie wyników biennale już 9 listopada. Wstęp na wystawę jest bezpłatny.

BIELSKO-BIAŁA, GALERIA BIELSKA BWA, 10 LISTOPADA-31 GRUDNIA

FESTIWAL

3. WARSAW KOREAN FILM FESTIVAL

Po raz pierwszy organizatorzy festiwalu zaplanowali bliższe spotkanie z twórczością wybranego koreańskiego artysty, któremu została poświęcona sekcja tematyczna. Gościem specjalnym będzie Kim Hee-jung, autorka intymnych, delikatnych i przepełnionych poezją filmów. We współczesnym kinie koreańskim kobiety wciąż mają trudniejszą drogę do reżyserowania niż mężczyźni, więc tym bardziej warto się zapoznać z jej dorobkiem. Szczegółowe informacje na temat festiwalu, programu i spotkań z reżyserką: **www.facebook.com/warsawkoreanfilm**.

KINO LUNA, 7-13 LISTOPADA

DOKUMENT W TV

NASA to największa organizacja kosmiczna na świecie. Dysponuje astronomicznym – *nomen omen* – budżetem 17 mld dol. rocznie, a na koncie ma takie sukcesy jak pierwsze w historii lądowanie na Księżycu. Ale za każdym wielkim triumfem kryją się setki równie spektakularnych porażek. Kulisy błędów i nieprawidłowości, które doprowadziły do poważnych awarii i historycznych katastrof, odsłoni seria dokumentalna „Kosmiczne wpadki NASA". Twórcy dokumentu postanowili przyjrzeć się temu, jak nowoczesna nauka i technologia uczą się na własnych błędach, a także jak wiele te błędy kosztują.

PLANETE+, OD WTORKU 7 LISTOPADA, GODZ. 22.00

MIĘDZY OKŁADKAMI

Tana French OSTATNI INTRUZ

tłum. Łukasz Praski
Albatros, Warszawa 2017

Detektyw Conway to twardzielka. Nie ma co apelować do jej czułego serduszka – wścieknie się, wyciągnie spluwę i każe się wynosić. Ale i ona ma słaby punkt. Wymarzona praca w dublińskim wydziale zabójstw okazała się gigantycznym rozczarowaniem. Conway, choć przestała już być nowa, wciąż poddawana jest koceniu, a raczej seksistowskiemu i rasistowskiemu dręczeniu. Policyjna lojalność? Przecież nie wobec kobiety, i to o ciemniejszej skórze. Właśnie poczucie całkowitego osamotnienia robi tu największe wrażenie – na nikogo nie można liczyć. W tym śledztwie, pozornie banalnej sprawie z idealnym podejrzanym, Conway nagle stwierdza, że ma samych wrogów. Niezłe tempo, może trochę zbyt rozciągnięte opisy przesłuchań, udzielająca się huśtawka nastrojów: łowiecka gorączka „mam cię!", która napędza policjantów, a zaraz potem rozczarowanie. I znów.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. ANDRZEJ MAKOWSKI, ŁUKASZ ŁUSZCZEK, MARTA ANKIERSZTEJN, MATERIAŁY PRASOWE, PLANETE+

eprasa.pl 514e77f55c

BIZNES NA BUNKRACH

Hitlerowskie umocnienia są takim samym interesem jak każdy inny. Rzecz w tym, aby nie naciągać historii

Marek Książek

W zeszłym roku kraj obiegła wieść o kolejnych poszukiwaniach Bursztynowej Komnaty. Tym razem tropy wiodły do Mamerek, do byłej siedziby dowództwa niemieckich wojsk lądowych (OKH). Obok zachowanych w całości bunkrów georadar wykrył tu nowy obiekt, zakopany pod koniec wojny przez hitlerowców, w którym mógł się znajdować poszukiwany skarb.

Informacja ta rozpaliła wyobraźnię miłośników historii oraz turystów, którzy zaczęli szukać na mapie nazwy Mamerki. Ta leśna osada leży kilka kilometrów od Węgorzewa, nad brzegiem jeziora Mamry, nieopodal nieukończonego Kanału Mazurskiego. Bunkry nad Mamrami przez lata pozostawały w cieniu odległej o 20 km głównej kwatery Hitlera w Gierłoży koło Kętrzyna. Tyle że tam potężne bunkry zostały wysadzone w powietrze, a schrony OKH w Mamerkach zachowały się w całości.

W CIENIU BURSZTYNOWEJ KOMNATY

Mamerkom potrzebna była promocja i zapewniły ją poszukiwania Bursztynowej Komnaty. Na ślad skarbu miał naprowadzić sam Erich Koch, były gauleiter Prus Wschodnich, oczekujący po wojnie w więzieniu w Barczewie na wykonanie kary śmierci. Podobno więźnia Kocha przywieziono do Mamerek, by wskazał miejsce ukrycia skarbu. Podstawą do wznowienia poszukiwań w tym miejscu stała się jednak relacja mężczyzny, który pół wieku temu dowodził saperami przeszukującymi bunkry w związku z relacją wartownika, który miał być świadkiem rozładunku tajemniczego transportu. Rozgłos wywołany wznowieniem poszukiwań spowodował, że zainteresowała się nimi kanadyjska stacja telewizyjna. Sfinalizowała nawet dalsze prace, które w tym roku doprowadziły do odkrycia fundamentów nieznanego obiektu. Tylko tyle, ale i tak była to znakomita reklama, która przyciągnęła rzesze turystów.

Na razie mogą tam zobaczyć jedynie replikę Bursztynowej Komnaty, a właściwie wyłożoną świecidełkami niedużą planszę na ścianie muzeum w Mieście Brygidy (nazwa wzięła się od zakonu św. Brygidy, bo w czasie wojny obiekty były obsługiwane przez żeński personel, m.in. zakonnice). W trzech głównych bunkrach przy parkingu natrafimy na odgrodzone kratami manekiny w niemieckich mundurach, a nawet na zmizerowaną postać Adolfa Hitlera. Schrony łączy 30-metrowy tunel, który co wyżsi turyści muszą pokonać w pochyleniu. Większość bunkrów rozsiana jest w lesie, a 300 m od parkingu znajduje się schron obsługi sztabu z makietą bitwy pancernej pod Kurskiem, zrekonstruowanym wnętrzem U-Boota oraz jego blaszaną atrapą ustawioną na zewnątrz. Najwięcej emocji dostarcza jednak wejście na stalową, 38-metrową, lekko chyboczącą się wieżę widokową, skąd rozciąga się piękny widok na mazurskie lasy i jeziora.

TŁUMY W SEZONIE, ZYSKI W KASIE

Za takie przeżycia trzeba płacić. Dorośli po 17 zł, bez zniżki dla seniorów, a dzieci i młodzież po 12 zł. Zwiedzanie w grupie kosztuje najmłodszych 9 zł, a dorosłych – 14 zł. Za 60 zł można wynająć przewodnika. Dochodzi do tego 5 zł za parking. Para dorosłych, którzy dotrą do Mamerek samochodem, płaci więc w sumie 39 zł. Jednak bileterka nie wydaje paragonu, co najwyżej – na życzenie – może wystawić dowód wpłaty. Brak kasy fiskalnej wzbudza podejrzenia, czy nie mamy tu do czynienia z szarą strefą, co zasugerował jeden z czytelników. Jednak jeśli dochody nie są ewidencjonowane, podatki można płacić ryczałtem. Tym bardziej że nieznana jest także liczba gości zwiedzających bunkry w Mamerkach. Jedna z pracownic obsługujących turystów mówi, że w sezonie letnim bywa tam 400-500 osób dziennie, druga, że nawet tysiąc.

Taki natłok gości możliwy jest od połowy kwietnia do połowy października. Jeśli więc przemnożymy 180 dni

eprasa.pl 514e77f55c

przez tysiąc osób dziennie, otrzymujemy 180 tys. turystów w sezonie. To znacznie mniej niż szacunki, jakie dwa lata temu pojawiły się w mediach. Wtedy liczbę 300 tys. zwiedzających w ciągu sezonu podawał nadleśniczy Piotr Gawrycki z Nadleśnictwa Borki, od którego teren z bunkrami – za 132 tys. zł netto rocznie – wydzierżawiła gdańska spółka. Zestawiając cenę dzierżawy z kwotą potencjalnych przychodów za bilety, nawet tylko przy 180 tys. turystów, otrzymujemy ponad 2,5 mln zł dochodu rocznie.

SZUKANIE DZIURY W CAŁYM?

Tylko skąd te szacunki? Poprzedniego nadleśniczego już nie ma, zastąpił go Kazimierz Sarżyński, który na ten temat nie ma żadnych danych. Z jego informacji wynika ponadto, że Nadleśnictwo Borki wydzierżawiło tylko niewielki skrawek terenu (1,33 ha), na którym znajduje się pięć mniejszych bunkrów nad brzegiem jeziora Mamry. Część schronów leży na terenie Lasów Państwowych i jest ogólnie dostępna, a pozostały teren w przeszłości zmieniał właścicieli.

Bartłomiej Plebańczyk z Trójmiasta, właściciel obiektu turystycznego Bunkry Mamerki, na pytanie o liczbę zwiedzających początkowo nie chce odpowiedzieć. – My współpracujemy z dziennikarzami, którzy pytają o walory turystyczne obiektów. Finansowanie naszej działalności nikogo nie interesuje. To szukanie dziury w całym, bo nie ma tutaj żadnych przekrętów – zapewnia. W końcu mówi, że liczbę zwiedzających szacuje na 40 tys. osób rocznie. Przyznaje, że jest to działalność „lekko rentowna", bo inwestuje w prezentacje i makiety historyczne oraz takie obiekty jak wieża widokowa, którą postawił trzy lata temu.

Plebańczyk część terenu dzierżawi, a dwie działki (razem ok. 1 ha) już wcześniej wykupił od spółdzielni mleczarskiej, ratując w ten sposób bunkry dla turystów, bo poprzedni właściciel planował tam założyć uprawę pieczarek. Przedsiębiorca potwierdza, że akcja poszukiwania Bursztynowej Komnaty była znakomitą reklamą tego miejsca. Turyści ściągają z całej Polski i z zagranicy, a na wiosnę przyszłego roku najemca planuje nowe atrakcje. Jakie? Na razie nie chce ujawniać.

Plebańczyk nie chce też rozmawiać na temat działalności aż czterech spółek założonych przez siebie i żonę Monikę. W sieci można znaleźć schemat powiązań organizacji o nazwach UBOOT i Bunkry Mamerki. Czy ułatwiają one „inżynierię finansową", jak chcą obserwatorzy ich poczynań biznesowych? To już sprawa fiskusa. Ostrożność trójmiejskiego biznesmena może wynikać z dotychczasowych doświadczeń, gdy – jak mówi – stracił na rok kontrolę nad częścią terenu z bunkrami, którą przejęła spółka Wilcze Gniazdo z Warszawy. I zanim Plebańczyk zdążył ten kawałek lasu odzyskać, warszawiacy rozebrali drewnianą wieżę widokową.

LEŚNICY ODZYSKALI WILCZY SZANIEC

Znacznie więcej utrapień spółka Wilcze Gniazdo przyniosła Nadleśnictwu Srokowo, na terenie którego znajduje się była kwatera główna Hitlera. To spółka z udziałem kapitału zagranicznego, m.in. z Wiednia, która dzierżawiła Wilczy Szaniec i początkowo wywiązywała się ze swoich zobowiązań. Jakieś trzy lata temu do kasy właściciela zaczęło wpływać coraz mniej pieniędzy (bilety są nieco droższe niż w Mamerkach). W końcu Lasy Państwowe wypowiedziały umowę dzierżawy obiektu. Po długotrwałym procesie sądowym nadleśnictwo odzyskało majątek i wprowadza swoje porządki, nadając temu miejscu odpowiednią rangę.

Przy wejściu na teren Wolfsschanze turystów witają leśnicy w zielonych mundurach. Bunkry oznaczono na nowo i wytyczono między nimi nowe ścieżki. Niebawem mają się tam pojawić kolejne elementy ekspozycji nazwanej „Wilczy Szaniec: Zbrodnia. Pamięć. Wojna". Nadleśniczy Zenon Piotrowicz zapewnia, że jako podmiot państwowy Nadleśnictwo Srokowo zapewni właściwy przekaz historyczny. Potyczki grup rekonstrukcyjnych w mundurach Wehrmachtu nie wystarczą. Trzeba turystom przypominać, że w Wilczym Szańcu nie tylko doszło do nieudanego zamachu na Hitlera, ale że właśnie tu führer podejmował zbrodnicze decyzje, w tym o stłumieniu powstania warszawskiego.

Nadleśniczy Piotrowicz wylicza, że główną kwaterę Hitlera odwiedza rocznie ok. 300 tys. zwiedzających, na razie znacznie więcej niż pobliskie Mamerki. Co ciekawe, obie te strefy łączą tory kolejowe, których właścicielem od kilku lat jest powiat węgorzewski. Na linii Kętrzyn-Węgorzewo-Kętrzyn uruchomiona została kolej turystyczna, a pociąg z gośćmi przejeżdża m.in. przez Kanał Mazurski, Mamerki, Radzieje (gdzie swoją kwaterę miał szef kancelarii III Rzeszy) i wreszcie Gierłoż. W ciągu roku z tej atrakcji korzysta do 20 tys. turystów, często odkrywających na nowo ten fragment współczesnej historii. ■

MIEJSCE ZAMACHU NA HITLERA

Budowa kwatery niemieckiego dowództwa wojsk lądowych (OKH) w rejonie zwanym Mauerwald rozpoczęła się – tak jak pobliskiego Wilczego Szańca – przed inwazją Hitlera na ZSRR. Na potrzeby 40 najwyższych rangą generałów i feldmarszałków, 1,5 tys. oficerów i żołnierzy Wehrmachtu powstało tam ok. 200 obiektów, w tym 30 żelbetowych schronów. Jest to jeden z najlepiej zachowanych niezniszczonych kompleksów bunkrów na terenie dzisiejszej Polski. W jego skład wchodzi bunkier gigant ze ścianami o grubości 7 m, dostępny dla turystów. W sierpniu 1941 r. do kwatery OKH w Mamerkach przybyli z Wilczego Szańca – drezyną motorową – Hitler z Mussolinim. W 1944 r. oficerowie z płk. Clausem Stauffenbergiem spiskowali przeciw Hitlerowi, doprowadzając 20 lipca 1944 r. do nieudanego zamachu na führera

FOT. MICHAŁ KOŚĆ/REPORTER

eprasa.pl 514e77f55c

FATALNE UCZUCIE

Wiele wskazuje na to, że i dla Eugenii Lewickiej, i dla Piłsudskiego nie było to przelotne zadurzenie

Jerzy Chociłowski

Rok 1924. Druskienniki nad Niemnem. W środku lipcowej upalnej nocy lekarkę zdrojową Eugenię Lewicką wyrywają ze snu zasapani: Krejbichowa, opiekunka willi przy ulicy Jasnej, i ordynans Piłsudskiego. „Prosimy z nami, jak najszybciej. Marszałek zachorował". Lewickiej nie trzeba było tego powtarzać. Była gotowa w kilka minut. Z chaty nad jeziorkiem Druskonie – gdzie miała kwaterę – do domu willowego, który oddano do dyspozycji Marszałka i jego najbliższych, było tylko kilkaset metrów. Pokonała ten dystans tak prędko, że ordynans z Krejbichową z trudem za nią nadążali.

Na miejscu stwierdziła napad dychawicy sercowej. Marszałek był blady, oblany zimnym potem, osłabły, narzekał na duszności, puls miał przyśpieszony. Lewicka zaaplikowała mu domięśniowo morfinę, dożylnie strofantynę, po czym uspokajała wystraszoną Marszałkową, że wszystko będzie dobrze, i obiecała przyjść po południu.

I tak to się zaczęło. Lewicka przychodziła codziennie doglądać Marszałka nawet wtedy, gdy już poczuł się lepiej. Spędzała z nim więcej czasu, niż potrzeba, było oczywiste, że imponował jej sławny i ważny pacjent, ale asystował temu płomyczek nietajonej do niego sympatii. On także był rad jej obecności przy sobie. Wolno podejrzewać, że więcej niż ładna, bystra i rezolutna lekarka coraz bardziej mu się podobała jako kobieta.

Z wolna pod bokiem nieświadomej na razie niebezpieczeństwa żony kiełkuje ziarno romansu. Szczupła, błękitnooka blondynka promieniuje młodością, nie wygląda na niepełne jeszcze 30 lat. On w grudniu skończy 57, starzeje się, ale staruszkiem być nie chce. Przekomarza się z nią, dowcipkuje, wciąga ją w rozmowę, zapuszcza sondę w jej biografię. Przyjemnie mu się dowiedzieć, że panna Eugenia, jak i on, jest z Kresów Wschodnich, pochodzi z części Ukrainy zawłaszczonej przez Rosję. Jej rodzinne miasto to Czerkasy nad Dnieprem koło Kamieńca Podolskiego, do II rozbioru leżące w granicach pierwszej, królewskiej RP. Jej ojciec, dwojga imion Cyryl Longin, był plenipotentem polskich właścicieli ziemskich. Eugenia ukończyła w Kijowie Żeński Instytut Medyczny, ale przyjechała do Polski po drugi dyplom – Uniwersytetu Warszawskiego, zapisując się na ostatni rok wydziału lekarskiego. Antoni Jaroszewicz, współwłaściciel Druskiennik (dobry znajomy zarówno Piłsudskiego, jak i Eugenii), wspominał, że jego prywatny lekarz, prof. Edward Żebrowski, zwierzył mu się z szalonej, nigdy niewyznanej miłości do Lewickiej w czasie, gdy była jego studentką.

Tenże Żebrowski polecił ją jako sezonową lekarkę dyrektorowi uzdrowiska Michałowi Malinowskiemu, wspólnikowi i przyjacielowi Jaroszewicza. Była to protekcja absolutnie uczciwa, nie obciążał jej w żadnej mierze tajony afekt Żebrowskiego. Lewicka profesjonalnie była bez zarzutu i całkowicie na nią zasługiwała, ba, nieoczekiwanie wyszła daleko poza ramy swej funkcji, rewolucjonizując nowocześnie oblicze kurortu.

Była zapaloną fizjoterapeutką. Druskienniki stały się dla niej poligonem metod leczenia słońcem, ruchem i powietrzem. Podpatrywała je podczas wyjazdów do Danii i Szwecji, gdzie się już świetnie sprawdzały pod antycznym hasłem *sol est remedium maximum* (słońce najlepszym lekiem). W zaprojektowanym przez nią klimatycznym parku sosnowym powstały placyki do helioterapii, boiska do siatkówki, bieżnie, urządzenia do ćwiczeń gimnastycznych, baseny, szatnie, korty do tenisa. Na płynącej przez park, żwawo śpieszącej do Niemna Rotniczance zbudowano kaskadówki kąpielowe. W polskich warunkach były to prekursorskie innowacje i niebywale zwiększyły atrakcyjność zdrojowiska. Przyczyniała się do tego sama Lewicka – energiczna, wysportowana, zawsze pogodna, przyciągała entuzjazmem kuracjuszy obu płci niczym magnes żelazo.

W następnym roku Piłsudski znów przyjechał na wypoczynek do Druskiennik, tym razem bez żony i małoletnich córek – Wandy i Jagody. W kolejnych latach też zjawiał się tylko z adiutantami, bez rodzinnej eskorty. Dzięki temu dr Lewicka spotykała się z nim dość często i nie tylko wtedy, gdy dostał kataru. Zdjęcia dokumentują, że pokazywali się wspólnie na różnych druskiennickich imprezach pod gołym niebem. Niekiedy Eugenia przyłączała się do jego przechadzek podleśną ścieżką po nadniemeńskiej skarpie. Gawędzili – jak powiadają Francuzi – *à bâtons*

Dla Piłsudskiego śmierć Eugenii była ciosem.

eprasa.pl 514e77f55c

Józef Piłsudski i Eugenia Lewicka zwiedzają Maderę łódką.

Marszałek z żoną i córkami w Druskiennikach, lipiec 1924 r. – to wtedy poznał dr Lewicką.

rompus, czyli o wszystkim po trochu, ale bez wątpienia rozmowa musiała nieraz zahaczać o terapeutyczne pomysły Eugenii, to był jej konik.

Były to dla Marszałka idee nowe, żeby nie powiedzieć – obce, ale chętnie dawał im ucha, tym bardziej że w ustach miłej mu lekarki brzmiały śmiało i kompetentnie. Niewątpliwie to właśnie pod ich wpływem przyszło mu do głowy, że można by je zastosować na gruncie wojskowym. W lepszej kondycji fizycznej żołnierzy dostrzegł sposób na spotęgowanie ich wartości bojowej. Rozszerzył tę myśl poglądem, że wychowanie fizyczne musi objąć także młodzież, i to z naukową pomocą, pod naukowym kierownictwem i z udziałem przedstawicieli świata lekarskiego.

Piłsudski nie tylko szybko myślał, ale i działał. Niebawem powstał Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego wraz z Radą Naukową WF i Marszałkiem na czele, w której skład weszła… dr Eugenia Lewicka. Powierzono jej także kierownictwo sekretariatu Urzędu WF i PW, gdzie miała służbowe pomieszczenie. Ona też była współinicjatorką utworzenia pierwszej w Polsce prawdziwie nowoczesnej uczelni sportowej. W ciągu dwóch lat, w iście ekspresowym tempie, wyrósł na warszawskich Bielanach Centralny Instytut Wychowania Fizycznego, przemianowany potem na Akademię Wychowania Fizycznego, której patronem dziś znowu jest Józef Piłsudski.

Przez taki obrót rzeczy nieuchronną koniecznością stała się przeprowadzka Lewickiej do stolicy. Ulokowała się wygodnie na tyłach ulicy Belwederskiej w komfortowo urządzonej willi, która wraz z całą obszerną posesją należała do spółki Jaroszewicz-Malinowski. Gościła tam popołudniami Piłsudskiego, który korzystając z bliskości Belwederu, zjawiał się u niej na herbacie. A w sezonie letnim spotykali się znowu w Druskiennikach, gdzie Marszałek otrzymał z czasem stałe lokum w osobnym domku, bardzo blisko Niemna, któremu lubił się przyglądać bez oznak znużenia. Pewnego razu Lewicka, umówiona na kontrolne badanie ciśnienia, nie zastała go tam. Zniknął bez śladu, zmyliwszy czujność ochrony. Nie było go tak długo, że zaalarmowano wojsko stacjonujące w pobliskim Grodnie. Wrócił mocno spóźniony i zadyszany z wielkim bukietem nazrywanych w życie chabrów. Ogromnie z siebie zadowolony wręczył go wystraszonej Eugenii.

Bardzo wiele wskazuje na to, że dla obojga nie było to przelotne zadurzenie, ale mocne uczucie oparte na porozumieniu serc i umysłów, któremu czas nie szkodził, przeciwnie – utrwalał je. Jaroszewicz pisał, że więzy między nimi pogłębiały się z roku na rok. Uważał, że nie był to banalny romans, jakim chcieli go widzieć ludzie niechętni Marszałkowi. Nie wszystkim było bowiem w smak, że Piłsudski liczył się ze zdaniem Eugenii, często krytycznym wobec dwulicowych osób z jego otoczenia. Potrafiła przekonać upartego z natury Piłsudskiego do zmiany jakichś niefortunnych decyzji. Z jej pomocą udało się np. Jaroszewiczowi wyjednać uwolnienie niesłusznie więzionego po zamachu majowym komendanta policji warszawskiej Mariana Borzęckiego. Przy tym wszystkim Eugenia była z oczywistych względów stroną słabszą w tym związku. Musiała rozumieć, że stąpa po bardzo niepewnym gruncie, jednak szła naprzód z podniesioną głową, na przekór rozwadze.

eprasa.pl 514e77f55c

Marszałek z dziećmi, współpracownikami i kuracjuszami w uzdrowisku w Druskiennikach.

W końcu zrobiła krok zadziwiająco nieroztropny, wręcz niebezpieczny, zakrawający na demonstrację. W grudniu 1930 r., gdy Piłsudski uciekał przed polską zimą na Maderę, pojechała tam razem z nim. I to z lekceważeniem pozorów, nie jako eskorta medyczna, bo tę zapewniał Marszałkowi jego przyboczny lekarz, płk Marcin Woyczyński. Rzecz była zrazu trzymana w ścisłym sekrecie przed Marszałkową. Wiemy z jej wspomnień, że przygotowała mężowi do podróży „walizkę dietetycznych zapasów", a on tuż przed odjazdem pociągu pokazał jej przez okno z łobuzerskim uśmiechem zabronioną mu długą wędzoną polędwicę, którą po kryjomu kazał kupić adiutantowi. Oczywiście nie mogła wiedzieć, że w zaciszu salonki czeka na odjazd jej rywalka, inaczej nie odprowadzałaby go troskliwie na dworzec.

Szydło wyszło z worka dopiero po kilku tygodniach, gdy w ręce pani Marszałkowej trafiła podobno fotografia zrobiona w dniu dopłynięcia Piłsudskiego do Funchalu, stolicy Madery. W łodzi motorowej, tuż obok niego, widać było na zdjęciu ubraną jak z żurnala Eugenię Lewicką. Wkrótce zrobiło się o tym głośno, a „Gazeta Warszawska" powtarzała pogłoski o interwencyjnej podróży pani Piłsudskiej na Maderę. Miały o tym świadczyć starania o wizy wjazdowe do szeregu państw, w tym i do Portugalii.

Aleksandra na Maderę jednak nie pojechała, ale niespodziewanie wróciła stamtąd samotnie Lewicka. Doszło potem do spotkania obu pań, ale przebieg tego *tête-à-tête* skazany został na domysły. Tak samo jak zagadka nagłego powrotu lekarki. A wypoczęty i opalony Marszałek powrócił do kraju pod koniec marca 1931 r. na pokładzie kontrtorpedowca „Wicher". Wśród powitalnego orszaku w Gdyni – prócz premiera i ministrów – nie zabrakło obu córek ani żony. Uściskali się, ile było w tym szczerości – wiedzieli tylko oni.

Od tego momentu Marszałek nie widywał się z Eugenią, która trzy miesiące później już nie żyła. Znaleziono ją nieprzytomną w jej pokoju służbowym w Instytucie WF na Bielanach z „objawami zatrucia środkami chemicznymi". Przewieziona do Szpitala Dzieciątka Jezus skonała po dwóch dniach (29 czerwca), nie odzyskawszy świadomości. Według Jaroszewicza, który z Malinowskim widział ją w kostnicy, miała na brodzie ślady spalenizny jak po oblaniu jakimś żrącym płynem.

W „Kurierze Porannym" ukazał się jej nekrolog podpisany przez „matkę, braci i rodzinę" z wiadomością o pochówku w grobie rodzinnym na Powązkach. Piłsudski nie wziął udziału w pogrzebie, ale przyszedł na nabożeństwo w przycmentarnym kościele. Miał galowy mundur z orderami, przy szabli. Towarzyszyli mu m.in. płk Wieniawa-Długoszowski i premier Prystor. Gdy wynoszono z kaplicy trumnę, Marszałek przeżegnał ją i zapłakał. Łzy jak groch leciały mu z oczu. Po chwili odjechał autem do Belwederu.

Po śmierci lekarki Warszawa znów zatrzęsła się od plotek. Oficjalnie przyczyną zgonu było samobójstwo i do tej wersji przychyla się lakonicznie większość historyków, nie próbując tego uzasadniać. „Kurier Poranny", który pisał o umyślnym otruciu się weronalem (silny środek nasenny), też się o to nie pokusił. Prasa zresztą, nawet ta wroga Piłsudskiemu, potraktowała rzecz z nadzwyczajną powściągliwością, nie wdając się w skandalizowanie. Skądinąd wiadomo, że Lewicka miała rychło pojechać do Druskiennik i w przeddzień nieszczęścia jej zachowanie nie zdradzało najmniejszych objawów załamania nerwowego. Była spokojna, nawet w dobrym humorze. Czyżby udawała?

W rachubę teoretycznie mógł wchodzić nieszczęśliwy wypadek, ale mało kto brał to serio pod uwagę. Szeptano po kątach, że do samobójstwa doprowadziła Lewicką zazdrosna o jej wpływ na Marszałka kamaryla belwederska. Po prostu czuła się zaszczuta przez kalumnie, bojkot i szykany. Nie wykluczano nawet zabójstwa na zlecenie, choć w owym czasie – już po rozstaniu z Piłsudskim – Lewicka była przecież bezbronna i niegroźna dla koalicji matron pod wodzą Janiny Prystor (żony premiera i pierwszej przyjaciółki Marszałkowej).

Światła wokół okoliczności tragedii byłoby więcej, gdyby nie zmowa milczenia wszystkich osób, które miałyby sporo do powiedzenia. Zniknęły też wszelkie świadectwa papierowe. Niektóre przechowywał Marszałek w pilnie strzeżonej stalowej kasetce, ale po jego zgonie ujawniono tylko dokumenty o znaczeniu publicznym, nic prywatnego nie dotarło do wiadomości ogółu. W tym pogmatwanym dramacie nie wszystko jednak jest omroczone znakami zapytania. Nie można wątpić, że dla Piłsudskiego śmierć Eugenii była ciosem. A i ona go musiała kochać. Miłością przegraną, nierozważną, co nie znaczy, że nieprawdziwą. Zapłaciła za nią życiem. (…)

Światła wokół okoliczności tragedii byłoby więcej, gdyby nie zmowa milczenia.

Fragmenty książki Jerzego Chociłowskiego *Niezwykłe kobiety Drugiej Rzeczypospolitej*, Wydawnictwo Akurat, Warszawa 2017

eprasa.pl 514e77f55c

Oko w oko

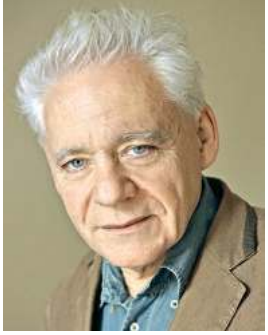

Tomasz Jastrun

ODDAĆ ŻYCIE

Zaprzysiężenie Frania na ucznia. Beznadziejna uroczystość. Ciężka, ponura, sztywna, bogoojczyźniana. Podobne uroczystości były w mojej szkole w latach 60. Gdy maluchy śpiewają nasz hymn, jeszcze wyraźniej widać jego wzruszającą archaiczność, z szablą, z Bonapartem i tym „z ziemi włoskiej do Polski...". Dzieci recytowały też słynny katechizm polskiego dziecka „Kto ty jesteś? / Polak mały". Najlepsza jest końcówka:

– A w co wierzysz?
– W Polskę wierzę.
– Coś ty dla niej?
– Wdzięczne dziecię.
– Coś jej winien?
– Oddać życie.

•

Siedzę samotnie przy stoliku w hotelowej restauracji w Drezdenku. Niewielkie miasteczko. Zamawiam zupę tajską i jest świetna. To kolejny znak rewolucji gastronomicznej, jaka się dokonała w Polsce i dotarła nawet na daleką prowincję. W Drezdenku mam wieczór autorski, w podziemiach pięknego neogotyckiego kościoła o wieży górującej nad okolicą. Jak zawsze w małych miasteczkach spotykam ludzi jakoś do siebie podobnych. Nie są regułą, są wyjątkiem. To polski inteligent. Zawsze jednako przerażony i oburzony tym, co się dzieje w kraju. Polska inteligencja, śmiertelny wróg PiS. Mamy przecież plemienne postrzeganie narodu, w którym inteligencja się nie mieści. Celem i ideałem PiS jest prosty człowiek, za którego przemawia partia. On własnego rozumu nie ma, jego rozumem jest PiS. To wszystko już było w latach 40. i 50. Jadwiga Staniszkis, która nagle przejrzała na oczy, a wiele czasu jej to zajęło, mówi, że przypomina jej to lata 40. Takie skryte i przebiegłe demolowanie instytucji demokratycznych. Po moim wieczorze poetyckim spotkanie z księdzem H. Bardzo nieklerykalny ksiądz. Mówi: „Moi przełożeni nie czytają". Jest kapelanem w tutejszym szpitalu. Myślę: trudno o bardziej dramatyczną duchową pracę.

Nazajutrz mały spacer po miasteczku, idę pod prąd deszczu, który zacina w twarz. Miasto ma potencjał na urodę, ale niewykorzystany. Są aż cztery place, na największym, Wileńskim, kładziona jest nowa nawierzchnia, będą bodaj fontanny, ale prace podobno utknęły na amen. Na tym rynku niektóre domy w strasznym stanie. A stawiany tam niski, szpetny pawilon, zupełnie nie w skali okolicznych budynków, to zbrodnia architektoniczna. Wszyscy miejscowi narzekają na władze miasta. Teraz widać od razu, czy miasto ma dobrego gospodarza. Wystarczy pójść na spacer.

•

Jak każda formacja o zapędach totalitarnych PiS zmienia znaczenie słów, zatruwa język. Już nie będzie donosiciela, będzie sygnalista. To patriota, który informuje o nadużyciach, o korupcji w swoim miejscu pracy. Tworzone są też poręczne frazy, których potem używa się na poczekaniu. Ostatnio modny jest termin „totalna opozycja". Ja bym się raczej upierał, że ona bez charyzmy i wątła. Nie byłaby totalna, gdyby siedziała cicho. To ona winna, że pan Piotr popełnił samobójstwo przez samospalenie na znak protestu przeciwko niszczeniu demokracji. Totalna opozycja namieszała mu w głowie. Napisał pożegnalny manifest, z którym się utożsamiam. Nie ma wątpliwości, że dokonując tego aktu, był przy zdrowych zmysłach. Nie jestem już młody i pewnie dlatego staję się coraz bardziej sceptyczny wobec oddawania życia za sprawę, nawet szlachetną. Historia potem mówi, że nie było warto. Co nie umniejsza heroizmu takiego aktu. Bohater mojej ostatniej powieści kupuje benzynę i szykuje się, by odebrać sobie życie, w podobny sposób i w tej samej sprawie. Musiało to jednak wisieć w powietrzu, skoro coś takiego przyszło mi do głowy. Józef Tischner pisał: „Mnich buddyjski dokonując aktu samospalenia, decydował się na ofiarę pełną bólu. Chciał w ten sposób krzykiem swoim ogłosić, że ma coś bardzo ważnego do powiedzenia. Nic na świecie tak nie boli jak oparzenie". Media liberalne zdumiewająco mało mówiły o tym samobójstwie, podobnie politycy opozycji. Jakby byli zakłopotani wydarzeniem. Nie mieli takiego problemu publicyści prawicowi. Z tekstu Michała Karnowskiego: „Ależ się cieszą z tej śmierci. Ależ na nią czekali. (…) Skarbnik partyjny wspólnie z Sorosem już kombinują, ile będzie kosztowała szopka, którą zrobią z pogrzebu". W podobnym tonie mówił Rafał Ziemkiewicz: „Troszkę psuje całą narrację, że on jednak przeżył. Troszkę się tu śmialiśmy z tego samospalenia". Rzeczywiście, rechot Ziemkiewicza i Karnowskiego są tu na miejscu. Byłbym niespokojny, gdyby zareagowali inaczej.

Śmierć pana Piotra dopiero z czasem zaczyna torować sobie drogę do naszych sumień i oświetla je płomieniem.

Ta śmierć, najpierw zmilczana, dopiero z czasem zaczyna sobie torować drogę do naszych sumień i oświetla je płomieniem.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 514e77f55c

ZMĘCZENIE NIEBEZPIECZNE JAK ALKOHOL

Mniej niż cztery godziny snu kierowcy to 11-krotnie większe ryzyko wypadku

Tomasz Borejza

Każdego roku zmęczeni kierowcy powodują na amerykańskich drogach 1,2 mln wypadków, w których średnio co godzinę ktoś ginie. „Senność za kierownicą powoduje więcej wypadków niż jazda po pijanemu", przekonuje Matthew Walker w książce „Why we sleep" („Dlaczego śpimy"), która trafiła niedawno na listy bestsellerów w USA. Na poparcie tej pozostającej w kontrze do intuicji tezy autor przytacza wiele statystyk oraz argumentów. Zmęczony człowiek za kierownicą jest tak niebezpieczny, ponieważ – argumentuje profesor Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley – ktoś, kto zasnął, całkowicie przestaje reagować. Jego samochód zmienia się w śmiertelne zagrożenie dla niego i innych.

Badania prowadzone na zlecenie waszyngtońskiej Fundacji na rzecz Bezpieczeństwa na Drogach AAA pokazały, że jazda po mniej niż pięciu godzinach snu trzykrotnie zwiększa ryzyko wypadku. Kiedy siadamy za kierownicę, chociaż spaliśmy mniej niż cztery godziny, ryzyko rośnie 11,5 razy. I stosunkowo mniej ważne jest to, że częściej zasypiamy za kierownicą. Zabójczy jest tzw. mikrosen.

David Dinges z Uniwersytetu Pensylwanii zbadał, jak niedosypianie wpływa na naszą koncentrację oraz zdolność reagowania. Zrobił to za pomocą prostych testów, w których zadaniem uczestników było reagowanie na zapalające się światełka – badany miał nacisnąć odpowiedni guzik. By sprawdzić, jak niewyspanie wpływa na szybkość reakcji, podzielono ludzi na cztery grupy. W trzech badani spali osiem, sześć lub cztery godziny na dobę. W ostatniej nie spali przez trzy doby. Okazało się, że nie wolniejszy czas reakcji był tutaj największym problemem. Było nim to, że uczestnicy momentami zupełnie przestawali reagować. Ich zmęczony mózg co jakiś czas odcinał świadomość na kilkanaście sekund.

Wystarczyła doba bez snu, by liczba takich epizodów wzrosła o 400%. Każda kolejna powodowała przyrost liczby mikrosnów w postępie geometrycznym. Sześć nocy, w czasie których spano po cztery godziny, wpływało na uczestników równie źle jak doba bez snu. Po 11 nocach zachowywali się tak, jakby nie spali przez dwie doby. Nawet sześciogodzinny sen przynosił podobne skutki. Po 10 nocach takiego snu mózg badanych wyłączał się równie często jak po całej nieprzespanej dobie. Co gorsza, żaden z nich nie był tego świadom. Po kilkunastu sekundach budzili się i jakby nigdy nic kontynuowali naciskanie guzików. Kilkanaście sekund na drodze bywa wiecznością, pisze Walker.

Chroniczne popadanie w mikrosen to przypadłość ludzi, którzy regularnie nie dosypiają. Ale zagrożenie stanowią też ci, którzy po prostu są zmęczeni. O tym, jak duże to niebezpieczeństwo, przekonują badania australijskie. Sprawdzano w nich m.in., po ilu godzinach bez odpoczynku kierowca ma równie ograniczoną zdolność reagowania i koncentracji jak ten, który ma we krwi 0,8 promila alkoholu (jeszcze na początku lat 90. tyle wynosiła tam jego dopuszczalna zawartość we krwi kierowcy – podobnie jest wciąż m.in. w Wielkiej Brytanii). Odpowiedź brzmi: po 19 godzinach. A czas reakcji oraz poziom koncentracji zaczynają gwałtownie spadać już po 15 godzinach. Kiedy zaś zmęczenie miesza się z alkoholem – jakość reakcji pogarsza się dramatycznie.

Według policyjnych raportów w 2016 r. w Polsce przyczyną 655 wypadków było zaśnięcie lub zmęczenie kierowcy. Spowodowało to śmierć 98 osób. To mniej więcej 25% liczby wypadków, do których doprowadzili pijani kierowcy i piesi. Perspektywa zaprezentowana przez znanego neurobiologa jest jednak nowa i wymagałaby zastosowania innej metodologii. Nie po to oczywiście, by dowodzić, że jest coś gorszego od jazdy pod wpływem. Ale by hasło „Piłeś? Nie jedź", uzupełnić o inne: „Czeka cię podróż? Dobrze się wyśpij". Tym bardziej warto, że jazdę po czterech godzinach snu – inaczej niż po alkoholu – uznajemy za coś normalnego. ■

W Polsce przyczyną 655 wypadków w 2016 r. było zaśnięcie lub zmęczenie kierowcy. Zginęło w nich 98 osób.

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl 514e77f55c

Oj, zeby nie ta dziura w desce

Edward Mikołajczyk

Chodzą plotki, że pewna Kasia, dokładnie nie wiadomo która, jest w ciąży z rolnikiem szukającym żony. Ale to nic pewnego i niech Telewizja Polska jeszcze odczeka parę miesięcy, zanim ogłosi sukces w postaci własnego wkładu w rozwój dzietności w naszym kraju.

Żaden *reality show* nie jest odporny ani na błogosławione, ani na przeklęte skutki uczestnictwa młodych ludzi w telewizyjnej zabawie. Co się działo, kiedy 17 lat temu w Sękocinie rozpoczęła się budowa domu Wielkiego Brata i TVN zapowiedziała emisję „Big Brothera"?! Polska ze wszystkimi wartościami miała natychmiast się zawalić, tymczasem zawaliła się dopiero w roku 2005, kiedy zaczęły się rządy spółki PiS, Samoobrony i Ligi Polskich Rodzin.

A co się stanie za chwilę, kiedy jakaś stacja ogłosi, że zakupiła od Discovery Networks wypróbowany w Danii format „Ciąża z nieznajomym" i właśnie zaprasza na casting?! W programie eksperci dopasują przyszłych ojców do oczekiwań i wymagań przyszłych matek. Bez przymusu, bez czekania, aż zapłonie miłość, i bez urzędu stanu cywilnego. Chodzi o ciążę zaplanowaną przez singielkę, ciążę upragnioną, chcianą i niemal wykalkulowaną. Kobieta poszukuje nie męża czy partnera na całe życie, tylko ojca do roli sprawcy. Rodzice podzielą się odpowiedzialnością za wychowanie dziecka – tego, można by powiedzieć, nietypowego owocu *reality show* – ale nie zamieszkają pod jednym dachem, bo rodzicielka sobie nie życzy.

Przeciwnikom in vitro mógłby się nawet spodobać taki eksperyment premiujący użycie naturalnych środków. Dlatego o pierwszeństwo w prawach do zakupu „Ciąży z nieznajomym" powinna się u nas pobić Telewizja Trwam z telewizją z Woronicza. Przypuszczalnie tak nie będzie, bo wcześniej czy później któraś z nich odkryje bolesny feler antenowy projektu. Mianowicie niechcący można się z niego dowiedzieć, skąd się biorą dzieci, bez doktrynalnego uzgodnienia z polskimi podstawami programów nauczania w szkole.

Warto ośmielić przyszłego, poważnego polskiego nabywcę praw do nowego formatu. Nie niesie on dla uczestniczek i uczestników programu skutków dotkliwszych, niż wywoływały i nadal wywołują inne *reality shows* na polskim rynku. Można nawet powiedzieć, że w odróżnieniu od wszystkich dotychczasowych projektów przyniesie wiele rozległych pożytków. Przede wszystkim podda osądowi publicznemu, a więc także rewizji, modne nowe rozwiązania i tradycyjny model współżycia. Stworzy okazję do głębszej refleksji nad życiem, to prawda, że na cudzym przykładzie, ale nie cudzym kosztem. Po raz pierwszy bowiem w długiej już historii gatunku, jakim jest w telewizji *reality show*, uczciwie zarysowany i jasny jest cel programu, a środki, jakich telewizja zamierza użyć, nie przekraczają granic obyczajów nie tylko duńskich, ale także polskich.

Tylko jeden tytuł z tego gatunku, mianowicie „Warsaw Shore: Ekipa z Warszawy", wzorowany na równie zasobnym intelektualnie, amerykańskim shicie z New Jersey, przyjmuje do programu i wydala z niego takich samych ludzi, z tymi samymi deficytami zarówno po, jak i przed. We wszystkich pozostałych programach można w odniesieniu do ich uczestników mówić, że już zawsze i do końca życia będą inni niż przed występem w telewizji, niezależnie od tego, czy czują się ofiarami *show*, czy żyją w przekonaniu, że zrobili kariery albo jakoś inaczej wyszli na swoje, czy tylko zaistnieli publicznie w zgodzie z własnymi wyobrażeniami o potrzebie zaistnienia.

A publiczność telewizyjna? Rzadko sobie uświadamia, że nawet kiedy mówi, że *show* jej się nie podoba, doznaje ubogacenia. Nic bowiem złego nie rodzi się z mieszania własnej rzeczywistości z telewizyjną *reality*. Dlatego polecam „Ciążę z nieznajomym" i będę bronił „Rolnika, który szuka żony", niezależnie od tego, czy Kasia jest w ciąży i czy jest to wina, czy zasługa TVP.

W góralskiej przyśpiewce, od której zacząłem, tak to dalej leciało: „byłaby Kasia / Kasia by była / byłaby Kasia pannom jesce". ■

FOT. DEMOTYWATORY

BEZPŁATNY NEWSLETTER ZAPRASZAMY

Kto już się zapisał? Jeśli nie, to można to zrobić na stronie **www.tygodnikprzeglad.pl**, podając swój adres e-mail lub dzwoniąc do redakcji, **tel. 22 635 84 10 wew. 111**.

Dostając newsletter, w każdy poniedziałek otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGLĄDU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.

BĄDŹMY W KONTAKCIE!

eprasa.pl 514e77f55c

SZEŚĆ GODZIN NA WAGĘ ŻYCIA

Aby lepiej ratować ludzi, należałoby stworzyć 30-40 centrów interwencyjnych, do których trafialiby pacjenci po udarze

Rozmawia Barbara Jagas

Kierownik Centrum Interwencyjnego Leczenia Udaru i Chorób Naczyniowych Mózgu oraz Zakładu Neuroradiologii Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie

DR HAB. ADAM KOBAYASHI

Właśnie wrócił pan z kolejnego sympozjum naukowego w Stanach Zjednoczonych. Co się tam mówiło o udarach?

– Sporo się mówiło o trombektomii, czyli mechanicznym usuwaniu skrzepliny powodującej udar niedokrwienny mózgu przez zatkanie naczynia mózgowego. Jest to najnowocześniejsza metoda leczenia udaru, chociaż pierwsze zabiegi wykonywano na początku XXI w. Po kilkunastoletnich testach różnego rodzaju urządzeń nareszcie udało się stworzyć skuteczną metodę, która powinna być w Polsce standardem w leczeniu.

W tej metodzie zakłada się stent, zatyczkę hamującą rozlanie się skrzepliny, co jest przyczyną udaru.

– Tak, zakłada się stent, który ma chwycić skrzeplinę i ją wyciągnąć. Nie zostawia się go na stałe, jak w przypadku zawału serca. Skrzeplinę odsysa się też za pomocą specjalnych cewników i pomp.

Państwo to już stosują w instytucie.

– Tak, ale niestety NFZ jeszcze nie refunduje tych zabiegów. Jednak jakoś sobie radzimy, chociaż na razie nie mamy systemu dyżurowego.

Rozumiem, że metoda jest coraz bardziej unowocześniana.

– Udoskonalane są stenty, pompy, a przede wszystkim mamy coraz większą praktykę w stosowaniu tej techniki, co sprawia, że trombektomia staje się metodą nie tylko coraz skuteczniejszą, ale i bezpieczniejszą.

Jakie są ograniczenia w jej stosowaniu?

– Nie można jej stosować w udarach krwotocznych, podczas których pęka naczynie i wylewa się krew. Wykorzystujemy ją natomiast w udarach niedokrwiennych, gdy chodzi o zahamowanie martwicy, która jest następstwem zatkania naczynia. Ale też nie każdy pacjent się kwalifikuje do operacji, tylko ok. 10-20%.

Jakie osoby się nie kwalifikują?

– Te, u których skrzeplina zatka dużą tętnicę. A są to najcięższe udary, bo im większa zakrzepnięta tętnica, tym większe niedokrwienie. W pozostałych przypadkach trombektomia jest skuteczna – pod warunkiem że zastosujemy ją przed upływem sześciu godzin od wystąpienia objawów.

Ani chwili później?

– Z drugiej strony wiemy też, że jest to kwestia indywidualna, ponieważ przepływ krwi w mózgu przebiega różnie i niektóre osoby są w stanie dłużej przetrwać z udarem bez niedobrych konsekwencji. W niektórych przypadkach w czasie do 24 godzin od udaru możemy wyciągnąć tę skrzeplinę. Ale im szybciej pacjent trafi do specjalisty, tym lepiej.

A wiek jest ograniczeniem?

– Nie, nie ma on znaczenia dla stosowania tej metody.

Co należałoby zrobić, aby lepiej ratować ludzi po udarze?

– Musiałoby powstać 30-40 centrów interwencyjnych, do których trafialiby pacjenci po udarze. W tej chwili mamy w kraju 170 oddziałów

UDAR MÓZGU

Co roku udar mózgu dotyka 70 tys. Polaków, 30 tys. z jego powodu umiera. Jest to trzecia, po chorobach serca i nowotworach, przyczyna śmierci i pierwsza przyczyna trwałej niepełnosprawności wśród Polaków po 40. roku życia.

Przyczyną udaru jest uszkodzenie lub zablokowanie naczynia krwionośnego doprowadzającego tlen i substancje odżywcze do mózgu. W efekcie udaru następuje odcięcie części mózgu od dopływu tlenu i w konsekwencji jego obumieranie. Większość, ok. 85% udarów, to udary niedokrwienne, których przyczyną jest zamknięcie naczynia krwionośnego, np. kiedy skrzepliny powstałe w sercu na skutek arytmii, takiej jak migotanie przedsionków, przedostaną się wraz z krwią do mózgu i zablokują jedną z tętnic. Rzadziej występują udary krwotoczne, potocznie nazywane wylewami. Dochodzi do nich na skutek uszkodzenia ściany naczynia krwionośnego i wydostania się krwi do mózgu.

Ryzyko wystąpienia udaru mózgu zwiększają nadciśnienie tętnicze, choroba niedokrwienna serca i migotanie przedsionków. Do czynników ryzyka należą także cukrzyca, otyłość, brak aktywności fizycznej, nadużywanie alkoholu, palenie tytoniu. Zmiana stylu życia, rozpoznanie, a następnie leczenie chorób wywołujących ryzyko powstania udaru mózgu są kluczowe w zapobieganiu mu.

eprasa.pl 514e77f55c

OBJAWY ALARMOWE

Udar może się zdarzyć człowiekowi w każdym wieku. Rozpoznanie jego objawów, natychmiastowe wezwanie pogotowia i przewiezienie chorego do szpitala z oddziałem udarowym mogą uratować mu życie.

Objawy udaru mózgu:

- **jednostronne osłabienie albo drętwienie kończyn,**
- **zaburzenia w rozumieniu mowy lub niemożność wypowiadania słów,**
- **bardzo niewyraźna mowa,**
- **zaburzenia widzenia, zwłaszcza w jednym oku,**
- **niepewny chód, jak u pijanego,**
- **ostry, kłujący ból głowy.**

Jeśli je zauważysz, dzwoń po pogotowie.

Czasem jednak udar nie daje takich wyraźnych objawów, a ktoś tylko źle się czuje. Wtedy warto zrobić prosty test wykluczający udar. Należy poprosić osobę, aby uniosła ręce przed siebie. Jeśli jedną będzie trzymała wyżej od drugiej, zachodzi prawdopodobieństwo udaru. Można ją też poprosić, aby ścisnęła dłoń badającego jedną ręką, a potem drugą. Różnica siły uścisku może wskazywać na udar. Podobną wskazówką jest niemożność dotknięcia palcem swojego nosa przy zamkniętych oczach.

udarowych, ale nie spełniają one takiej funkcji. W centrach interwencyjnych specjaliści od trombektomii powinni mieć do dyspozycji najwyższej klasy urządzenia do diagnostyki radiologicznej i współpracować ze specjalistami w tej dziedzinie. Natomiast na oddziałach udarowych leczenie powinno być połączone z rehabilitacją.

Czy dobrze zrozumiałam, że pacjenci ze 170 oddziałów udarowych trafialiby dopiero potem na trombektomię do ośrodków interwencyjnych? A gdzie kwestia czasu?

– Przy odpowiedniej logistyce nie powinno to mieć znaczenia. Poza czasem ważne są doświadczenie i umiejętności oraz przygotowanie ośrodka do dalszego leczenia tego typu pacjentów. Jeśli każdy ze 170 ośrodków miałby robić trombektomię, byłoby to maksymalnie 10-20 takich zabiegów w każdym z nich rocznie i operatorzy nie nabraliby wystarczającego doświadczenia. Ośrodki interwencyjne muszą być w miejscach, gdzie są oddziały udarowe, bo poza wykonywaniem trombektomii sprawują opiekę nad każdym pacjentem z udarem.

Czy są jakieś inne nowoczesne metody leczenia udaru poza trombektomią, skoro to nie jest metoda dla każdego?

– Dużo się ostatnio mówi o stosowaniu hipotermii.

Czemu miałaby służyć?

– W tej metodzie chodzi o zmniejszenie zużycia energii przez mózg po to, by zahamować rozległość niedokrwienia. Jest to możliwe dzięki schłodzeniu pacjenta i, co za tym idzie, jego mózgu oraz zmniejszeniu jego metabolizmu.

A jeśli chodzi o leki?

– Są to leki neuroprotekcyjne – zapobiegające szerzeniu się martwicy. Ale nie do końca jeszcze przebadane.

Nie używa się ich?

– Nie, czekamy na takie, które będą skuteczne.

A jeśli chodzi o profilaktykę udarową? Jakie tu są nowości?

– Mamy wiele nowych leków przeciwkrzepliwych, które są skuteczne i bezpieczne.

To na koniec pytanie o supernowości. Czy w świetle najnowszej wiedzy mózg da się zregenerować?

– Trwają badania nad komórkami macierzystymi, bo mózg sam jako tkanka się nie odradza... Natomiast na pewno ma on możliwości kompensacyjne, polegające na tym, że inne części mózgu przejmują funkcje, które uległy uszkodzeniu. Na tym polega rehabilitacja – aby stymulować pozostałe, zdrowe części mózgu, które były dotychczas niewykorzystywane.

W tej dziedzinie efekty są coraz większe.

– Tak, wiemy już, że mózg jest plastyczny i istnieją te możliwości kompensacyjne. Natomiast wciąż jeszcze mało znane są możliwości regeneracyjne mózgu.

Ale wiadomo, że one są i to jest wielka nadzieja. Co zatem z komórkami macierzystymi?

– Chodzi pani o to, aby wszczepiać je w te obszary mózgu, które uległy martwicy na skutek udaru?

Tak.

– Jest to technicznie możliwe, jednak na razie nie mamy danych na temat skuteczności i bezpieczeństwa tej metody. Ale pierwsze badania w tym kierunku są już prowadzone w Wielkiej Brytanii i innych krajach. ■

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 514e77f55c

Mariusz Sepioło

SPRĘŻ

Agnieszka Bielecka: We wspinaczce wysokościowej płeć nie ma żadnego znaczenia

Właśnie wróciła z Tychów, niedawno wysiadła z pociągu. Ma dwie doby, żeby pożyć u siebie. Chociaż dla niej dom jest pewnie wszędzie tam, gdzie można rozłożyć karimatę i namiot. W środowisku mówią, że jest mocna. Ona sama nazywa to „sprężem". Czymś, co pcha do przodu, do góry.

Jej chłopak tylko się wita i znika. Czasem wychodzi na balkon, żeby zapalić. Chyba trochę się irytuje: ma ją tylko na kilka dni, Agna za chwilę wyjeżdża z wycieczką do Omanu, a tu dziennikarz wyjmuje z ich wspólnego życia kilka cennych godzin.

– To dla mnie ważne – mówi Agna. – Co jakiś czas wrócić do miasta, pochodzić po ulicach, wypić piwo w pubie. Przytulić się do chłopaka w ciepłym łóżku. Normalnie pożyć.

SIOSTRA

Pierwsza wzmianka poświęcona Agnie w książce Adama Bieleckiego, jej brata, to jej osiemnastka i jego złamana stopa. (…) Agnieszka z bratem nigdy nie rywalizują. Przeciwnie – razem będą jeździć na wyprawy, wspierać się, pomagać nawzajem i wzajemnie nad sobą czuwać. To Adam pierwszy zaczyna interesować się górami. Po latach powie, że jako nastolatek pochłaniał górskie książki. Podczas któregoś z wczesnych wyjazdów w Tatry do jego ekipy dołącza siostra. Potem pojadą wspólnie na Pik Lenina, gdzie Adama porwie lawina, a Agna zgubi się po drodze.

Zawsze mogą liczyć na wsparcie rodziców, szczególnie ojca, który nieraz ratuje dzieciom skórę: przegląda prognozy pogody, pomaga ustalić trasę. (…)

Agna dużo podróżuje. Dociera na nowe kontynenty, i to różnymi środkami transportu. Kiedyś przepłynie Atlantyk jachtem, będzie żeglować podczas sztormów.

Piotr Tomala, himalaista:

– Poznałem Agnę na odprawie u Artura Hajzera przed wyjazdem na Dhaulagiri. Nasze środowisko jest jak mały okręt, na którym wszyscy pasażerowie się znają, więc od razu wiedziałem, kim ona jest. Była świeżo po przepłynięciu Atlantyku. (…)

Agna jest jak kot: zawsze spada na cztery łapy. Podobnie jak brat będzie niezmiennie mocnym punktem ekipy, oparciem. Podczas swojej pierwszej wyprawy w Himalaje jest kierowniczką bazy: czuwa nad logistyką, komunikacją, organizacją życia codziennego. I już wtedy przechodzi trudny egzamin z odpowiedzialności. Z sąsiedniej wyprawy, która z polską narodową wyprawą dzieliła przez ponad dwa miesiące bazę, nie wraca troje ludzi. Zginęli podczas próby ataku szczytowego.

KOBIETA

Agna i Adam idą łeb w łeb. Czy traktowano ją inaczej, ponieważ jest kobietą?

– W sportach wytrzymałościowych nie ma większej różnicy między możliwościami kobiet i mężczyzn – mówi Bielecka. – Wiadomo, że sprintu żadna nie pobiegnie tak szybko jak facet. Ale w górach wysokich, we wspinaczce wysokościowej, w sportach wydolnościowych – płeć nie ma żadnego znaczenia. Niczego nie muszę nikomu udowadniać, nie mam takiej potrzeby. Mam poczucie, że „pierwsze kobiece wejście" czy „pierwsza kobieca wyprawa" to może było potrzebne w czasach Wandy Rutkiewicz czy Arlene Blum, kiedy kobiety traktowano jako ozdobę wypraw, a nie partnerów. (…) Podkreślanie kobiecego wejścia czy wyprawy w obecnych czasach ma w mojej opinii sens co najwyżej marketingowy.

– To dla mnie ważne – mówi Agna Bielecka. – Co jakiś czas wrócić do miasta, wypić piwo w pubie. Przytulić się do chłopaka w ciepłym łóżku. Normalnie pożyć.

Na szczycie Broad Peaku, 27 lipca 2014 r. Od lewej: Piotr Tomala, Agnieszka Bielecka i Marek Chmielarski.

Jak układają się stosunki Agny ze wspinaczami?

– Na moich wyprawach, z niewielkimi wyjątkami, były w zasadzie same chłopy. I luz, pełna współpraca – twierdzi. – Miałam z chłopakami zupełnie partnerski układ. Traktowaliśmy się jak równi.

Rzecz wyglądała nieco inaczej, kiedy spotykała starszych wspinaczy. Jak sama zauważa:

– Czasami miałam wrażenie, że to kwestia pokoleniowa. Jak się zdarzali w bazie polscy wspinacze ze starszego pokolenia, to partnerskiego traktowania nie było. Dla nich byłam maskotką. Choć i od tego też są wyjątki. Należy do nich choćby Artur Hajzer. (…)

Piotr Tomala, partner Agny z wypraw na Dhaulagiri i Broad Peak, opowiada:

– Rzeczywiście, Agna ma „spręża". To nie tylko to parcie do góry, niepoddawanie się mimo trudności, ale także głód wspinania, który w sobie ma. (…) Spędzanie czasu z samymi

eprasa.pl 514e77f55c

facetami na małej przestrzeni przez cztery-pięć dni nie jest dla kobiety łatwe. Zdarzają się niewybredne żarciki, jak to w męskich kręgach, najczęściej z założenia niewinne i sympatyczne, lecz dla wielu kobiet przykre. Ale nie dla Agny. Kobiecie w bazie jest trudno, a wyżej, w obozach, jeszcze trudniej. Na przykład w kwestiach fizjologicznych. Jeśli chce się siku, a siedzimy w jednym namiocie, to trzeba się odwrócić i już. Agna takimi rzeczami się nie przejmuje, w ogóle nie przywiązuje do nich wagi.

KIEROWNICZKA BAZY

Jest 2012 r. Brat Agnieszki zdobywa zimą Gaszerbrum I razem z Januszem Gołąbem (po raz pierwszy w historii). Obaj zapisują się w historii i potwierdzają, że stać ich na wiele. Agna przebywa wtedy u podnóży, sprawuje odpowiedzialną funkcję – jest kierowniczką bazy. Bielecki i Gołąb, a także Gerfried Göschl, Cedric Hählen i Nisar Hussain idą do góry.

Agna wspomina trwogę tamtego czasu:

– Przeżyłam tam największą traumę, największe rozklekotanie wewnętrzne w moim życiu. Wtedy w ogóle nie znałam się na wyprawach himalajskich. Choć na szczęście stosunki w bazie były świetne, bardzo koleżeńskie, pozbawione aspektu współzawodnictwa. Wyobrażenia świata zewnętrznego i mediów są takie – jak ostatnio powiedział mój brat – że skaczemy sobie do gardeł, ścigamy się, kto będzie pierwszy na szczycie. Nic z tych rzeczy! Każdy ma swoją drogę, swój cel. Nie ma żadnej morderczej rywalizacji.

Zgodnie ze słowami Agny, zespół Gerfrieda Göschla umawia się z Arturem Hajzerem, że razem zaplanują atak szczytowy. Ale okno pogodowe na szturm w zimie trafia się tylko jedno, czasem zdarzą się dwa, ale nie więcej. Ekipy wspólnie analizują prognozy pogody i wymieniają się informacjami.

Zastanawiają się, jak znaleźć się tego samego dnia na szczycie. Tak, żeby wszyscy dokonali tego jako pierwsi.

Agna siedzi w bazie jak na szpilkach. Po jednej stronie wspinają się jej brat Adam i Janusz Gołąb. Po drugiej zespół Göschla. Dla obu ekip Agna jest jedynym źródłem wiedzy o pogodzie i warunkach.

– Mam Adama i Janusza cały czas na nasłuchu, jesteśmy ciągle w kontakcie – opowiada dzisiaj Agna. – Z drugiej strony mam Gerfrieda, który odzywa się, jak chce. Czasem więc przerwy w łączności trwały pół dnia, czasami cały dzień i nie było wiadomo, co się dzieje. Przed ostatnim kontaktem z Gerfriedem cisza trwała 24 godziny, więc już wtedy byłam mocno zdenerwowana. Ostatni kontakt nawiązaliśmy już po tym, gdy chłopaki – Adam i Janusz – weszli na szczyt. Gerfried o tym usłyszał. Musiałam mu powiedzieć, nie widziałam powodu, żeby tego nie robić. Usłyszałam wtedy, że jego ekipa czuje się dobrze, ale poszło im trochę wolniej, niż się spodziewali – relacjonuje tamtą pierwszą wyprawę Agna.

Jak się zdarzali w bazie polscy wspinacze ze starszego pokolenia, to partnerskiego traktowania nie było.

– Dzień, maksymalnie dwa dobrej pogody umożliwiającej atak szczytowy – dopowiada – oznaczają, że do ostatniego obozu trzeba dojść w złej pogodzie. Na Gaszerbrum I pogoda nie pozwoliła na dotarcie do trójki i chłopaki musieli się cofnąć do obozu II. Gdy nie udało się wejść do trójki w zaplanowanym terminie, wspólnie zastanawialiśmy się, czy jest szansa na kolejną próbę. Wtedy po analizie prognoz powstała koncepcja nocnego wyjścia do ataku szczytowego, tak żeby na szczyt wejść o świcie 8 marca. Wiadomo było, że 8 marca koło południa załamie się pogoda – jedyną szansą na wejście na szczyt w tej sytuacji było więc wyjście z ostatniego obozu 7 marca w nocy. W tym czasie właśnie miałam przerwę w kontaktach z Gerfriedem.

Na szczycie duet wspinaczy staje ok. 8.45. 15 minut później odzywa się Göschl. Mówi, że chce wychodzić do szczytu z ostatniego obozu. Dla niego i jego zespołu jest już zdecydowanie za późno.

Agna pamięta, jak bardzo była podekscytowana tym, że Austriak żyje i się odezwał, i że zrugała go potem za milczenie. Emocje sięgały zenitu.

– Z tego wszystkiego nie byłam potem pewna, czy wystarczająco dobitnie przekazałam im, że w żadnym wypadku nie mogą iść do góry, bo za sześć godzin będzie tam piekło

eprasa.pl 514e77f55c

– wspomina dziś Agna. – Oglądałam filmy, które Darek Załuski nagrywał podczas wszystkich rozmów radiotelefonicznych w czasie obu ataków, i okazało się, że ta kluczowa informacja została przekazana. Powiedziałam, że pogoda jest tylko do 12.00.

To była ostatnia wymiana informacji z Gerfriedem Göschlem; nigdy więcej już go nie usłyszy.

Bielecki i Gołąb schodzą do obozu II, gdzie spędzają noc. Mija 12 godzin, potem 30. Artur Hajzer przestaje mieć wątpliwości. Na nagraniu filmowym, na którym Bielecki i Gołąb schodzą, widać, że na zboczu góry silnie wieje wiatr, pada mocny śnieg. (…)

– Zastanawiałam się, co mam robić. Zawiadamiać Mohameda, naszego ówczesnego agenta, który był wtedy w Berlinie, czy organizować akcję ratowniczą? Wcześniej Gerfried nie odzywał się 24 godziny, jak na razie jeszcze nie minęło tyle czasu. Nie wiem… Jednocześnie zaczęła do mnie dzwonić na telefon satelitarny żona Gerfrieda. Tak, w końcu odebrałam. Ktoś musiał. (…)

– Przedstawiałam tę sytuację szczerze, tak jak ją widziałam – pełna nadziei, że wszystko będzie dobrze – ale jednocześnie nie ukrywałam niesprzyjających okoliczności – mówi Agna.

Pamięta, jakby to się wydarzyło wczoraj:

– Rozmawiałam z kobietą, która pełna niepokoju i nadziei czekała. W trakcie tej rozmowy, kiedy staram się być rzetelna, słyszę, jak jej się załamuje głos, jak próbując być osobą racjonalną i rzeczową, zwyczajnie się łamie, puszczają jej emocje. Potem dochodziłam do siebie parę godzin – przyznaje młoda kierowniczka.

Gerfried się nie odzywał. Nie wrócił żaden z nich. Czy Agna coś sobie wyrzuca?

– Krążyło mi potem po głowie, że może mogłam być trochę bardziej kategoryczna. Nie miałam doświadczenia, nie wiedziałam, że do ludzi na takiej wysokości trzeba mówić krótko, prosto i rzeczowo, bardzo stanowczo, nie liczyć na ich zdrowy rozsądek, bo jego tam po prostu nie ma. Poza tym brakowało mi bezczelności, żeby mówić takiemu Gerfriedowi, co ma robić. (…) Ogarniałam bazę, kręciłam filmiki, robiłam relacje, które mi zdawały chłopaki, liczyłam, ile mamy zapasów, przekazywałam prognozę pogody. Tyle. Nie podejmowałam strategicznych decyzji, nie przyszło mi to nawet do głowy. Nie miałam wpływu na ich decyzje, z wielu względów. Absurdem jest myślenie, że mogłam ich uratować. Nikt nie mógł – mówi Agna.

Kobiecie w bazie jest trudno, a wyżej, w obozach, jeszcze trudniej. Na przykład w kwestiach fizjologicznych.

To nie znaczy, że nie zadaje sobie pytania o przyczynę tragedii. „Myśmy mieli inne zasady", stwierdza. W polskiej ekipie obowiązywała zasada kontaktu.

– Jak chłopcy raz ruszyli do góry, a mi w namiocie padły baterie w radiu i poszłam spać, to dostałam od Hajzera opieprz, że nie można się było ze mną połączyć. Od tego czasu mieliśmy stały nasłuch, obowiązkowo. Byliśmy w tak bliskim kontakcie, że mogliśmy śledzić prawie każdy swój ruch. (…)

ROZPRĘŻONA

W 2013 r. na Dhaulagiri Bielecka ma poczucie, że ekipa, z którą jest, ma słabego „spręża".

– Niestety, wszystko się tam rozłaziło – mówi dzisiaj. – Warunki były faktycznie takie sobie, ale na Lhotse też mieliśmy podobne, a jednak działaliśmy, nikt się na nikogo nie oglądał, tylko zakasywaliśmy rękawy i do góry. Tu brakowało mi zdecydowania. (…)

Żadna decyzja o odwrocie nie jest złą decyzją.

Po długim czekaniu na lepszą pogodę Agna stwierdza, że musi się ruszyć. Startuje z Jerzym Natkańskim. Ale po drodze powinie im się noga.

– W drugim wyjściu, już po założeniu jedynki, bardzo długo szukaliśmy miejsca na założenie II obozu. Załamała nam się pogoda, rozbiliśmy tę dwójkę trochę chaotycznie – każdy tam, gdzie znalazł bezpieczne miejsce.

Wtedy pogoda sypie się zupełnie. Rano wszyscy więc znoszą sprzęt w jedno miejsce i zostawiają depozyt na samej grani, oznaczając go tyczkami.

– Nie wiem, dlaczego nie zaznaczyliśmy tego punktu na GPS – mówi Agna. – Krótko mówiąc, kiedy następnym razem poszliśmy z Jurkiem zakładać dwójkę, depozytu nie było. Spędziliśmy tam pół dnia, przekopując śnieg, i nie znaleźliśmy śladu! Po nas wyszła druga ekipa, też go nie znalazła. Trzeba było wszystko wynosić od nowa i zakładać dwójkę jeszcze raz. W końcu stanęła niżej, dużo za nisko. Zwątpiłam trochę w mój zespół.

Agnieszka nie wierzy, że z taką ekipą szarpną się na atak szczytowy, zaczyna więc rozmawiać z Hiszpanami, którzy doszli na miejsce. Tego dnia ma urodziny, więc wybierając się do hiszpańskiego obozu, bierze butelkę pod pachę. Zaczyna wypytywać, czy jeśli w jej zespole nie będzie chętnych, to będzie mogła zabrać się z nimi. W drodze do obozu I na Dhaulagiri jest odcinek pełen niebezpiecznych szczelin. Na tym odcinku w 2008 r. zginął Piotr Morawski. Agna wie, że lider wyprawy, Jerzy Natkański, nie puści jej samej do ataku szczytowego. Żadnych samotnych rajdów! – powtarza.

Wtedy pojawia się okno pogodowe i wszyscy nagle wychodzą do góry. Mają fatalną aklimatyzację, bo nikt wcześniej nie był nawet w trójce. Wcześniej trzeba było wynieść depozyty, idą więc do góry w trójkowym zespole: Jerzy Natkański, Piotr Tomala i Bielecka. Znowu zaczyna mocno wiać i Natkański zarządza odwrót. Agna idzie do końca poręczówek, żeby złapać chociaż trochę aklimatyzacji. Chce dojść, dokąd się da, bezpiecznie, na poręczach, a potem zawrócić.

Prze do góry. Jednak w pewnym momencie kończą się poręczówki, a zaczynają lód i naga skała. Agna siada na kamieniu, wyciąga kamerę i nagrywa filmik, w którym narzeka prawie z płaczem, że znowu musi wracać, choć wcale nie jest tak źle, wieje, ale da się wytrzymać i można założyć trójkę. Ale decyzja zespołu brzmi: odwrót.

eprasa.pl 514e77f55c

Na zachodniej ścianie Lhotse, wrzesień 2012 r.

Na dole himalaistka znowu dogaduje się z Hiszpanami. W końcu wszyscy wyruszają razem. Jednak z trójki wychodzi tylko polska ekipa, zdaniem Agny – za późno. Po 200 m zespół decyduje, że wraca. Agna przeżywa chwilę trwogi, bo oznacza to, że nie ma z kim iść dalej.

– Byłam wściekła, ale z perspektywy czasu uważam, że żadna decyzja o odwrocie nie jest złą decyzją – mówi.

W końcu Agna decyduje się na atak w dwójkowym zespole z Pawłem Michalskim z sąsiedniej wyprawy, którego partner został zmuszony do zawrócenia do trójki.

– Byliśmy z Pawłem pierwszymi osobami w tym sezonie, które poszły powyżej wysokiej trójki. Miałam ochotę powalczyć, bo zawrócić zawsze można. Zupełnie nie czułam, żeby to był moment, w którym chcę się poddać. Usiedliśmy w miejscu właściwej trójki na 7400 m n.p.m. i czekaliśmy nie wiadomo na co. W końcu Paweł stwierdził: dobra, siostra, idziemy! (…)

Idą równo, dobrze się czują, w miarę szybko pokonują wysokość. Nakręcają się nawzajem. W głowie Agna odtwarza szkolenie z Arturem Hajzerem. Hajzer ostrzegał, że w warstwie szczytowej Dhaulagiri jest odcinek techniczny, potem żleb śnieżny, kamień (tzw. Kamień Gerlinde), trawers przez śnieg, a w końcu „otwarta książka", czyli strome podejście na grań szczytową, którym idzie się na przełęcz.

– Tam, obok ciała w różowych albo zielonych butach, ma być punkt orientacyjny – tłumaczy Agna. – Potem trzeba iść w lewo i za 20 minut dociera się do szczytu.

Paweł Michalski nie był pewny, gdzie iść dalej. Zamiast dołem, jak kazał Hajzer, ruszyli górą, gdzie dostrzegli szczątki poręczówek. Agnieszka miała słabą aklimatyzację. Jak wspomina:

– Wtedy chyba pierwszy i ostatni raz zdarzyła mi się sytuacja, kiedy mój umysł zaczął ze mną pogrywać. Widziałam to, co chciałam zobaczyć.

Majaczą gdzieś poręczówki, których nie ma, a kamienie przypominają plecaki.

– Tam, na górze, decyzje podejmuje się bardzo impulsywnie. Dlatego plan ataku szczytowego należy robić w bazie, dużo wcześniej. Jedyna zmiana, jaką możesz na wysokości wprowadzić do tego planu, to decyzja o odwrocie – wyłuszcza zasadę bezpieczeństwa Agna.

Tymczasem idą z Pawłem na szczyt, ale po drodze ona gorzej się czuje. (…) Potem, kiedy on chciał zawracać, to ona go mobilizowała.

– W ten sposób nawzajem się ciągnęliśmy – mówi dalej Agna. – Wyleźliśmy na grań Dhaulagiri i wtedy wszystko stało się jasne.

Okazało się, że są na wysokości 8100 m n.p.m., a od szczytu dzieli ich około trzech godzin drogi. „Totalna załamka", wspomina Agna. Zobaczyli, że poszli tzw. drogą pierwszych zdobywców, która na Dhaulagiri wyjątkowo nie jest najłatwiejszą drogą – choć początkowo naturalnie się narzuca. Po wyjściu na grań szczytową okazuje się jednak, że pomimo niewielkiej już deniwelacji droga do szczytu jest długa i trudna. Było za późno, żeby kontynuować.

– Najzwyczajniej w świecie pobłądziliśmy jak ostatnie łosie, zamiast się trzymać analizy i planów, poszliśmy na żywioł – ocenia Agna.

Spontaniczne decyzje podejmowane na tej wysokości rzadko się opłacają.

SAMA

Z wyprawy Bielecka wraca więc znów bez szczytu. Jest przełom wiosny i lata 2013 r. Kilkadziesiąt dni po tragedii na Broad Peaku, w której zginęli Maciej Berbeka i Tomasz Kowalski. Po powrocie z Dhaulagiri Agna nie zdąży się spotkać z Arturem Hajzerem, który już szykuje się do wyprawy na Gaszerbrum I. Spędza dobę u znajomych w Warszawie, stamtąd wybiera się na Denali w Stanach Zjednoczonych, najwyższy szczyt Ameryki Północnej. Z Hajzerem rozmawia kilka godzin przez telefon. Opowiada mu o wyprawie i pechu, który znowu ją spotkał. Artur uspokaja, że jeszcze będzie szansa, to nic straconego. Jeszcze nieraz spotkają się na wyprawie – zapewnia.

To będzie ich ostatnia rozmowa. (…)

Fragmenty książki Mariusza Sepioły *Himalaistki. Opowieść o kobietach, które pokonują każdą górę*, Znak, Kraków 2017

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 514e77f55c

Człowiek z rybą

Artykuł „Człowiek z rybą" o dalekim od kultury stylu jazdy kierowców z symbolem ryby na karoserii samochodu wywołał emocjonalną dyskusję na naszej stronie na Facebooku. Oto niektóre wypowiedzi.

OBSERWACJE

Renata Kłosowska

CZŁOWIEK Z RYBĄ

To dla mnie pozer i cham, co się rozpycha łokciami. Jego ryba to rekin ludojad

Właśnie tak cham z rybką zachował się dzisiaj około godz. 15 na ul. Wojska Polskiego w Olsztynie. Zachciało się debilowi trąbić i popędzać innych.

Ryszard Walenciak

•

Dziś w godzinach szczytu, al. Krakowska. Z lewego pasa na prawy, natychmiast, bo „rybka" się śpieszy, nie zważając na innych użytkowników. Deszcz, ślisko, ale nie ma to znaczenia. Jestem panem, królem szos.

Tadeusz Kalinowski

•

Jakieś 12 lat temu wykańczaliśmy nowy dom ludziom bardzo mocno deklarującym wiarę. Prace trwały około miesiąca, więc zdążyliśmy się przyjrzeć tej rodzinie. Auto inwestora wyklejone rybkami, Jezusami itp. W nowym domu zamieszkali też jego teściowie, którzy sprzedali mieszkanie na Śląsku. Od początku jakieś chamskie odzywki zięcia do teściów, typu: „Odp… się, to nie twój dom". Kiedy kończyliśmy, zięć rzucił się na teścia, powalił go na ziemię i dusił. Prawdziwie katolicka miłość i wdzięczność za to, że ktoś poświęcił swoje mieszkanie, aby mogli wziąć kredyt i kupić ten dom.

Boj Przemula

•

A ilu chamów jeździ bez rybki? Chamem może być i chrześcijanin, i muzułmanin, i ateista, a nawet pewnie buddysta czy szamanista.

Robert Śmigielski

•

Jaki pięknie lewicowo wrażliwy społecznie tekst! Uogólnienie na podstawie zachowań kilku palantów. Skreślenie całej wielkiej grupy społecznej z powodu kilku incydentów. Śmielej, towarzyszko, śmielej! Po co się ograniczać do katolików?

Przemek Getka

•

Chamstwo i egoizm nie mają ideologii. Równie dobrze można wieszać psy na egoistach, którzy krzyczą „równość, wolność, demokracja", tyle że wolność rozumieją jako „mogę robić, co mi się podoba", nie liczą się z innymi w imię swojej nieograniczonej wolności. Nie chcę wyrokować, czy to cecha tylko naszych rodaków, ale takie lekkomyślne zachowania to smutna codzienność. Poczynając od parkujących w niedozwolonych miejscach w taki sposób, że ich pojazdy stwarzają zagrożenie, poprzez pieszych przechodzących przez jezdnię w niedozwolonych miejscach, kompletnie niezważających na warunki drogowe, kończąc na ludziach zajmujących całą szerokość chodnika, którzy nie reagują na prośby o przesunięcie się. Wydaje mi się, że takie zachowanie jest oznaką kompletnego braku zrozumienia idei prawa. Przeciętny Polak uważa, że przepisy są tworzone, aby go ograniczać, narzucać mu coś, czego właściwie nie chce. Nie po to, by regulować życie społeczne, tak aby każdemu w miarę wygodnie się żyło.

Gosia Pranszke

•

To, że ktoś jest chrześcijaninem, katolikiem nie oznacza, że jest bez grzechu, że jest święty. Zdrowi nie potrzebują lekarza. Niestety, jako katolicy jesteśmy wystawiani ciągle na oceny z powodu naszej wiary. Bo jeśli ktoś ma rybkę na samochodzie, to już zatrąbić nie może, przekląć nie może. Bo to katol przecież, hipokryta. Dajcie już temu spokój, katolik to taki sam człowiek jak każdy inny, czyli nieidealny.

Kasia Kruszewska

•

Dziwi mnie reakcja niektórych komentujących. Naprawdę nie przeszkadza państwu, że symbol waszej religii jest totemicznym emblematem na aucie jakiegoś drogowego troglodyty? Nie czujecie zwykłego wstydu, że wasze symbole religijne zawłaszczane są przez takich ludzi?

Dziwi mnie również, że w kraju, w którym żyje podobno ponad 30 mln katolików, żaden nie skierował do sądu sprawy o obrazę uczuć religijnych w związku z powieszeniem krzyża w Sejmie, gdzie ci sami, którzy go powiesili, urządzają karczemne awantury, wyzywają się wzajemnie i pokazują, ile prawdziwy katolik pod znakiem krzyża jest w stanie zrobić, żeby bronić interesów swoich i swoich sponsorów.

W Polsce obrazą uczuć religijnych jest wystawienie sztuki czy pokaz filmu, w których padają niewygodne, lecz ważne etycznie pytania. A nie jest nią kupczenie Bogiem i używanie jego symboli do załatwiania swoich brudnych interesów.

Zdzisław Nowak

mg
DZIADEK DO ORZECHÓW
E. T. A. HOFFMANN
DZIADEK DO ORZECHÓW
E. T. A. HOFFMANN
www.wydawnictwomg.pl

eprasa.pl 514e77f55c

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

NOC W NOC

Czy są jeszcze didżeje, którzy przeprowadzają ludzi przez noc? Czy tylko komputery, systemy, maszyny losujące? Mimo wszystko lubię sobie wyobrażać, że to jakiś człowiek, zaspany mężczyzna z kubkiem kawy z automatu, który wybiera dla nas piosenki, a potem chodzi palić na radiowy parking.

Rzadko słuchałam nocnych audycji radiowych, chociaż lubiłam czerwone światło odbiornika, które lśniło w ciemności jak sygnalizacja jakiegoś lądowiska. Kiedy nasz syn był mały, stawał przy ciemnej szybie, przyklejał do niej otwarte dłonie, jakby to były jakieś wodne zwierzęta przyssane do ścianki akwarium. Otwierał usta, rozszerzał oczy i szeptał: cimnanoc. Ja też tak stałam, siedmioletnia, myśląc o mamie, która była gdzieś w mieście, w nocy. Pracowała w krwiodawstwie. Pamiętam nocne dyżury mamy, podczas których pełne krwi próbówki wirowały w specjalnych maszynach. Laborantki w fartuchach pochylały się nad mikroskopami i obserwowały preparaty. Czasem mama zabierała mnie ze sobą: zasypiałam w pokoju socjalnym na brązowej kanapie pod wielkim fikusem.

Ojciec także pracował w nocy. Montaże, przeciągające się zdjęcia, nagrywanie w pustych studiach materiałów audio, które musiały być gotowe na rano. Dlatego często spałam u babci, która pozwalała mi oglądać łyżwiarstwo figurowe na lodzie. Babcia, malutka i twarda Ślązaczka, drobiła swoimi stópkami, błyskała spinkami wpiętymi w ciasny kok. Kładła na łóżku kolorową kapę z Cepelii i wyciągała z szuflady drewnianych kolędników. Ustawiałam ich ostrożnie na srebrnej tacy, a w tle łyżwiarki wykonywały piruety, przewracały się albo były wyrzucane przez partnerów w powietrze, unoszone lekko jak duchy. Noc już zawsze będzie mi się kojarzyć z lodowiskiem: ostre cięcia, ciemne trybuny, a pośrodku zimne, roziskrzone światło.

Czasem ktoś przychodzi z nocy, np. kiedy wzywamy karetkę pogotowia i potem zaspani pielęgniarze w czerwonych kombinezonach rozkładają na podłodze sprzęt. Dają zastrzyk. W nadawanej non stop telewizji widzę lekarzy rezydentów, ich strajk, głodówkę. Myślę o nocnych dyżurach. Obliczam ich miesięczne stawki, porównuję z cenami benzyny, masła, pieluszek, mleka. Myślę o zatorze na SOR-ach, bo przecież to rezydenci biorą najwięcej nocek, dyżurów, żeby spłacić kredyty, zanim po kolejnych latach robienia specjalizacji będzie ich stać na coś naprawdę własnego.

Mama kiedyś dała mi, siedmioletniej, książeczkę „Nocne zawody". Poza piekarzami czy robotnikami naprawiającymi jezdnię byli tam właśnie lekarze. Na obrazku pani doktor pochylała się nad dziewczynką. Zmęczony uśmiech. Tak to pamiętam.

Noc już zawsze będzie mi się kojarzyć z lodowiskiem: ostre cięcia, ciemne trybuny, a pośrodku zimne, roziskrzone światło.

Teraz nocą myślę o tych lekarzach, maklerach, o lotniskach, elektrowniach. I wszystkich, którzy nadrabiają zaległości z piekącymi oczami przed monitorami. Bo w dzień przeszkadzały dzieci, bo jest listopad i wszystkie są przeziębione. Bo trzeba dorobić do korepetycji.

Janusz Głowacki opowiedział mi kiedyś o swojej bezsenności. I o bezsenności Henryka Berezy. Odtąd wyobrażam ich sobie, jak nadal stoją w oknach swoich mieszkań, zapatrzeni w ciemność. Może dlatego, kiedy sama nie mogę spać, też to robię: staję w oknie i patrzę. Czasem widzę sąsiada, który pali na balkonie. Na trzecim piętrze naprzeciwko też ktoś nie śpi. Podjeżdża nocna taksówka. Zaspana kobieta śpieszy się na lotnisko. Niektórzy leżąc w łóżkach, śledzą portale społecznościowe. Wrzucają na walle smutne piosenki, które rano brzmią już zupełnie inaczej. I nikt nie lajkuje starych, smutnych piosenek. A Kaczyński jest dyktatorkiem. Może tak byśmy kończyli każdy tekst? Co państwo na to? Dzień w dzień? Noc w noc?

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

TygPrzeglad TygodnikPrzeglad Przegląd www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 514e77f55c

Khomani – znaczy styl życia

Plemię Khomani uważano za wymarłe, jednak w 1996 r. okazało się, że wciąż żyją ludzie mówiący jego językiem. Leżące w północno-zachodniej części RPA ziemie tej społeczności, ostatnich potomków rdzennych Buszmenów, zostały wpisane jako krajobraz kulturowy na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Pod koniec lat 90. potomkowie Khomani doprowadzili do przywrócenia im plemiennych terenów. „Obiecujemy, że nigdy nie przestaniemy respektować wartości wpisanych w naszą kulturę i będziemy je przekazywać z pokolenia na pokolenie – mówił Dirk Pienaar, przedstawiciel społeczności Khomani, podczas ogłoszenia nowej listy. – Ochrona wartości to nie jest hasło używane, by wywrzeć na kimś wrażenie, ani nawet wybór, ale styl życia, do którego Khomani są przygotowywani od najmłodszych lat”.

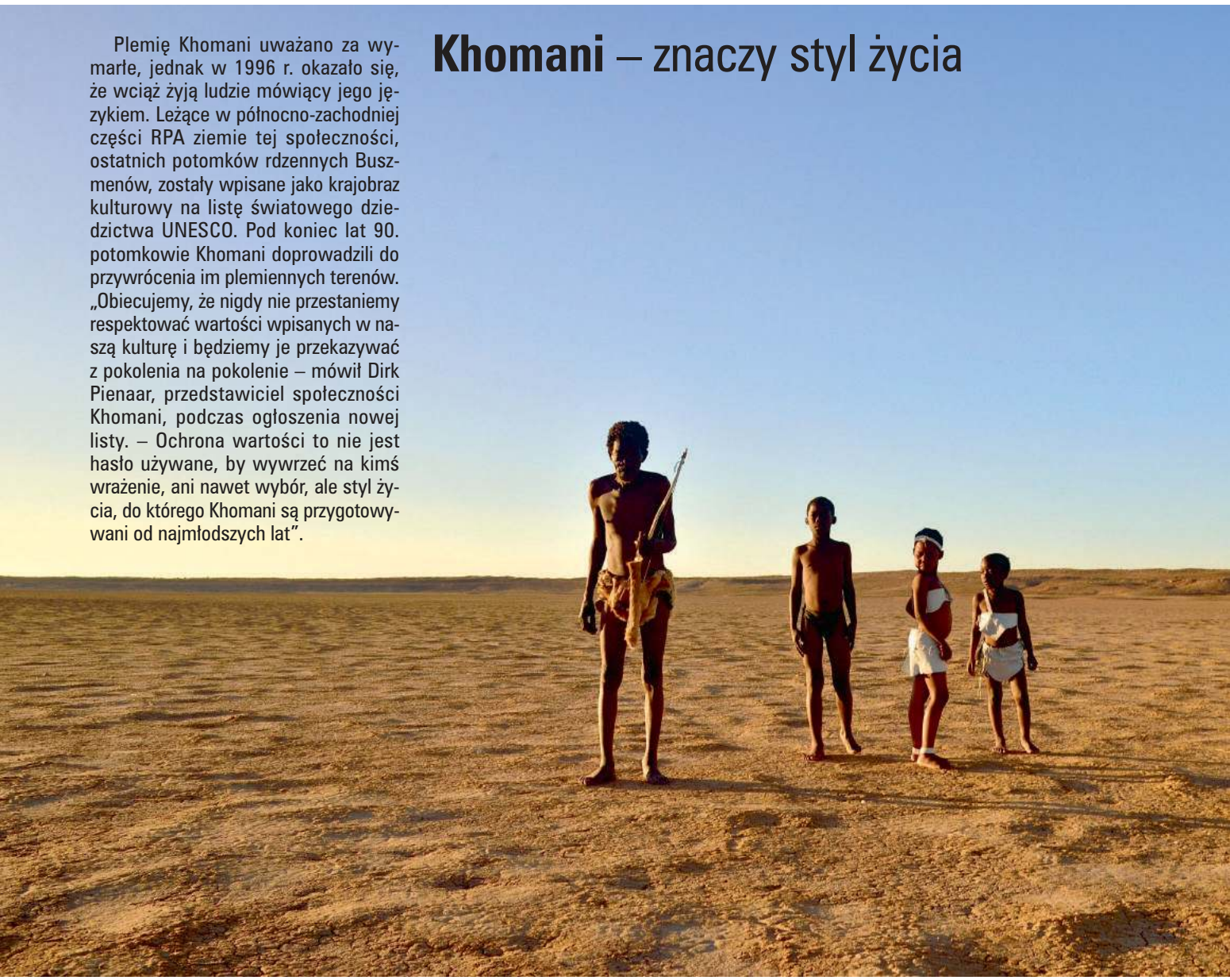

FOT. SOUTH AFRICAN TOURISM (4), FRANÇOIS ODENDAAL PRODUCTIONS (FOP FILMS) (3)

eprasa.pl 514e77f55c

eprasa.pl 514e77f55c

Paweł Drąg
Korespondencja z Ekwadoru

W Ekwadorze 13-, 14-latki wyglądają znacznie poważniej niż dziewczyny w Europie.

O MIŁOŚCI I SEKSIE, CO GORZKI MAJĄ SMAK

W Ekwadorze kobiety są traktowane przedmiotowo, a nastolatki wykorzystują swoje ciała jak towar. Nawet w najmniejszym miasteczku działa kilka burdeli

Wpatruję się w niskiego, łysiejącego Ekwadorczyka i staram się przełożyć jego pytanie na polski. Nie jest to trudne, ale mnie zaskoczył. Mam chyba głupią minę, więc pyta jeszcze raz.

– No i jak tam nasze burdele? – rzuca z błyskiem w oku.

Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Nasze dziewczyny! Dobre są, nie? Ile razy już byłeś w burdelu? W których?

– Dziewczyny? Ładne. Ale jakie burdele? Ja nigdzie nie byłem, jestem z kimś – odpowiadam chaotycznie.

– Wierny? – uśmiech na jego twarzy gaśnie.

– Eeee, tak.

Po tym oświadczeniu facet mnie zostawia. Oddala się w stronę grupki znajomych, którzy zapewne lepiej go rozumieją. *Gringo* śmiertelnie go rozczarował, więc przestał być dla niego interesującym rozmówcą. Ja jeszcze przez dłuższą chwilę stoję skonsternowany na środku boiska.

Zostałem zaproszony przez znajomego lekarza z USA, by pograć w piłkę nożną. Jeden z jego kumpli, którego zresztą widziałem pierwszy raz, darował sobie ceremoniał powitalny i od razu przeszedł do interesującej go kwestii.

– No bo widzisz, tu każdy facet regularnie korzysta z burdeli, więc był pewny, że już tam byłeś – wyjaśnia Sean, który w Ekwadorze jest dłużej i lepiej rozumie hiszpański. – Jesteś na wybrzeżu, a tutaj dominuje kultura *macho*, facet często ma kilka kobiet naraz, regularnie chodzi do domów publicznych, a we własnym domu nie robi kompletnie nic. Chyba że zaliczymy do tego bicie żony oraz robienie jej kolejnych dzieci. A gdy mu się to znudzi, opuszcza chatę i przenosi się do kolejnej partnerki. Na pewno zauważyłeś, w jak wielu domach dzieciaki wychowuje tylko kobieta, bo mężczyzna ich opuścił. To norma i nikt z tym nic nie robi, panuje na to ciche przyzwolenie i znieczulica. Zapomnij też o alimentach. Jasne, nie wszyscy tutejsi faceci to świnie, ale tak postępuje, niestety, duży odsetek.

W Ekwadorze nierząd jest legalny i w pełni uregulowany prawnie.

Prawda, zauważyłem to. Ale jednego nie rozumiem. Przecież burdele muszą być bardzo drogie, a tu społeczeństwo ubogie. Jakim cudem faceci uczęszczają do nich regularnie?

– Ventanas ma ok. 40 tys. mieszkańców, prawda? – objaśnia Sean. – Wyobraź więc sobie, że w samym mieście i jego najbliższej okolicy znajduje się jakieś 30 burdeli, a jeden numerek z prostytutką kosztuje 5 dol.

Byłem wtedy w Ekwadorze bardzo krótko i takie informacje przyjmowałem z zaskoczeniem, ale po jakimś czasie wszystko spowszedniało. Kiedy powiedziano mi, gdzie w centrum miasta gromadzą się prostytutki, poszedłem tam, by dowiedzieć się jeszcze więcej. Kręciłem się jakąś godzinę w okolicy wskazanego parku, ale nie zauważyłem nikogo, kto odpowiadałby moim wyobrażeniom o tej profesji. Zagadnięty mężczyzna wskazał cztery dostojne kobiety, które na oko zbliżały się do sześćdziesiątki. Nie żartował.

– 2,5 dol. bez łóżka, czyli gdzieś znajdziemy jakiś kącik. Z łóżkiem, czyli w pokoju, 5 dol. – jedna z nich uprzedziła moje pierwsze pytanie. Stosunek z kobietą wyceniany jest identycznie jak dwa niezłe panamskie piwa o pojemności 0,33 litra lub litr jogurtu owocowego i chleb.

Zdobywanie ich zaufania zajęło mi sporo czasu. W końcu zaczęły opowiadać. Dla nich to naturalna sprawa, nie czują się z tym źle. Pieniędzy nie jest dużo, ale mają stałych klientów. Korzystają mężczyźni w każdym wieku. Nie chciałyby zmienić swojego losu, bo zapewne musiałyby stać całymi dniami na targu, sprzedając ryż, warzywa i owoce. Ich obecna praca jest mniej angażująca – zarówno czasowo, jak i fizycznie. Zdarzają się pobicia, ale można do tego przy-

eprasa.pl 514e77f55c

wyknąć. Na pewno będą pracować, dopóki starczy im sił. Mówiły to beznamiętnie.

Mijając Ventanas, nietrudno dostrzec takie miejsca. Co kilkadziesiąt metrów przy drodze stoją rozlatujące się zabudowania, rozświetlone neonami „Motel", „Night club" lub wprost: „Pyszne dziewczynki" czy „Smak miłości". Przy panującym w kraju ubóstwie trzeba było znaleźć sposób na łatwy i szybki zarobek. Dla kobiet stała się nim prostytucja na masową skalę. Cichą zgodę dało na to nawet prawo, gdyż w Ekwadorze nierząd jest legalny i w pełni uregulowany prawnie. Zresztą niedozwolony jest wyłącznie w dwóch krajach Ameryki Południowej – w Gujanie i Surinamie. Skalę najlepiej oddaje fakt, że w Brazylii stanowi on ważny element produktu krajowego brutto. Szacuje się, że to ok. 5% PKB.

NIEBEZPIECZNE DZIECI

Zwarty tłum nastolatek napiera z każdej strony. Czuję dziesiątki dłoni, które głaszczą każdy centymetr mojego ciała, nie odpuszczając nawet najintymniejszym miejscom. W powietrzu gęsty zapach perfum i potu. Kilka dziewczynek chwilę wcześniej grało w klasy i rysowało kredą po chodniku. Czuję, że zaraz mnie stratują, i zaczynam tracić głowę. Próbuję delikatnie je odpychać, ale najwyraźniej nie odczytują tych sygnałów, ściskając mnie jeszcze łapczywiej. Nagle jedna zaczyna krzyczeć. Teraz rozlega się wrzask kolejnej. Tłum zaczyna ustępować. Po paru chwilach widzę przedzierającą się w moją stronę dyrektorkę szkoły, rozdającą na oślep klapsy. Spanikowane uczennice uciekają. W końcu na dziedzińcu zostajemy tylko we dwoje.

– Proszę opuścić szkołę! Widział pan, co się stało? Dziewczynki nie są w stanie się uczyć, zdezorganizował pan całą naszą pracę!

Wyjaśniam, że nic nie zrobiłem, jestem członkiem znanej w okolicy fundacji pracującej z ubogą i wykluczoną społecznie młodzieżą, a dzisiaj chciałem tylko sprawdzić, jak się uczą moi podopieczni...

– Nieważne. Niech przyjdzie ktoś inny, pan tutaj wstępu już nie ma!

Wtedy po raz ostatni zostałem wpuszczony na teren szkoły. Za każdym razem, gdy się do niej zbliżałem, na mój widok dorastające dziewczynki zaczynały szaleć. Po jakimś czasie zdążyłem już przywyknąć do podobnych sytuacji. Ekwadorki w każdym wieku traktowały mnie jak Justina Biebera tylko dlatego, że natura obdarzyła mnie białą skórą, blond włosami, błękitnymi oczami i 183 cm wzrostu, więc na tle tutejszych mężczyzn uchodziłem za bardzo wysokiego. Niedoskonałości urody stały się nieistotne. Moje *ego* triumfowało, ale logika podpowiadała, że muszę mieć się na baczności, by nie narobić sobie problemów z zazdrosnymi mężczyznami i ekwadorskim wymiarem sprawiedliwości.

Bezpośrednie propozycje seksualne lub zdecydowane próby flirtu zdarzały się nagminnie, a ja zacząłem się czuć jak dostawa świeżego mięsa. Na dłuższą metę nie było to przyjemne.

PROBLEMY Z WIEKIEM

W Ekwadorze spędziłem prawie dwa lata, jednak do samego końca nie nauczyłem się rozpoznawać wieku ludzi. Proces dojrzewania u Latynosów przebiega zdecydowanie szybciej niż wśród Europejczyków. Tutaj 13-, 14-latkowie zazwyczaj wyglądają na jakieś 18-20 lat, a ktoś, kto ledwie przekracza 20. rok życia – jakby zbliżał się do czterdziestki. Dzieci w pędzie za dorosłością epatują swoją seksualnością, podkreślając ją spódniczkami, dekoltami i wulgarnym zachowaniem. Dlatego nie jest niczym zaskakującym, że olbrzymi odsetek dziewczynek bardzo szybko zostaje mamami. Kontrastuje to z ich niedojrzałością emocjonalną. Większość dzieci, z którymi pracowałem, mimo że wyglądały jak osoby dorosłe, była zdecydowanie mniej dojrzała niż ich rówieśnicy z Polski. Spycha to Ekwador do pozycji kraju pełnego paradoksów seksualnych. Poznałem 40-letnią kobietę żyjącą w stałym związku z 17-latkiem, z którym wychowywała czwórkę dzieci. Piąte było w drodze. Najstarsze miało 12 lat.

Największym fenomenem była jednak Santa. Nikt nigdy nie widział jej dokumentów, ona sama zaś przekonywała, że ma 13 lat. Nie kwestionowaliśmy tego, bo wyglądała jak dziecko i tak się zachowywała. Traktowaliśmy ją zresztą na specjalnych zasadach, wiedząc, w jak katastrofalnych warunkach żyje. Jej bambusowa chatka była bliska zawalenia się. Kilkunastoosobowa rodzina dzieliła mieszkanie z kurami, żyjąc bez elektryczności i ciepłej wody. Uzależnieni od narkotyków rodzice interesowali się jedynie zdobyciem następnej działki i robieniem kolejnych dzieci. Kiedy jednak dokumenty Santy zostały odnalezione, przeżyliśmy szok. Okazało się, że dziewczyna ma

Część mężczyzn pracuje, wielu jednak nie robi nic. Kobieta musi zapewnić byt całej rodzinie.

Zdobycie zaufania kobiet z Ventanas zajęło mi sporo czasu.

FOT. PAWEŁ DRĄG

eprasa.pl 514e77f55c

To do faceta należy decydujący głos w niemal każdej sprawie.

23 lata. Od tego czasu próbowaliśmy zrobić wszystko, by zaczęła się zachowywać odpowiednio do swojego wieku. Jedna z wolontariuszek zaprosiła ją do swojego mieszkania, gdzie Santa została wymyta, odwszawiona i uczesana. Dostała też sukienkę. Efekt był krótkotrwały. Po kilku dniach dziewczyna wyglądała i zachowywała się tak samo jak wcześniej.

MACHO JEST NAJWAŻNIEJSZY

Dostarczycielem wody do mojego mieszkania był Alfredo. Nie przynosił jej jednak w butelkach, lecz w kilkulitrowych kanistrach, niby zamkniętych, ale nie widniała na nich żadna etykietka. Sam Ekwadorczyk kroczył przez świat z miną człowieka, który nie za bardzo wie, dokąd idzie i w zasadzie po co. Alfredo zakochał się w dwóch Polkach, które krótko mieszkały ze mną w Ventanas. Słał im zalotne SMS-y, obdarowywał różami, a nawet okłamał je, że w mieście nie będzie przez kilka dni wody, byle tylko móc im ją dostarczać – tym razem nie pitną, ale tę do kąpieli. Gdy kłamstwo wyszło na jaw, usłyszał parę gorzkich słów. Wtedy pierwszy raz w życiu upił się i zaczął grozić samobójstwem. Potrzeba było wielu argumentów i przeprosin, by wybaczył zniewagę ze strony – co w całej historii najistotniejsze – kobiet.

Mężczyzna w Ekwadorze to macho. Jego zadaniem jest przedłużyć gatunek.

W słabo wykształconej części ekwadorskiego społeczeństwa kobiety są traktowane dużo gorzej od mężczyzn. To do faceta należy decydujący głos w niemal każdej sprawie. On też ma prawo ukarać partnerkę za nieposłuszeństwo. Alfredo znalazł się w potrzasku, bo najpewniej kłóciły się w nim dwa przeświadczenia. Znieważyły go kobiety, więc był podwójnie wściekły. Z racji jednak tego, że były białe, nie mógł nic zrobić.

Wieczór, tańczę z dwiema Polkami pod gołym niebem. Lokalna, lekko podpita młodzież garnie się do tańca z naszymi dziewczynami, których uroda jest tu wyjątkowo egzotyczna. Za każdym razem faceci podchodzą tylko do mnie z pytaniem, czy mogą zatańczyć z moimi towarzyszkami. Nikt nie pyta o to dziewczyn, które są zdumiewająco lekceważone w tej kwestii.

– A co w tym dziwnego, przecież są z tobą? – słyszę niemal za każdym razem.

Mężczyzna w Ekwadorze to *macho.* Jego zadaniem jest przedłużyć gatunek i dać kobiecie szczęście posiadania dużej liczby dzieci. Część z nich pracuje, wielu jednak nie robi nic. Kobieta musi więc wychować dzieci, zająć się domem i zapewnić byt całej rodzinie. Kiedy organizowałem różne kursy doszkalające lub zebrania dla rodziców, zawsze zjawiały się wyłącznie kobiety. Zaledwie jeden mężczyzna próbował uciec od roli typowego Ekwadorczyka i zdobyć umiejętności pomocne w znalezieniu pracy. Próbowałem namawiać innych. Wzruszali ramionami lub wybuchali śmiechem. *Macho* ma inne obowiązki do wykonania – prorodzinne.

Paweł Drąg

eprasa.pl 514e77f55c

Beata do Trójkąta nie pasuje

Jakoś ucichły w pisowskich mediach wezwania do dawania odporu Unii Europejskiej i do boksowania się z Niemcami i z Francją. Może dlatego, że przychodzi czas płacenia rachunków?

Polska przegrała właśnie batalię o zmianę dyrektywy dotyczącej pracowników delegowanych. Rada Unii Europejskiej przy udziale ministrów pracy przegłosowała zmianę dyrektywy.

Wyszło tak, jak chcieli Francuzi. Przeciw zmianie były jedynie Polska, Węgry, Litwa i Łotwa. Po raz kolejny okazało się więc, że Grupa Wyszehradzka to bardziej konstrukcja literacka niż realny byt i że jesteśmy w Europie na marginesie.

Na otarcie łez Unia (takie tam są zwyczaje, że nie upokarza się przegranych) dała dyrektywie czteroletni okres przejściowy, a okres delegowania wydłużyła z 12 miesięcy do 18.

Tyle.

Podczas negocjacji Polska walczyła przede wszystkim o zablokowanie zmian dotyczących transportu. I tu klapa. Rada UE zadecydowała, że techniczne szczegóły dotyczące transportu znajdą się w innych dyrektywach. Czyli sprawa została przełożona. Na co premier Beata Szydło (z niewiedzy, ale chyba raczej z potrzeby pudrowania rzeczywistości) oświadczyła z dumą, że chcieliśmy wyłączenia transportu z dyrektywy i to osiągnęliśmy.

To są takie same przechwałki jak te dotyczące Trójkąta Weimarskiego. Ta struktura, jedyna, która milcząco uznawała Polskę za lidera Europy Środkowej, jest w agonii. Po awanturze dotyczącej caracali odwołany został szczyt Hollande-Merkel-Duda, odwołane też zostało spotkanie ministrów ds. europejskich. Była próba zorganizowania latem spotkania na szczycie, ale nic z tego nie wyszło. Za to prezydent Macron zdążył skrytykować Polskę za samoizolację.

Sukcesem naszej dyplomacji w strukturze Trójkąta Weimarskiego będą więc organizowane 14 listopada konsultacje na szczeblu dyrektorów departamentów MSZ służące omówieniu najważniejszych kwestii przed szczytem Partnerstwa Wschodniego. Dodajmy, że w tym czasie kwitnie współpraca Berlin-Paryż i składane są wzajemne wizyty. I że Polacy zdążyli się poskarżyć Niemcom, że Francja nie chce współpracować w ramach Trójkąta. Na co usłyszeli odpowiedź, że Berlin jest gotów na spotkania, ale wpierw Warszawa musi unormować swoje stosunki z Paryżem.

I co dalej? Realia są takie, że i Francja, i Niemcy w ograniczonym zakresie są gotowe współpracować z Polską w ramach Partnerstwa Wschodniego. Ale na razie takie koncepcje jak wspólne wizyty trzech ministrów spraw zagranicznych są milcząco odrzucane. Choć szefowie MSZ Francji i Niemiec byli już dwukrotnie razem w Kijowie.

Idea konsultacji przed posiedzeniami Rady Europejskiej, ustalanie wspólnego stanowiska przed ważnymi unijnymi wydarzeniami też jest tylko marzeniem Warszawy. A przecież czekają nas za parę miesięcy kluczowe negocjacje dotyczące nowej perspektywy budżetowej Unii, z uwzględnieniem wspólnej polityki rolnej i funduszu spójności.

Coraz bardziej wszystko zmierza ku temu, że nawet jeśli będą negocjacje, to poza nami. Nas się doprosi i poinformuje o rezultatach.

Attaché

FOT. REPORTERS/GYS/REPORTER

Zdymisjonowany premier Katalonii Carles Puigdemont podczas konferencji prasowej w Brukseli, 31 października. Zdaniem jego adwokata może mu grozić do 30 lat więzienia, jeśli hiszpańscy prokuratorzy oskarżą go o podżeganie do rebelii i sprzeniewierzenie środków publicznych.

eprasa.pl 514e77f55c

JOLKA

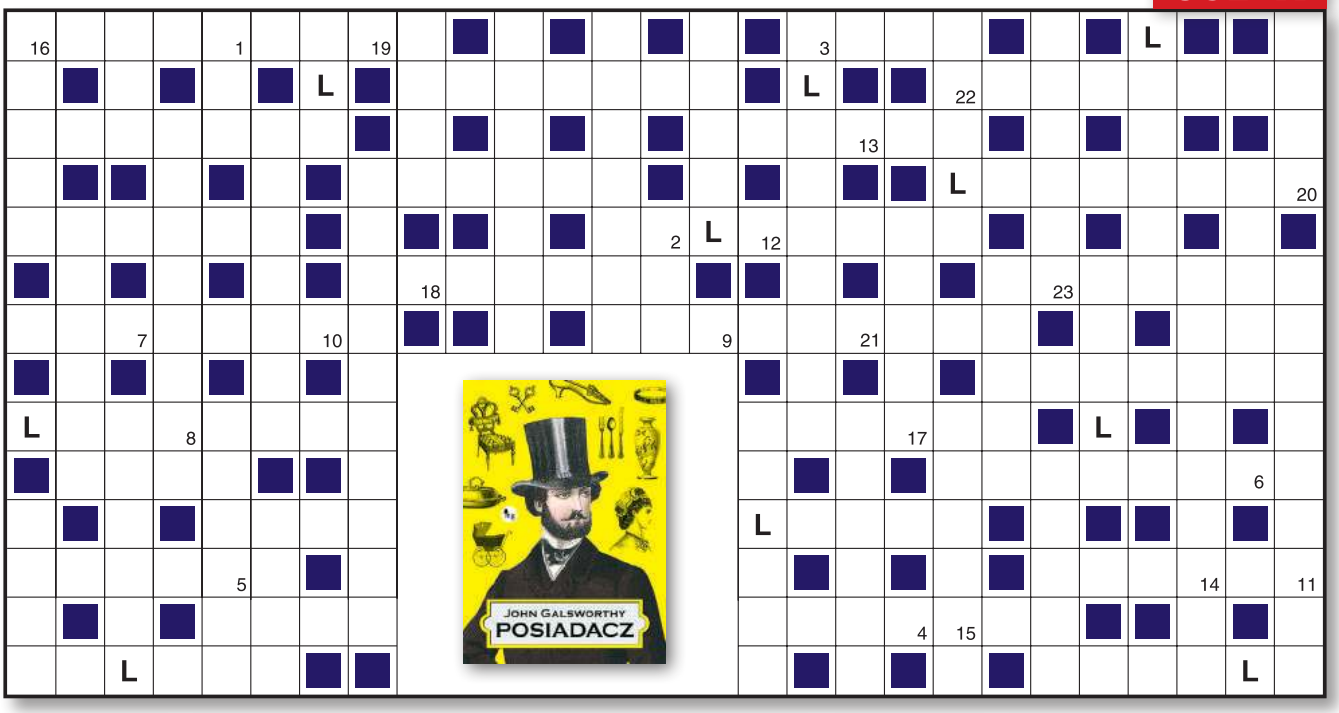

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery L ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- stolica Ghany
- ...Baba i 40 rozbójników
- lampa wisząca z kloszem jak płytka misa
- od niego do Kajfasza
- twierdzenie przeciwne, przeciwieństwo
- miasto Sindbada Żeglarza
- siedmiokropka
- o wyrośniętym chłopaku
- ogół wyborców
- przepracował wymaganą liczbę lat
- z greki ogół norm danej grupy
- duży, rzadki ścieg
- Huckleberry u Twaina
- do ścinania głowy lub przycinania papieru
- myśl, która przyświeca
- tytuł królewskiego syna w Hiszpanii
- Leopold, polski fizyk, współpracował z Albertem Einsteinem
- asyryjsko-babilońska bogini, jej brama w Babilonie
- marka proszku do prania
- francuski działacz związkowy z pokojowym Noblem
- król, który kupił królowej korale
- zwinie też lasso i wędzidło podwędzi?
- niepolska stolica z Syrenką
- wyspa z Ajaccio
- kamaryla, sitwa, klika
- pierwsze stawiane
- pies jak półwysep
- wody, wosku lub na kolanie
- kraje na wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego
- jego interes kręci się latem
- Tussaud lub powieść Libery
- brednie, słowa od rzeczy
- szwindel, szachrajstwo
- taśma krawiecka
- przy jej ujściu Sankt Petersburg
- utwór na dziewięć instrumentów
- gdy Księżyc zwrócony ku Ziemi nieoświetloną częścią
- czego ono nie widzi, tego sercu nie żal
- okulary jeszcze bez szkieł
- trzecie co do wielkości miasto w Japonii
- otworek w skórze i warzywo
- porcje kosmetyków oferowane klientom
- nasada dłoni
- opuszczenie kogoś, rozłąka z kimś
- dzieło spod dłuta
- potocznie rewolwer
- jednostka pływająca
- ...na Lachy
- podwyższenie, na którym ścinano skazańca
- kładzie się czasem wszystko na jedną
- mebel do spania
- rybi tłuszcz na zdrowie
- William, angielski malarz pejzażysta
- Trebunie... – zespół góralski
- zabawa po pachy
- jednostka monetarna w danym kraju
- biały kłaczek z apteczki
- co ma do niego piernik?
- sprzedaż alkoholu pitego na miejscu
- iskra, źródło ognia i np. konfliktu

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie” i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich poprawiania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-831”. Do rozlosowania książki „Posiadacz” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przesłać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ.XXX. HASŁO KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.831.DZIEN DZIECKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysyłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 12 listopada 2017 r.

Rozwiązanie „JOLKI-828” z 22 października:
Nikt się mistrzem nie rodzi.

Nagrody otrzymują: Zbigniew Grzegorzewski ze Śremu, Alina Janeczek z Radomia, Andrzej Smoleń z Tarnowa.

eprasa.pl 514e77f55c

PENETRACJE

DUŻY FORMAT **Z LISTU PIOTRA S.,** ROZDAWANEGO POD PAŁACEM KULTURY 19 PAŹDZIERNIKA

Chciałbym, żeby prezes PiS oraz cała PiS-owska nomenklatura przyjęli do wiadomości, że moja śmierć bezpośrednio ich obciąża i że mają moją krew na swoich rękach. Wezwanie swoje kieruję do wszystkich Polek i Polaków, tych, którzy decydują o tym, kto rządzi w Polsce, aby przeciwstawili się temu, co robi obecna władza, i przeciwko czemu ja protestuję. […] Za kilka dni czy tygodni znowu będą kontynuować ofensywę, znowu będą łamać prawo. I nigdy nie cofną się i nie oddadzą tego, co już raz zdobyli.

DZIENNIK GAZETA PRAWNA **PAWEŁ KASPRZAK,** LIDER OBYWATELI RP

Zawsze wiedziałem, że Kornel Morawiecki nie jest żadną legendą polskiej rewolucji, tylko skrajnie niebezpiecznym facetem o totalitarnych zapędach. Nie ma nic wspólnego z demokracją, zresztą nigdy nawet nie udawał, że ma. Kiedy Frasyniuk zakładał na Dolnym Śląsku jawne struktury Solidarności, to nie kto inny jak Morawiecki w tej swojej iluzorycznej konspiracji wrzeszczał, że to jest prowokacja, a kto wie, czy nie zdrada. I potem był bohatersko nieobecny w Magdalence. I na tyle niezłomny, że jak go złapali, to zawarł sojusz z klawiszami i prosto z pudła wyjechał za granicę.

RZECZPOSPOLITA **GEN. MIROSŁAW RÓŻAŃSKI,** BYŁY DOWÓDCA GENERALNY RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH

Kiedy była tworzona Bundeswehra, trafili do niej oficerowie Wehrmachtu. Gdy kanclerz RFN Konrad Adenauer był pytany, dlaczego tak robi, odpowiedział, że trudno jest znaleźć 18-letnich generałów. To, że ktoś się urodził i pełnił służbę przed 1989 r., nie dyskredytuje go. Mam sygnały, że jeżeli pojawia się w informacjach dotyczących przebiegu służby oficera wzmianka, że współpracował z Różańskim, to nie jest to dla niego sytuacja komfortowa.

VIVA! **LIDIA POPIEL,** MODELKA, FOTOGRAFKA

Jak to jest być żoną Bogusława Lindy?

– W domu nie pytam go o nazwisko. Jesteśmy ze sobą już 27 lat. Noszę nazwisko Bogusława. Popiel zostawiłam sobie w życiu zawodowym. W dowodzie jestem Linda. Nie zastanawiałam się nad tym, padło pytanie urzędnika, uznałam, że Linda będzie OK. Bogusław ma w sobie ogromny urok, coś tak magnetycznego, że nawet gdyby zamiatał ulice, dużo kobiet by się w nim kochało. A ja uwielbiam, kiedy kobiety interesują się moim facetem. Nie to, żebym zachęcała. Ale wszelkie oznaki, że nadal się kobietom podoba, że jest dla nich atrakcyjny, to tylko potwierdzenie, że dobrze wybrałam.

FOT. AFP/EAST NEWS

„Akt z fioletowymi włosami 2010" – dzieło malarza George'a Conda wystawione na Międzynarodowych Targach Sztuki Współczesnej w Paryżu.

Aby język giętki…

KS. PROF. MICHAŁ HELLER O WIEKU WSZECHŚWIATA

Hubble oszacował ten wiek na mniej więcej 2 mld lat, ale dzisiejsze pomiary przesunęły to na prawie 13,7 mld lat.

JAN ENGLERT O GŁUPICH POWIEDZENIACH

Jednym z nich jest „przeżyć życie tak, żeby móc sobie patrzeć prosto w oczy", bo nie znam ani jednego sk… który ma kłopoty z patrzeniem sobie w lustrze prosto w oczy.

JAN KLATA O PIOTRZE GLIŃSKIM

Jest jakimś anty-Midasem. Czegokolwiek dotknie, zamienia się w…

JERZY URBAN O ZWOLNIENIU PIOTRA WOYCIECHOWSKIEGO

Mały człowiek, a cieszy. Jako nadkatolik drukował poświęcone banknoty, które same kleiły się klechom do palców.

ILONA ŁEPKOWSKA O PORAŻCE PO

Oni tego kraju i tych ludzi, olbrzymiej części, nie rozumieli. A dużą częścią pogardzali.

KRZYSZTOF VARGA O ANDRZEJU MOROZOWSKIM

Niedawno prorokował, że w obronie wolnych mediów, osobliwie TVN, wyjdzie na ulice milion ludzi.

ADAM FERENCY O DANUCIE HOLECKIEJ

Kompletnie nie zrozumiała, że ja nie akceptuję tego, co oni w „Wiadomościach" wyprawiają. Ja tam widzę głupotę i skurwysyństwo.

BARBARA PIWNIK O PISANIU UZASADNIEŃ WYROKÓW

Piszę je na maszynie elektrycznej, którą sama sobie kupiłam. Nikt więc nie dotrze do treści, bo to nie komputer.

MICHAŁ ŻURAWSKI O POPRAWIANIU HUMORU ROMIE GĄSIOROWSKIEJ

Przygotować kąpiel. Wanna to miejsce, w którym mogłaby spędzić cały dzień.

ANJA RUBIK O WSTYDZIE

Głupio się do tego przyznać, ale zawsze wstydziłam się zapytać chłopaka, czy ma prezerwatywę. Bardzo dużo mnie to kosztowało.

eprasa.pl 514e77f55c

CZY TU GRAJĄ AMATORZY,

CZYLI PODSŁUCHANE PRZY KASIE W TEATRZE KRYSTYNY JANDY

Teatr Polonia. Telefon do kasy:
– Proszę pana, moja znajoma kupiła bilet na spektakl sylwestrowy, chciałabym kupić bilet koło niej.
– Zaraz sprawdzę, jak się nazywa pani znajoma?
– Nie wiem.
– No to będzie trudno. A na który spektakl znajoma kupiła bilet? Bo gramy w sylwestra dwa spektakle.
– Nie wiem.
– Rozumiem. Nie bardzo wiem, jak mam znaleźć miejsce, na którym będzie siedziała pani znajoma. Mogę po prostu sprzedać pani bilet na spektakl sylwestrowy, tego konkretnego miejsca nie mogę znaleźć.
– Jak to pan nie może? To skandal!
– A jak znajoma ma na imię, może pani wie?
– Iwona.

Kasjer przeszukał wszystkie miejsca. Znalazł jakąś Iwonę.
– Czy to może być pani taka i taka?
– To ona ma tak na nazwisko?
– No nie wiem. Czy mam pani zarezerwować bilet, koło tej pani Iwony?
– Tak. Zaraz przyjdę wykupić.

•

Starszy pan w kasie po kupieniu biletów:
– Jeszcze mam pytanie, czy tu grają amatorzy?
– Nie proszę pana, to jest teatr profesjonalny.
– Ale dlaczego nie grają? To by było dobrze, żeby amatorzy z całej Polski mogli tu zagrać. Dlaczego nie? To niesprawiedliwe.
– A czy pan chciałby kupić bilety na taki spektakl z amatorami? Chciałby pan to obejrzeć?
– Nie.

Źródło: blog Krystyny Jandy „Dziennik"

W podróży liczy się wygoda lub elegancja – dwukółka z napędem wielbłądzim na cztery nogi i KidRunner z ludzkim na dwie.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Paszport dla robotki

Sophie, robot, a raczej robotka wyprodukowana przez firmę Hanson Robotics, otrzymała paszport Arabii Saudyjskiej. – To dobry początek dla moich planów zdominowania ludzkiej rasy – skomentowała w telewizji Sophie uroczystość, podczas której poinformowano, że została obywatelką bliskowschodniego kraju. Po chwili jednak uspokoiła widzów, że był to żart. Komentujących najbardziej zaskoczyło nie to, że robot otrzymał obywatelstwo, ale to, że paszport zapewnia Sophie więcej praw, niż mają saudyjskie kobiety. W czasie konferencji kobieta robot pokazała się bowiem bez chusty, poruszała bez przyzwoitki i swobodnie rozmawiała z obcymi mężczyznami.

Zbyt pilny

Supermarket Lidl w Barcelonie zwolnił pracownika z 12-letnim stażem, ponieważ zbyt wcześnie rozpoczynał pracę. Mężczyzna przychodził godzinę wcześniej, by przygotować sklep na otwarcie. W uzasadnieniu zwolnienia napisano, że pracownik nie wpisywał się na listę, mimo że dokonywał zamówień, zmian cen i rozładowywał towar. W konsekwencji złamał przepisy sieci, które nakazują zapłatę za nadgodziny.

Stres jak fast food

Zespół naukowców z Uniwersytetu Birghama Younga w Utah w USA i szanghajskiego Uniwersytetu Jiao Tong odkrył, że stres zmienia florę bakteryjną jelit w podobny sposób jak śmieciowe jedzenie, zwłaszcza u kobiet. Zostało to wprawdzie potwierdzone wyłącznie na myszach laboratoryjnych, ale na łamach „Scientific Reports" badacze przekonują, że takie zjawisko zachodzi też u ludzi.

MEMY BEZ ŚCIEMY

„PRZEGLĄD" NA ANTENIE
POSŁUCHAJ, O CZYM PISZEMY
RDC Warszawa 101 FM DAB+
RADIO PARADA 96.00 FM Łódź 96 FM

eprasa.pl 514e77f55c

Stan konta a płeć

Naukowcy z Australii twierdzą, że w zamożnych rodzinach częściej rodzą się chłopcy. Kontrowersyjną tezę tłumaczą lepszą kondycją przyszłych matek – kobiety, którym niczego nie brakuje, są silniejsze, a silniejsze biologicznie jednostki są w stanie częściej rodzić chłopców niż dziewczynki. Dane do badania pochodziły od ponad 5 tys. kobiet w ciąży.

Jajka na choroby

Japończykom udało się zmodyfikować genetycznie zarodki kurczaków, by już na etapie komórkowym produkowały interferon beta – rodzaj białka, wykorzystywanego w leczeniu m.in. stwardnienia rozsianego. Następnie przenieśli zarodki do jajek i wyhodowali kury mające geny, dzięki którym znoszone jaja zawierają interferon beta. Taki sposób pozyskiwania może obniżyć cenę leczniczego białka aż o 90%.

Drogi jak pies

Szwedzka armia jest krytykowana za kupowanie psów bez przetargów po wygórowanych cenach. Okazuje się, że za 59 owczarków niemieckich wojsko zapłaciło ponad 12 mln koron, czyli ponad 5,24 mln zł. To znaczy, że jeden pies żołnierz kosztował prawie 90 tys. zł.

FOT. FB.COM/PISNAKSIEZYC, ASZDZIENNIK.PL, FB.COM.ANONIMOWYINTERNAUTA, AFP/EAST NEWS, EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz, Mariola Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:
Sandra Zawadzka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 514e77f55c

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

FRIDA KAHLO & DIEGO RIVERA

Polski kontekst

W Poznaniu możemy oglądać dzieła Fridy Kahlo i jej męża Diega Rivery z kolekcji Jacques'a i Natashy Gelman z Meksyku oraz innych artystów meksykańskich ze zbiorów z Meksyku, Niemiec, USA i Muzeum Narodowego w Warszawie. Oprócz tego zaś fotograficzne portrety Fridy autorstwa Nickolasa Muraya i grafiki współczesnych artystów meksykańskich inspirowanych twórczością Fridy. Polski kontekst tworzą zdjęcia artystki i jej otoczenia wykonane przez przyjaciółkę Bernice Kolko i obrazy Fanny Rabel, uczennicy malarki. I Kolko, i Rabel były z pochodzenia Polkami.

CK Zamek w Poznaniu, ul. Święty Marcin 80/82
do 21 stycznia

eprasa.pl 514e77f55c

NAJWIĘKSZĄ TAJEMNICĘ
SKRYWAŁ JEDEN CZŁOWIEK

KRYPTONIM

HHhH

ROSAMUND PIKE JASON CLARKE MIA WASIKOWSKA

W KINACH 10 LISTOPADA

cojestgrane24 ams lakeristoria DEMOTYWATORY.PL FILM taglife lubimyczytać.pl WP

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

TEATR 21

Superspektakl

Justyna Sobczyk, Jakub Skrzywanek
premiera 11 listopada 2017
kolejne pokazy 12, 13, 14, 15 listopada

Dofinansowano ze środków Miasta Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Patroni medialni
wyborcza
wyborcza.pl WARSZAWA
cojestgrane24
AKTIVIST
Przegląd
Partner
SZUSTOW.